CEZARY GMYZ O STRATEGII NIEMIEC

Jak kanclerz Angela Merkel wykorzystywała Polskę

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 38/443 20–26 WRZEŚNIA 2021 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Szykanowanie katolików w Warszawie

DODATEK SPECJALNY:
JAK WYGRAĆ Z GENDER, CZYLI PROJEKTEM NOWEGO CZŁOWIEKA?

Cejrowski: Czy Biden „sprzedał" Afganistan Chinom?

ODCZEPCIE SIĘ OD SPORTU!

Lewactwo przejmuje stadiony – każe przepraszać za przeszłość

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład: 562 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 39ee1bca30

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2021

NAGRODY W KATEGORIACH:

STRAŻNIK PAMIĘCI

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

ZAPRASZAMY
DO ZGŁASZANIA KANDYDATÓW
STRAZNIKPAMIECI@DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI PZU KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER Grupa Inwest HM Inwest S.A.

eprasa.pl 39ee1bda30

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Unijna kwadratura koła

W czwartek Parlament Europejski przyjął nową rezolucję, w której posłowie wzywają Komisję Europejską do „dokładnego przeanalizowania" polskiego KPO. Jednocześnie stawiają wyraźny warunek: polski plan (ten, którego przyjęciem od miesięcy chwalił się na billboardach rząd premiera Mateusza Morawieckiego) może zostać zatwierdzony „tylko wtedy, gdy zostanie potwierdzone, że polskie władze wdrożyły wszystkie orzeczenia TSUE, w szczególności jeśli chodzi o niezależność sądownictwa, i że nie doprowadzi to do tego, że budżet UE będzie aktywnie przyczyniał się do naruszeń praw podstawowych w Polsce".

Co to są prawa podstawowe? Parlament Europejski odpowiedział na to pytanie wyraźnie dwa dni wcześniej. Proszę bardzo, oto treść rezolucji. Mówi się w niej „o prawach osób LGBTQI" w UE i stwierdza, że „małżeństwa" lub zarejestrowane związki partnerskie zawarte w jednym państwie członkowskim powinny być uznawane we wszystkich państwach członkowskich w jednolity sposób, a „małżonkowie" i partnerzy tej samej płci powinni być traktowani tak samo jak ich odpowiednicy przeciwnej płci.

Cytuję dalej informację: „Rezolucja wzywa również wszystkie kraje UE do uznania osób dorosłych wymienionych w akcie urodzenia dziecka za jego prawnych rodziców. Posłowie chcą, by »tęczowe rodziny« miały takie samo prawo do łączenia rodzin, jak pary przeciwnej płci i ich rodziny". Teraz przekład na zwykły język. Parlament Europejski zaliczył do praw podstawowych to, co w Polsce, słusznie, uchodzi za dewiację i naruszenie prawa naturalnego. Zgodnie z polską konstytucją, która wiernie idzie tu za głosem sumienia i tradycji chrześcijańskiej, małżeństwem może być tylko para złożona z mężczyzny i kobiety.

Uznając prawo do adopcji dzieci przez pary lesbijek lub homoseksualistów za podstawowe prawo człowieka, Parlament Europejski złamał podstawowe zasady traktatowe. Obie te rezolucje nie są niczym innym jak brutalną próbą ingerencji w sferę, która od początku, od kiedy Polska przystępowała do Unii w 2004 r., była zastrzeżona do wyłącznej kompetencji państw członkowskich.

Można posłużyć się nieco bardziej dosadnym językiem i powiedzieć, że Parlament Europejski próbuje dokonać zamachu stanu i wprowadzić obce polskiemu prawu rozwiązania. Tyle że nie sam parlament. Rezolucja powtarza jedynie wcześniejszą tezę szefowej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen: kto jest rodzicem w jednym państwie Unii, ma być rodzicem w każdym państwie Unii. Inny przykład: 14 września minął czas dany przez KE na odpowiedź pięciu polskim samorządom, które przyjęły Karty praw rodziny. Komisja zagroziła, że jeśli samorządowcy nie zrezygnują z uchwał chroniących przed ideologią LGBT, to utracą miliardy euro wsparcia. Nie ma wątpliwości, że mamy do czynienia z szantażem.

Jak na to reagują polskie władze? Prezes PiS Jarosław Kaczyński: „Nie będzie żadnego polexitu, to wymysł propagandowy, który wielekroć był stosowany wobec nas; chcemy być w UE, ale jednocześnie chcemy pozostać suwerennym państwem". Podobnie brzmi uchwała PiS, która wyklucza możliwość polexitu i ogłasza, że na przynależności do UE polega polski interes narodowy.

Cóż, problem polega na tym, że w obecnej, dążącej do federacji Unii dla polskiego interesu narodowego i polskiej racji stanu miejsca nie ma. Deklaracja, że nie ma dla Polski życia poza UE, ale UE ma uszanować polską suwerenność, przypomina ogłoszenie, że dokonało się kwadratury koła. Pięknie. Takie rzeczy można mówić, wiadomo, papier wszystko zniesie. Tylko jaki to ma sens?

Sprzeczności można uniknąć na dwa sposoby. Po pierwsze, można robić dobrą minę do złej gry i ogłosić, że kiedy np. TSUE nakazuje Polsce likwidację Izby Dyscyplinarnej, to Polska ją likwiduje, ale nie dlatego, że się słucha rozkazu, tylko dlatego, że sama tak chciała. Taka metoda kamuflażu ma zalety, ponieważ skrywa faktyczną uległość za fasadą stanowczości. Jednak ma wady: można się nią posłużyć jedynie w stosunku do najbardziej naiwnych wyznawców. Po drugie, można zmienić sens słów i powiedzieć, że suwerenność nie obejmuje prawa do decydowania o własnym systemie sprawiedliwości lub, w przyszłości, o własnej konstytucji i jej zasadach. Nie sądzę, na szczęście, żeby obecny rząd był na tego rodzaju redefinicję gotowy. Co zatem pozostaje?

Jak rozumiem, gra na zwłokę. Może wiara w to, że politycy brukselscy pójdą po rozum do głowy? A może nadzieja, że Unia sama się zmieni, bo dojdą w niej do głosu inne siły, przeciwne obecnym lewicowym elitom? Mało to prawdopodobne. Prędzej czy później Polska stanie przed wyborem: suwerenność czy Unia. Żadne zaklęcia tego nie zmienią. Wishful thinking to nie jest rozwiązanie. ©℗

eprasa.pl 39ee1bda30

TEMAT TYGODNIA

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SPORT UTRACONY
LGBT na stadionach

KRAJ

22 ROZMOWA Z PROF. MARCINEM WIĄCKIEM
PRAWO MA SŁUŻYĆ LUDZIOM
Rzecznik praw obywatelskich:
Bezwzględnie unikam wypowiedzi politycznych

26 PIOTR SEMKA
KOŚCIÓŁ PUSTEGO PLACU

30 CEZARY GMYZ
MERKEL KONTRA POLSKA

PRZY GROBIE PRYMASA TYSIĄCLECIA FOT. T. DWORZYŃSKI

32 MACIEJ PIECZYŃSKI
NA WSCHODZIE BEZ ZMIAN

34 ROZMOWA Z KS. PAWŁEM ANTOSIAKIEM
POMOC IMIGRANTOM MUSI BYĆ MĄDRA

36 TOMASZ ROWIŃSKI
SZYKANOWANIE KATOLIKÓW W WARSZAWIE

38 ROZMOWA Z RYSZARDEM CZARNECKIM
APOLITYCZNA SIATKÓWKA

40 ŁUKASZ ZBORALSKI
RATOWAĆ RATOWNICTWO

42 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
MODA NA CHIŃSZCZYZNĘ

KULTURA

44 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
POLSKA SZTUKA
78. Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Wenecji

46 PIOTR GOCIEK
ŚWIAT VEGI

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 ŁUKASZ WARZECHA
DLACZEGO POLACY SIEDZĄ CICHO
Nie buntujemy się, ale...

56 JAN FIEDORCZUK
TOTALNA INFANTYLIZACJA

58 PAWEŁ PAWŁOWSKI
TRÓJMORZE – POTENCJAŁ DO WYKORZYSTANIA

HISTORIA

60 PAWEŁ GIERECH
AUTOSABOTAŻ NA SOWIECKIEJ DUMIE
Katastrofa na rozkaz Stalina

62 ROZMOWA Z WOJCIECHEM PRZYLIPIAKIEM
WIĘCEJ WIDEO NIŻ WIDEŁ

DODATEK SPECJALNY

65
IDEOLOGIA LGBT
Gender – projekt nowego człowieka?

ŚWIAT

82 OLIVIER BAULT
FRANCJA ZALEGALIZUJE SUROGACJĘ?
Homoseksualiści mają mieć dzieci

84 MAŁGORZATA WOŁCZYK
NOWE ODKRYCIA HISZPAŃSKICH FEMINISTEK

EKONOMIA

90 JACEK PRZYBYLSKI
HYBRYDOWA REWOLUCJA
Postpandemiczny rynek pracy bez makijażu

94 JAKUB WOZINSKI
PAPIEROWE PÓŁWIECZE

FELIETONY:
SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (11), GMYZ, GOCIEK (16), ZYCHOWICZ, KOPER (64), PRZYBYLSKI (86), GABRYEL, WARZECHA (96), KOMUDA (100), ZALEWSKI, WOŁCZYK (104), NOWAK (105), CEJROWSKI (106)

eprasa.pl 39ee1bda30

Z Facebookiem nowe europejskie firmy mogą się rozwijać.

Holenderska firma Hart voor Wijn, specjalizująca się w degustacji win, powstała online podczas pandemii. Jej właścicielka Kirsten van Harten wykorzystała Facebooka i Instagrama, aby docierać do odbiorców docelowych. „Z Facebookiem udało mi się dotrzeć do nowych klientów" – relacjonuje Kirsten. „Facebook był kluczowy dla rozwoju mojej marki podczas pandemii".

Kirsten nie jest jedyna. Niedawne badanie wykazało, że 73% ankietowanych małych firm z UE korzystało z Facebooka i Instagrama do rozwoju działalności*.

Wiele innych małych europejskich firm zmieniło model biznesowy i przeniosło działalność online oraz nasiliło działania w mediach społecznościowych, aby generować sprzedaż. Wiele z tych firm wybrało Facebooka. Z tego samego badania wynika, że ponad połowa małych ankietowanych firm z UE, które używają aplikacji Facebooka, uznaje je za skuteczne źródło nowych klientów w dobie pandemii.

Z Facebookiem nowe firmy z całej Europy mogą się rozwijać.

Dowiedz się więcej na stronie about.fb.com/pl/europe

FACEBOOK

*Badanie firmy Ipsos MORI. W globalnej ankiecie przeprowadzonej w lutym i marcu 2021 r. udział wzięło 7500 małych i średnich firm z UE.

eprasa.pl 39ee1bda30

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Kto zyskuje, a kto traci?

[...] komu bardziej opłaca się Unia Europejska: bardziej Polsce czy bardziej krajom starej Unii? Terytorium naszego pięknego kraju usiane jest ogromnymi bannerami z informacją o współfinansowaniu dróg, budynków, boisk itp. przez „wspaniałomyślną i bezinteresowną" Unię Europejską. Nikt przejeżdżający obok takiego banneru, co oczywiste, nie czyta jego treści dokładnie, pozostaje jednak w przekonaniu, że jazdę nową drogą zawdzięcza kochanej Brukseli. Nie wie, że Unia jedynie współfinansuje tę inwestycję w jakimś procencie, że resztę dokłada budżet państwa lub samorządu, a już na pewno nie jest świadomy faktu, że w tych unijnych pieniądzach zawarta jest polska składka do budżetu UE.

Unia Europejska bardzo dba o to, żeby takie przekonanie w polskim społeczeństwie było powszechne. Jako człowiek, który podpisywał się pod umowami o przyznanie dotacji po obydwu ich stronach, wiem, jaką wagę przywiązuje się w nich do takiej właśnie promocji i jakie są sankcje za nieprzestrzeganie poświęconego jej paragrafu.

Może warto byłoby również przedstawić społeczeństwu, jak wyglądają przepływy finansowe pomiędzy naszym państwem a krajami starej Unii, tj. tzw. płatnikami netto do unijnego budżetu. Przedstawić oczywiście w sposób zrozumiały dla przeciętnego Polaka, niebędącego ekonomistą. Wskazać na fakt, jaki procent korzyści z handlu w Polsce trafia do naszych niby-darczyńców, a jaki pozostaje w Polsce. Częściowo na pytanie, komu się bardziej opłaca przynależność Polski do UE, odpowiadają wartości transferów do i z Polski, które według Eurostatu wskazują, że ok. dwóch razy więcej środków pieniężnych wypływa z Polski do UE, niż wpływa stamtąd do naszego kraju. [...]

Odnosząc się do straszenia KE wstrzymaniem Funduszu Odbudowy za „nieprzestrzeganie praworządności", spostrzegam, że tylko lekkie potrząśnięcie szabelką w postaci zapowiedzi wprowadzenia, w ramach Polskiego Ładu, opodatkowania wielkich korporacji z tytułu dochodów uzyskiwanych w Polsce, może spowodować wycofanie się z tych strachów na Lachów, które pochodzą z instytucji tak jaskrawie łamiących prawo zawarte w traktatach.

Serdecznie pozdrawiam
Grzegorz Grzeliński

REKLAMA

Pani Joannie Kopcińskiej

wyrazy głębokiego żalu i współczucia z powodu śmierci

ŚP.

MAMY

składają

Ryszard Legutko oraz Koleżanki i Koledzy z Grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Cezary Sokołowski/AP/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288 829
Nakład 56,2 tys. egzemplarzy

PSRN
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 39ee1bda30

Wejdź na stronę:
www.kruchekosci.pl

Kruche kości – osteoporoza

Co to jest za choroba?
Kiedy i jak się ją diagnozuje?
Kto jest najbardziej zagrożony osteoporozą?

Czy grozi Ci osteoporoza?

Sprawdź jakie są czynniki ryzyka osteoporozy

Poznaj historie innych i dowiedz się jakie są czynniki ryzyka

Masz już osteoporozę?

Dowiedz się jakie są sposoby leczenia osteoporozy
Czy i jakie ćwiczenia możesz wykonywać?
Jakie są zalecenia dietetyczne – co służy, a co szkodzi Twojemu zdrowiu?

Te i wiele innych, praktycznych informacji znajdziesz na stronie internetowej:

www.kruchekosci.pl

AMGEN®
Amgen Biotechnologia Sp. z o.o.
ul. Puławska 145
02-715 Warszawa

PL-PRO-0821-00007
24.08.2021

eprasa.pl 39ee1bda30

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Braun podtapia Konfederację

Będziesz wisiał!" – te słowa posła Grzegorza Brauna rzucone w stronę ministra zdrowia Adama Niedzielskiego zjednoczyły na chwilę posłów partii rządzącej i w dużej części opozycję. W tym Sejmie nikt nie jest bez grzechu, ale jednak okrzyk konfederaty do ministra był kolejnym przekroczeniem zasad debaty parlamentarnej. Grzegorz Braun jest dla mnie ciekawym przykładem ewolucji w kierunku coraz gorszego stylu polityki. Zaczynał od Pomarańczowej Alternatywy we Wrocławiu, potem był publicystą kwartalnika „Fronda", w 2010 r. przyłączył się do prezydenckiego Komitetu Wyborczego Jarosława Kaczyńskiego, by po wejściu w 2019 r. Konfederacji do Sejmu stać się jedną z najbardziej kontrowersyjnych w nim osób.

Ci wszyscy, którzy cenili go za odważne filmy dokumentalne, typu „Plusy dodatnie, plusy ujemne" o Lechu Wałęsie czy „Towarzysz generał" o Wojciechu Jaruzelskim, z dużą przykrością obserwowali skłonność Grzegorza Brauna do wszczynania awantur na sali sejmowej. Z biegiem czasu rysował się coraz ostrzejszy kontrast między jego ostentacyjnym zaczynaniem przemówień od słów „Szczęść Boże" a awanturami z kolejnymi członkami prezydium Sejmu. Braun chcąc nie chcąc, za pomocą takich wyrazistych demonstracji zaczął być coraz bardziej uważany za twarz konfederatów.

I teraz Konfederacja ma problem. Sposób odnoszenia się do ostatniego skandalu Brauna przez posła Artura Dziambora pokazuje, jak niekiedy próba wybrnięcia z kryzysu medialnego może jeszcze bardziej szkodzić danej partii. Dziambor wyraził opinię, że gdyby Braun krzyknął: „Będziesz siedział" zamiast: „Będziesz wisiał", byłoby w najzupełniejszym porządku. Pomorski poseł zapomina, że takie sztubackie wyczyny położą się cieniem na relacje Konfederacji z PiS. Dla lewicy i obozu liberalnego taka wojenka po prawej stronie to spełnienie najcichszych marzeń. Konfederacja przez ponad dwa lata zasiadania w Sejmie nie potrafi osłabić powracającego stereotypu „chłopców w krótkich spodenkach". To oczywiście efekt wpływu Janusza Korwin-Mikkego na wspólne ugrupowanie, ale i nieustającej oraz nieznośnej chłopięcości frontmanów tej partii. A przecież są to już ludzie, którzy są albo przed czterdziestką, albo ją już jakiś czas temu ukończyli. I na ich czoło właśnie wskutek takich awantur jak ta ostatnia w Sejmie raz po raz wysuwa się Grzegorz Braun. A słupki Konfederacji od dawna balansują między 8 a 10 proc. I jakoś nie chcą drgnąć w górę. Ciekawe, czy Konfederaci zastanawiają się, dlaczego tak jest. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

MNIEJ ZABITYCH NA PRZEJŚCIACH

W pierwszym kwartale po wprowadzeniu pierwszeństwa dla pieszych w Polsce odnotowano wielki spadek liczby zabitych w wypadkach na przejściach. Według policyjnych danych cytowanych przez BRD24.pl od czerwca do sierpnia 2021 r. zginęło ponad 30 proc. mniej pieszych niż w 2019 r. Śmierć w wypadkach na przejściach dla pieszych poniosło 28 osób. W 2019 r. w tym samym okresie w wypadkach zginęło 41 pieszych. Znacząco spadła też liczba rannych (analogicznie 416 wobec 508 pieszych). ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 39ee1bda30

Zmieniamy życie pacjentów dzięki nauce™

W czasie zagrożenia zdrowia, kiedy mamy wyzwania na skalę światową, dzięki współpracy z wieloma partnerami:

opracowujemy nowe leki
udoskonalamy sposób ich dystrybucji
nieprzerwanie dostarczamy leki pacjentom na całym świecie

Bristol Myers Squibb™

Dowiedz się więcej na **bms.com**

ONCPL2011661-01,12.2020

eprasa.pl 39ee1bda30

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Epilog w błocie

Klasyk pisał, że każda tragedia może się powtórzyć jako farsa. W istocie jest jeszcze gorzej: farsę można zrobić nie z powtórki wielkiej tragedii, ale nawet z niej samej. Trzeba do tego tylko czasu i kogoś o podobnej osobowości oraz stylu działania jak Antoni Macierewicz.

W ubiegłym tygodniu złożył on doniesienie do prokuratury na trzech członków swej podkomisji za wypowiedzi, których udzielili oni tygodnikowi „W Sieci". Trzeba przyznać, że nie jest to pierwsza awantura Macierewicza ani z tygodnikiem braci Karnowskich, ani z byłymi współpracownikami – wcześniej wszedł w ostry spór z innym członkiem komisji, Glennem Joergensenem, i ponoć (sam temu potem zaprzeczał) naciskał na TVP, by nie emitowała filmu jego żony, Ewy Stankiewicz. O co się wszyscy wymienieni kłócą, trudno postronnej osobie zrozumieć, bo zasadniczo wszyscy są wyznawcami tyleż radykalnej, co nieudowodnionej (acz sam Macierewicz twierdzi, że wręcz przeciwnie) tezy o wybuchu bomby na pokładzie tupolewa.

Macierewicz oskarża członków swej komisji o zdradzanie tajemnic państwowych, to znaczy tego, co ma być w jego ostatecznym raporcie, który oddala się jak horyzont; w wypadku ostatniego doniesienia tą tajemnicą ma być zapowiedź, że Macierewicz postawi tezę o zamachu, którą to tezę stawia przecież regularnie od samego momentu katastrofy. Byli współpracownicy z kolei zarzucają mu autorytarny styl prowadzenia komisji, manipulowanie jej pracami i ukrywanie finalnego raportu. Tu nawet podejrzewa się, że raportu w ogóle nie ma albo są w nim ustalenia tak miałkie, że ogłosić ich po wszystkich gromkich zapowiedziach nie można.

Trudno tu być po czyjejś stronie. Można tylko współczuć rodzinom ofiar, które od dawna już nie kryją, że czują się oszukane, wykorzystane i rozczarowane, i bezsilnie dziwić się, że działań podkomisji nie przerwano w porę. Tak czy owak, wskutek jej działania mgła, kryjąca okoliczności tragedii, stała się jeszcze gęstsza, a błoto, w której poniewierały się szczątki prawie stu wybitnych obywateli RP, jeszcze bardziej błotniste. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Wiara czy praxis?

Burza wokół działalności o. Malińskiego, dominikanina oskarżonego o przemoc psychiczną i nadużycia seksualne wobec studentów, którymi się zajmował, weksluje – jak to u nas – w sprowadzanie wszystkiego do wymiaru personalnego. Najbardziej w rozrachunki (również byłych współbraci) z byłym prowincjałem, o. Maciejem Ziębą, który temu nie zapobiegł. Z o. Maciejem polemizowałem – dość ostro – na początku lat 90. Pisałem o potrzebie chrześcijańskiego charakteru państwa, ojciec uważał, że wystarczy chrześcijańska obecność w liberalnym państwie. Napolemizowałem się z nim za życia, nie zamierzam przyłączać się do ataków na o. Ziębę po jego śmierci.

Należy natomiast podjąć problem żywy i ciągle realny. Duszpasterstwo o. Malińskiego to bowiem jedynie patologiczny przejaw szerszego problemu. Dlaczego jego działalność mogła budzić zachwyt? Gdzie leżał błąd? Ale przede wszystkim – jak go nie powtórzyć?

Katolicka formacja powinna kształtować indywidualną duchowość, indywidualne poglądy, a w konsekwencji – osobistą i społeczną odpowiedzialność wierzącego chrześcijanina za Kościół i za społeczeństwo, do którego należy. U początku są – zrodzone z wiary, ale dobrze uformowane – katolickie przekonania. Nie stanowi natomiast katolickiej formacji praxis, rozpoznająca „potrzeby religijne" zagubionych ludzi, potrzebujących autorytetu i grupowego oparcia, niewychylających nosa poza „wspólnotę", w której znaleźli przystań. A czasami właśnie to, mimo całej niezdrowej mieszanki autorytaryzmu i personalizmu, bywa traktowane – jeśli zyska odpowiedni rozmiar, liczbowy i emocjonalny – jako „duszpasterski sukces".

Wiara to przyjęcie przez intelekt prawd objawionych, wyjaśnianych przez naukę Kościoła. Tej podstawy nie da się obejść. W ostatecznym rachunku wiara jest oczywiście zawierzeniem Bogu, ale chrześcijanin musi wiedzieć, komu uwierzył (por. 2 Tm 1,12). ©℗

eprasa.pl 39ee1bda30

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O historii nieprzetrawionej

Cuchnie gorzej niż nieprzetrawiony alkohol. Ostatnio przyprawiający o mdłości fetor rozkładającej się, nierozliczonej historii XX w. znów przetoczył się przez całą Italię. Ziali nim z paszczy politycy, historycy i dziennikarze.

Prawicowy wiceminister gospodarki Claudio Durigon zażądał, by parkowi miejskiemu w Latinie nie nadawać imienia antymafijnych sędziów Paola Borselina i Giovanniego Falcone, a przywrócić nazwę sprzed 90 lat: park Arnalda Mussoliniego, brata faszystowskiego dyktatora. Rozpętało się piekło. We Włoszech obaj sędziowie to bowiem postaci mityczne, ofiary odważnej walki z mafią. Wiceminister w końcu złożył rezygnację, ale przedtem perorował, że Arnaldo był wybitnym znawcą rolnictwa i bardzo się zasłużył dla okolic Latiny, modelowego faszystowskiego miasteczka pobudowanego w latach 30. Nazwano je wtedy Littoria.

Niejako w rewanżu lewicowy rektor uniwersytetu w Sienie Tomaso Montanari zażądał, by znieść przypadający 10 lutego Dzień Pamięci o Wygnanych, czyli pamięci o Włochach z Istrii i Dalmacji wymordowanych przez komunistycznych partyzantów Josipa Broza-Tity. Postulat jest tym bardziej obrzydliwy, że przez lata, do 2004 r., o tej komunistycznej zbrodni za sprawą włoskiej lewicy nie wolno było mówić pod groźbą ostracyzmu i medialnego linczu. Profesorek pytany, czemu uważa te mordy za fałsz historyczny, wyjaśniał pokrętnie, że dowody, owszem, są, ale obchodzenie dnia pamięci tych wymordowanych „relatywizuje zbrodnie faszyzmu i nazizmu", więc trzeba ich skazać powtórnie na damnatio memoriae. I dorzucił, że inaczej nie można, bo partyzanci Tity stali po dobrej stronie historii, a włoscy pomordowani cywile po złej.

Włosi zamiast rozliczyć się ze swoją historią, zakłamali ją do cna. Dlatego co kilka lat kłamstwo o faszystowskiej sielance zderza się z kłamstwem o patriotycznej, bohaterskiej komunistycznej partyzantce. Dlatego Durigon i Montanari wygadują haniebne bzdury. Na prawdę już nie ma miejsca.

©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Tlenianie

Wydawało się, że po wpisie Sylwii Spurek na Twitterze odnośnie do jej planów „nie będzie niczego" trudno o zaskoczenie. Przypomnijmy najpierw, co wyszczuplona Sylwia raczyła wykoncypować oraz spisać na TT: „2023: zakaz wykorzystywania zwierząt w cyrkach, delfinariach plus zakaz polowań, w tym wędkarstwa. 2025: zakaz otwierania nowych hodowli. 2030: zakaz badań z wykorzystaniem zwierząt. 2040: całkowity zakaz hodowli zwierząt. Teraz: ochrona zwierząt w konstytucji".

Niestety, znaleźli się tacy, którym plan się nie spodobał. Czy w ogóle można być osobą choćby odrobinę teoretycznie szlachetniejszą w tym zwierzęco-ludzkim braterstwie niż wychudzona, przepraszam, wyszczuplona Sylwia? Cóż można byłoby dodać do tego planu? „2035: weź krowę do domu"? „2038: pogłaszcz szczupaka po brzuszku"? „2041: stworzenie restauracji dla kur, w których kelnerzą ludzie, oferując wybrednemu drobiowi ziarna i dżdżownice"? Och, niewiele to przecież zmienia. Plany wyszczuplonej Sylwii wydają się dla ludzi zwykłych, bezrefleksyjnie pochłaniających schabowe świetlistymi kamieniami milowymi na drodze ku ogólnej wzniosłości.

Pojawili się jednak konkurenci do szlachetności na TT nazywający sami się „tlenianami". Działają w dwóch kierunkach – w klimatycznym i empatycznym. W kierunku klimatycznym domagają się na początek stopniowej likwidacji sportu – zarówno zawodowego, jak i amatorskiego. Mówią także, choć na razie dość ogólnikowo, o nakładaniu podatków na osoby poruszające się ponad miarę (nie ma na razie definicji, czym jest miara, albo nie dotarłem do niej). Ma to twarde uzasadnienie, bo wiadomo przecież, że sportowcy pocą się i sapią, a przy tym zwiększając częstotliwość oddechu, produkują dużo więcej niż ludzie bezruchowi czy mało ruchowi dwutlenku węgla. Dwutlenek węgla to zło, podgrzewa kosmos i temperatura kosmosu może przez to podnieść się ponad zero absolutne. Co wtedy? Nie wiadomo. Nieco mglisty wydaje się kierunek empatyczny, „tlenianie" twierdzą, że cząsteczki tlenu wchłaniane przez płuca ludzkie i tam międlone chemicznie mogą cierpieć i tych cierpień oraz ludzkiego międlenia, a właściwie gwałcenia cząsteczek tlenu przez człowieka (nie ulega wątpliwości, że cząsteczki są wciągane w matnię płuc przemocowo) należy tlenowi oszczędzić. Dobra tam, wymyśliłem tych „tlenian", ale ten świat jest taki głupi, że pewnie pojawią się przyszłym tygodniu na serio.

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

eprasa.pl 39ee1bda30

JESTEM INFLUENCERKĄ. OFICJALNIE

Aktorkocelebrytka Agnieszka Włodarczyk zastanawia się, czy po porodzie powinna wrócić do pracy i doszła do wniosku, że nie. Bo po co? Łatwiej być influencerką i wrzucać zdjęcia na Insta. Mniej stresu, można pracować z domu, a kasa się zgadza. Czego chcieć więcej? – Czy wrócę do normalnej pracy? Kiedy to się stanie? Tego nie wiem. Wiem natomiast, że teraz absolutnie sobie tego nie wyobrażam. Owszem, zdarzyło mi się wziąć udział w programie czy zaśpiewać na letniej trasie Dwójki, ale to była chwila bez małego. Byłam blisko, a Tatuś zajmował się w tym czasie synkiem. Natomiast, żeby pojechać w trasę ze spektaklem? Hmm – nie ma mowy. Jedyna opcja to zabieranie go ze sobą. Ale czy tego chcę? Czy muszę? Nie! Pracuję z domu, pracuję obok niego. I wiecie co? Póki co nie chcę inaczej. Zostałam influencerką, czy się to komuś podoba czy nie – ogłosiła swoją decyzję Włodarczyk. Podoba się, podoba. Bo jeśli wszystkie aktorkocelebrytki dojdą do podobnych wniosków, to nie będzie miał kto grać w polskich komediach romantycznych. Cudowne, prawda?

FOT. PAWEŁ GROMADA

KAMIL ZATROSKANY O BEATĘ

„Zatroskany Kamil Durczok staje w obronie Beaty Kozidrak" – brzmiał tytuł na portalu Pudelek i właściwie to jedno tytułowe zdanie mogłoby być od razu dobrą puentą. Bo co tu więcej dodawać? Można oczywiście przypomnieć fakt, że Durczok sam ma podobne zdarzenie na koncie, więc wie, o czym mówi, albo przytoczyć jego słowa, co niniejszym czynimy.

– [...] Piszę, bo choć nie da się usprawiedliwić i wytłumaczyć tego, co zrobiliśmy, ponosimy niezasłużone, dodatkowe kary. [...] Beata Kozidrak dostarczała nam wielu wzruszeń i emocji. Ja próbowałem dostarczać informacji, by ludzie lepiej rozumieli świat. Nie ma powodu, byśmy przepłacali za nasze błędy. W d.pie mam opinię kilku milionów baranów, z którymi, oprócz dowodu osobistego z nadrukiem PL, nic mnie nie łączy – stwierdził Durczok.

FOT. ANNA KALCZMARZ/DPP/POLSKA PRESS/EAST NEWS

W pewnych momentach milczenie jest złotem. Szkoda, że pan Kamil o tym nie wie.

LUBIĘ BYĆ SAMA?

Dorota Szelągowska, znana z tego, że jest córką znanej pisarki oraz urządza ludziom mieszkania w rozmaitych programach TVN, postanowiła odnieść się do tego, czym żyją portale plotkarskie, a więc do swojego trzeciego rozwodu. – Celebrowałam bardziej mój ostatni rozwód niż ostatni ślub – przyznała Dorota w programie Kuby Wojewódzkiego. – Bo cieszyłam się, że jakiś okres w moim życiu się nareszcie kończy. Uważam, że nie ma o czym rozmawiać – dodała. Następnie stwierdziła, że ma akurat taki moment, że „lubi być w życiu sama". Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że całkiem niedawno ta sama Dorota zamieszkała z nowym partnerem, co odnotowano oczywiście w kolorowej prasie. Coś strasznego te wolne media.

POKAŻ, NA CO CIĘ STAĆ!

Agata Rubik, żona Piotra Rubika, a ostatnio także instagramowa influencerka, postanowiła udzielić swoim fankom kilku życiowych rad. Niedawno żona popularnego dyrygenta przyznała, że bardzo cieszy ją fakt, że nie musi pracować, a teraz wyjawiła swój sposób na to, jak nie rezygnować z rzeczy, na które nas nie stać. Okazuje się to bardzo proste. Według Agaty wystarczy nie dopuszczać do siebie takiej myśli i... gotowe! – Nie myśl, że nie masz, bo rzeczywiście nie będziesz miała – uważa instacelebrytka. – Jeszcze nigdy nie dopuściłam do siebie takiej myśli, że muszę z czegoś zrezygnować, bo mnie na to nie stać. I odpukać, jeszcze nigdy nie musiałam z niczego zrezygnować, bo mnie nie było na to stać – wyznała. Rany, nie wiedzieliśmy, że to takie proste! Teraz aż nam się w głowie nie mieści, że są ludzie, których w życiu na coś nie stać. Natychmiast dawać ich na korepetycje do Rubikowej! ©℗

eprasa.pl 39ee1bda30

TYGODNIK POLSKI DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

eprasa.pl 39ee1bda30

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, czy Wami też wstrząsnął rasistowski skandal, jaki miał miejsce w przerwie meczu Polska–Anglia na Stadionie, no cóż, Narodowym? (Swoją drogą jakaś postępowa redakcja mogłaby sprawdzić, czy w innych krajach obiekty sportowe też się nazywa „narodowymi”).

Przypomnijmy: Kamil Glik wykonał gest zamykania i otwierania dłoni w stronę osoby pigmentalnie uposażonej Kyle’a Walkera, co słynny intelektualista Harry Maguire uznał jako gest rasistowski i powiadomił o nim sędziów.

No ale do rzeczy – otósh Polacy są teraz pewni, iż gest Glika miał na celu przekazanie komunikatu „za dużo gadasz” i nie było w tym żadnego rasizmu, a pochodzący z Podlasia prezes PZPN wspomina nawet o pociągnięciu do odpowiedzialności Maguire’a za fałszywe oskarżenia.

No a my oczywiście nie bylibyśmy sobą, gdyby nie nasza nabyta podczas socjalizacji w wielkim ośrodku wrażliwość, która zmusza nas do zadania pytania: A co, jeśli gest polskiego piłkarza był nieświadomym wyrazem białej supremacji? Może nawet jeśli Glik rzeczywiście nie miał na celu nic złego, to co takiego działo się w jego podświadomości w tej samej chwili? To jest sprawa warta zbadania i mamy nadzieję, że FIFA czy inna UEFA tak szybko nie odpuści!

A co słychać u Was w korpo? Cierpicie już na jesienne przesilenie czy jeszcze nie? Znacie na pewno to uczucie, kiedy macie do zrealizowania jakiś bardzo ważny task i tak sobie siedzicie, patrzycie na e-maila, aż w końcu lądujecie na Onecie, rozwiązując supertrudny quiz o grzybach (14/15 pkt, jesteśmy wytrawnym grzybiarzem).

A tymczasem asap się piętrzy na asapie i dedlajnem pogania. W tej sytuacji zaczęliśmy marzyć o dwudniowym tygodniu pracy – jeden dzień po to, iżby spotkać się z teamem i oplotkować, co tam się ostatnio u kogo działo, a drugi – żeby podsumować tydzień i w dobrych humorach rozejść się do domów.

Fajnie tak sobie pomarzyć. A tymczasem w rzeczywistości mamy u nas wdrażane przez Nowego z Tarnowa jakieś Czarnkowskie idee i każdy dzień nasz dział kadr (powstały w miejsce zlikwidowanego HR, który kojarzył się zbyt postępowo) kończy zabawą w stylu „Poznaj swojego świętego patrona” lub „Jaką postacią z »Trylogii« jesteś”.

Serio, tęsknimy za starymi, dobrymi czasami, kiedy na rekrutacji było trzeba opowiedzieć, z jakim zwierzęciem się utożsamiasz i czy masz coś przeciwko niepłatnym nadgodzinom. To dopiero było. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Prounijnie

Jacek, masz tę czapeczkę?
Jaką czapeczkę, Ela? Ja nic nie wiem.

O matko, przecież ci wysyłałam esemesa: Jarosław prosił, żeby każdy był teraz na naszych konferencjach w takiej czapeczce. Zresztą zobacz sobie.
Czekaj, może mi coś... Bo siedziałem nad tymi cenami prądu... A, faktycznie, coś jest. No bez jaj – ja mam się pokazać w takiej furażerce z gwiazdkami?!

Ja tylko przekazuję życzenie Naczelnika. Mnie prosił, żebym w tym prowadziła obrady. I jeszcze mam sobie flagę unijną, taką małą, postawić na pulpicie.
Jaja sobie robisz?

Nie. Takie są polecenia. Ma być teraz bardzo prounijnie, do odwołania przynajmniej. A o tym nowym teleturnieju, co ma Kura u siebie wprowadzić, to słyszałeś?
Nie. A co?

„Kocham Unię”, czy jakoś tak. W pierwszym odcinku będą pytania z życiorysów ojców Europy i von der Leyen. W nagrodę staż w biurze u Rysia Czarneckiego.
Płatny?

Tak, trzeba będzie Rysiowi zapłacić. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Rzeczywistość w Polsce to dokładne zaprzeczenie uchwał przyjmowanych przez PiS”.

***TOMASZ LIS**, publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl 39ee1bda30

Karpacz niczym Davos

Przez trzy dni września gospodarcza stolica Polski przeniosła się z Warszawy do Karpacza. W XXX edycji Forum Ekonomicznego w Karpaczu wzięło udział ponad 4 tys. gości, w tym obecni i byli premierzy, ministrowie, ambasadorzy, biznesmeni, naukowcy oraz dziennikarze z kilkudziesięciu krajów świata

Z debaty „Czy szkoła może wychować patriotycznie?" z udziałem ministra Przemysława Czarnka

Hasło jubileuszowego Forum Ekonomicznego brzmiało „Europa w poszukiwaniu przywództwa". Od 7 do 9 września w hotelu Gołębiewski w Karpaczu najważniejsi przedstawiciele świata polityki, biznesu, nauki oraz mediów wzięli udział łącznie w 414 panelach poświęconych najważniejszym kwestiom współczesnego świata – od reformy Unii Europejskiej, bezpieczeństwa energetycznego i inteligentnych miast poczynając, poprzez zrównoważony rozwój, ekologię i ochronę zdrowia, a na Przemyśle 4.0, perspektywach ekonomicznych Europy oraz społeczno-gospodarczych skutkach pandemii COVID-19 kończąc.

PRESTIŻ I PIENIĄDZE

Forum Ekonomiczne w Karpaczu jest największą w Europie Środkowo-Wschodniej platformą spotkań, podczas których nie tylko opisuje się rzeczywistość, lecz także kreuje rozwiązania i podaje innowacyjne pomysły na przezwyciężanie kryzysów.

Jak co roku impreza organizowana przez Fundację Instytut Studiów Wschodnich przyciągnęła więc najważniejsze osoby z Polski, a także z innych krajów Europy, ze Stanów Zjednoczonych czy z Azji. Wśród VIP-ów nie zabrakło premiera Mateusza Morawieckiego, szefów rządów Ukrainy i Słowenii czy ministra spraw zagranicznych Węgier Pétera Szijjártó. Do Karpacza zjechali też prezesi największych państwowych i prywatnych spółek oraz goście z Niemiec, Litwy czy Białorusi, którzy skorzystali z wyjątkowej możliwości prowadzenia bezpośrednich rozmów na najwyższym szczeblu oraz wysłuchania paneli, które tłumaczone były łącznie na kilkadziesiąt różnych języków świata.

Na tak prestiżowej imprezie nie mogło też zabraknąć tygodnika „Do Rzeczy". Redaktor naczelny Paweł Lisicki poprowadził w Karpaczu trzy debaty zorganizowane wspólnie z Ministerstwem Edukacji i Nauki. Dotyczyły one m.in. współczesnych zagrożeń dla wolności słowa, autonomii uniwersytetów, a także poszukiwania sposobów, aby patriotyzm był przez młodych Polaków postrzegany atrakcyjnie. Paweł Lisicki wraz z redaktorami naczelnymi ze Słowacji, z Czech oraz z Węgier wziął też udział w debacie dotyczącej rynku mediów i informacji w państwach Grupy Wyszehradzkiej prowadzonej przez Macieja Szymanowskiego, dyrektora Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka.

CZŁOWIEK ROKU I FIRMA ROKU

Tradycyjnie podczas Forum Ekonomicznego w Karpaczu przyznano tytuły Człowieka Roku oraz Przedsiębiorstwa Roku. Pierwszy z nich otrzymał premier Słowenii Janez Janša. Firmą roku ogłoszona została zaś KGHM Polska Miedź SA.

Były marszałek Sejmu Marek Kuchciński, minister infrastruktury Andrzej Adamczyk oraz prezes Polskiego Funduszu Rozwoju Paweł Borys zostali wyróżnieni tytułami Osobowości Roku. Tytuł organizacji pozarządowej roku 2020 otrzymał z kolei Związek Harcerstwa Polskiego. Nagrodę Gospodarczą SGH otrzymał prezes zarządu Grupy Maspex Krzysztof Pawiński. Nagrodę prezydenta Wrocławia – Biznes Odpowiedzialny Społecznie – otrzymały firmy BSH, 3M i Techland.

Wręczona została również Nagroda Specjalna dla społeczeństwa Ukrainy, którą odebrał premier Ukrainy Denys Szmyhal. A także Nagroda Polonijna Forum Ekonomicznego, której laureatami zostali przewodnicząca Związku Polaków na Białorusi Andżelika Borys oraz członek jego Rady Nadzorczej – Andrzej Poczobut (w ich imieniu wystąpili Irena Biernacka i Maria Tiszkowska).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 39ee1bda30

Miło nam, że szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński oficjalnie potwierdził informację, którą podajemy od paru miesięcy – że wkrótce przestanie być wicepremierem i znów zostanie zwykłym posłem. Krótką historię stanowiska stworzonego do nadzorowania relacji Gowin-Ziobro oraz Ziobro-Morawiecki uważamy za zakończoną.

Szeregowy poseł Jarosław Kaczyński będzie teraz zajmował się partią, w której wystąpił nieoczekiwany kłopot. Otóż miały nastąpić wielka reorganizacja struktury i inne ważne rzeczy. Ale na razie króluje dziwna bierność. Na przykład nie ma chętnych na stanowiska lokalnych koordynatorów, choć ma być to prawdziwa praca, na etat, za prawdziwe pieniądze. Jak znamy naczelnika, to teraz szybko chętni się znajdą.

Będą i inne zmiany w rządzie. Na przykład powrót Ministerstwa Sportu, wcielonego niedawno do resortu kultury. To właściwie przesądzone. Trwają targi o to, kto miałby być szefem nowego-starego resortu. Mógłby np. przypaść Partii Republikańskiej Adama Bielana. Sam Bielan do rządu nie wejdzie.

Apropos sportu. Richard Henry Czarnecki został pełnomocnikiem PiS do spraw sportu. Nigdy takiego pełnomocnika nie było, więc niektórzy się zastanawiają: Po co? Odpowiadamy: A myślicie, że jeśli resort sportu dostanie jakiś koalicjant, to nie trzeba będzie tej całej ferajny pilnować?

Szykuje się ciekawa oferta. Te najlepsze, jak wiadomo, nie są dostępne dla wszystkich. I tak właśnie jest z propozycją, żeby uciekinierzy ze Zjednoczonej Prawicy, zwani gowinowcami, znaleźli spokojną przystań w Peezelu przemalowanym dla niepoznaki na Koalicję Polską. Zieloni bracia chętnie by ich u siebie widzieli, ale pod jednym warunkiem – bez Jarosława Gowina. Czyli właściwie nie jest to oferta dla gowinowców, tylko dla bezgowinowców.

Nie jest to jedyna oferta. Za powyższym rozwiązaniem optują doświadczeni zieloni towarzysze – tacy, którzy kiedyś byli ministrami, a czasem nawet jeszcze działaczami Zeteselu. Nie ufają bowiem Gowinowi za grosz. Ich młodsi, mniej doświadczeni koledzy, jak np. Kosiniak-Tygrys, uważają, że nie ma co tak ostro, że wszystko jakoś się ułoży.

Trudne dni nadchodzą natomiast dla samorządu województwa podkarpackiego. Prognoza pogody zakłada burzę i trzęsienie ziemi. Wszystko przez to, że gowinowcy sami się ze stanowisk nie usuną. A jako że trochę nawywijali, pomoże im w tym CBA.

Polityka zagraniczna. Klamka zapadła, ambasador Marek Magierowski, którego po występach niejakiego Ja'ira Lapida odwołano do Warszawy na konsultacje, już nie wróci do Tel Awiwu na placówkę. I to nie dlatego, że Lapid powiedział mu, żeby na razie nie wracał. Uznano, że skoro Izraelczycy grubo przegięli w antypolskiej nagonce, to najprzyjaźniejszy im polski ambasador zostanie skierowany na odcinek amerykański (o czym już, jako pierwsi, jakiś czas temu pisaliśmy). Magierowski był pierwszym polskim dyplomatą, który zawziął się i w rok nauczył się języka hebrajskiego.

Mamy wieści z terenów stanu wojennego. Tfu! Stanu wyjątkowego, oczywiście. Jest tam zaprzyjaźniony obiekt turystyczny. Właściciele są absolutnie zachwyceni kaczystowskim reżimem. Po latach udręki z turystami mają wreszcie chwilę spokoju. Nie muszą codziennie zmieniać pościeli, znosić fochów warszawki, gotować posiłków, a kasa im wpada taka sama, jak gdyby musieli to robić, bo w końcu od czego są rządowe odszkodowania. Po cichu modlą się, żeby Łukaszenka poprowadził wojnę jeszcze przynajmniej do Bożego Narodzenia i sylwestra, kiedy mają największe obłożenie.

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

W ubiegłym tygodniu Kantar jako jedyna w Polsce pracownia ogłosił, że po kryzysie granicznym PiS spada, a Platformie rośnie. Wiadomość ta niezmiernie ucieszyła Budkę. Borysław złożył nawet dziękczynienie na Twitterze. Jest jednak pewnie problem, Budka jest chyba jedynym w PO, który wziął wyniki zaprzyjaźnionego Kantaru na poważnie. Bo nasze platformiane wiewiórki marszczą noski z niesmakiem oraz twierdzą, że tym razem Kantar w propagandzie sukcesu przegiął. I to mocno.

Z listów. Po informacji z ubiegłego tygodnia o trudnych losach spotkań z rolnikami, w których biorą udział premier Mateusz oraz minister rolnictwa Puda, otrzymaliśmy taki oto list. Ponieważ jest piękny, cytujemy go w całości: Minister rolnictwa i rozwoju wsi Grzegorz Puda nie uczestniczył w żadnym spotkaniu premiera Mateusza Morawieckiego pod Łodzią. Podczas spotkań prezesa Rady Ministrów z rolnikami, w których uczestniczył minister Puda, nie było wyrazów dezaprobaty rolników wobec ministra".

Ponieważ po otrzymaniu powyższego dementi wpisaliśmy ministerialny Departament Informacji i Komunikacji na listę naszych ulubionych dementorów, od razu proponujemy, żeby zdementował taką oto notkę: „Minister Grzegorz Puda nie uczestniczy w żadnych spotkaniach premiera Mateusza Morawieckiego. Podczas spotkań prezesa Rady Ministrów z rolnikami, w których uczestniczy minister Puda, padają wyłącznie okrzyki zachwytu, jęki ekstazy, burzliwe oklaski oraz inne wyrazy aprobaty wobec ministra". Czekamy. ©℗

eprasa.pl 39ee1bda30

CZAS NA KOŚCIÓŁ BEZ KOMPROMISÓW

Dlaczego Rod Dreher tyle lat po upadku komunizmu podjął temat opozycjonistów, którzy uczyli obrony przed zakusami czerwonego totalitaryzmu? Skąd pomysł powrotu do Sołżenicyna, Havla czy Miłosza? To proste: totalitaryzm czerwony przepoczwarzył się w totalitaryzm liberalny. To nie jest opowieść o przeszłości, lecz o teraźniejszości i przyszłości. To książka dla tych, którzy nie chcą ulec walcowi powszechnej opresji. Kto pragnie zachować wiarę w Boga i wolność myślenia, powinien ją przeczytać.

PAWEŁ LISICKI,
redaktor naczelny „Do Rzeczy"

~~30,90~~
23,90

Odbierz dodatkowy rabat*

-5%

na hasło:
DO RZECZY

Zamówienia telefoniczne: 12 264 37 09, 12 395 70 72 (pn–pt 8:00–16:30) Przez internet: www.esprit.com.pl. Zamówienie na kwotę 99 zł lub więcej – przesyłka gratis.

* Kod rabatowy jest ważny do końca września 2021 r.

esprit

www.esprit.com.pl

eprasa.pl 39ee1bda30

Rafał A. Ziemkiewicz

Sport utracony

Mylili się ci, którzy wieszczyli, że sport zniszczą komercja i doping. Sport niszczy dziś ideologia. Ci, którzy do tej pory tego nie widzieli, zorientowali się po meczu z Anglią i oskarżeniach o rasizm

Budowniczowie „Nowego Wspaniałego Świata", starający się przechwycić kontrolę nad wszystkimi dziedzinami życia publicznego i wszystko zmienić w narzędzia do narzucenia Zachodowi jedynie słusznej, neomarksistowskiej ideologii, nie mogli oczywiście pozostawić w spokoju dziedziny wywierającej taki wpływ na społeczeństwo jak sport. A propagujące tę ideologię organizacje mają potężnych sponsorów, w większości tych samych co sport – przypomnijmy, że tylko jedna oficjalna „koalicja biznesu na rzecz LGBT+" zarejestrowana przy Kongresie USA obejmuje ponad 400 największych światowych koncernów o gigantycznych przychodach. Nacisk na organizacje sportowe jest więc bardziej skuteczny niż kiedykolwiek.

Bo oczywiście wykorzystanie sportu do politycznej propagandy to nic nowego. Już Adolf Hitler próbował przekształcić olimpiadę w wielki pokaz wyższości rasy aryjskiej, narzucając zwycięzcom gest „salutu rzymskiego" podczas odbierania trofeów, czemu zresztą podporządkowało się wielu medalistów z krajów zachodnich.

Związek Sowiecki przykładał do bicia rekordów w sporcie nie mniejszą wagę niż do podboju kosmosu, wkładając w selekcję i przygotowanie reprezentujących „przodujący ustrój" kadr nieproporcjonalnie wielki wysiłek i wycofując się z rywalizacji tam, gdzie nie mógł liczyć na sukces (dlatego nie uczestniczyli w światowych pucharach i turniejach sowieccy futboliści). A NRD stworzyła nawet cały system „hodowli czempionów", którzy mieli na stadionach i w halach sportowych całego świata przekonywać, że człowiek socjalistyczny jest także pod względem kultury fizycznej lepszy od kapitalistycznego.

eprasa.pl 39ee1bda30

FOT. ALEXANDER HASSENSTEIN/REUTERS/FORUM

Wywołujące dziś największy opór i irytację kibiców zmuszanie zawodników do manifestacyjnego klękania przed meczem – co ma symbolicznie podkreślać winy białej rasy i cywilizacji Zachodu wobec kolorowych – czerpie więc z tradycji bogatszej, niż inicjatorzy tego zwyczaju chcieliby przyznać. I dawniejszej niż ruch Black Lives Matter, który zmuszanie przypadkowych białych do klękania przed czarnymi na ulicy uczynił symbolem swej kampanii „przywracania rasowej sprawiedliwości" po śmierci George'a Floyda.

Skoro wspomnieliśmy tu o olimpiadzie berlińskiej w roku 1936, to warto wskazać, że symboliczne, publiczne upokarzanie „winnych" ma historyczne pierwowzory. Podczas okupacji Zagłębia Ruhry, podjętej w 1923 r. w odpowiedzi na opóźnienia Niemiec w spłacaniu wojennej kontrybucji, zirytowani biernym oporem żołnierze francuscy i belgijscy zmuszali Niemców do zdejmowania czapek i kłaniania się im, w ramach ekspiacji za zbrodnie niedawnej wojny. Kto nie okazywał okupantom należnego szacunku, ten ryzykował ciężkie pobicie. Ten zupełnie dziś zapomniany pomysł symbolicznego „wymierzania sprawiedliwości" (z punktu widzenia Francuzów i Belgów) był potem latami przypominany i używany do jątrzenia przez propagandę nazistów i niewątpliwie miał swój udział w rozbudzeniu emocji, które dały im władzę.

NIE W NASZYM IMIENIU

Można oczywiście nie znać historii, ale wystarczy zdrowy rozsądek, by wiedzieć, że oczywistym skutkiem narzucania „białej rasie" zbiorowej odpowiedzialności i rytuału symbolicznego upokarzania – a rany zadane symbolicznie potrafią boleć nawet bardziej od realnych – musi być żywiołowy sprzeciw kibiców. Nie tylko Polacy gwiżdżą, gdy brytyjska reprezentacja odprawia politpoprawny rytuał przebłagalny za krzywdy ras kolorowych. Gwiżdżą przede wszystkim sami kibice brytyjscy.

Czy gwiżdżą słusznie? Na pewno taka symboliczna odmowa udziału w narzucanym politycznym rytualne, jedyny dostępny tłumowi sygnał „nie w naszym imieniu", jest zrozumiała. Trzeba być tak oderwanym od rzeczywistości jak Maciej Stuhr i inni celebryci, ciskający salonowe gromy na gwiżdżącą widownię, żeby w wygwizdywaniu klęczących piłkarzy widzieć rasizm. To właśnie rytuał

eprasa.pl 39ee1bda30

klękania w swej istocie stanowi rasizm w najczystszej postaci. Chodzi w nim przecież o oznaczanie „kainowym piętnem" bardzo szerokiej grupy społecznej – zwykle określanej jako biali heteroseksualni mężczyźni – za winy ludzi z innych czasów, innych krajów, przeważnie zresztą na użytek dzisiejszych kampanii politycznych i budzenia nienawiści bardzo zmitologizowane.

Spróbujmy sobie wyobrazić, że Żydzi przy różnych okazjach klękają zbiorowo za historyczne przewiny rekinów finansjery. Albo jako zbiorowo winni zbrodni bolszewizmu – niechby nawet z własnej inicjatywy? Albo że Murzynom z Afryki narzuca się obowiązek klękania przed Murzynami z Ameryki, jako przed potomkami tych, których ich przodkowie wyłapywali, zakuwali w dyby i pędzili na wybrzeże, by sprzedać tam handlarzom niewolników? (To ostatnie nie wydaje się wcale takie absurdalne, skoro wśród klękających są też zasymilowani piłkarze kolorowi).

PROWOKACJE JAK TĘCZOWE PARADY

Za demonstracją z klękaniem piłkarzy stoi ten sam zamysł, który w Polsce nadał manifestacjom homoseksualistów charakter bluźnierczych orgii, których uczestnicy licytują się w obrażaniu dobrego smaku i, przede wszystkim, najważniejszych polskich symboli patriotycznych. Tak jak opaskudzanie na tęczowo Matki Boskiej i kotwicy Polski Walczącej czy ciota demonstracyjnie wywijająca jęzor i czochrająca się po nabiale w stronę Marszu Niepodległości mają sprowokować akty wrogości wobec homoseksualistów i dać rozgrzanym i dobrze dofinansowanym wojskom polityczno-medialnym asumpt do rozstrzygającego natarcia i zmiażdżenia „ciemnogrodu", tak samo i „antyrasistowska" akcja na stadionach jest prowokacją. Stadiony, szczególnie piłkarskie, jako tradycyjne miejsce eksponowania uczuć i haseł patriotycznych zawsze były dla lewicy solą w oku, wielokrotnie już podejmowała ona różne akcje „czyszczenia trybun" czy „wykopywania ze stadionów faszyzmu" (w Polsce decydowanie o tym, co jest „stadionowym faszyzmem", powierzono, przypomnijmy przy okazji, niesławnej pamięci „antyfaszyście" Simonowi Molowi).

Symboliczne upokarzanie stadionów, zgodnie z założeniami, zaowocowało kolejnymi pretekstami do ataku na „rasizm" – przegrana meczu, o której zadecydowały dwa rzuty karne niestrzelone akurat przez czarnych zawodników, zaowocowała wielką mobilizacją mediów i władz przeciwko „rasistowskim komentarzom kibiców", której skutkiem były wypadki relegowania ze studiów bądź wyrzucania z pracy. Czy komentarze, za które kibiców karano, istotnie miały charakter rasistowski, trudno powiedzieć. W ogólnej histerii, którą rozpętano, „rasizmem" ogłaszana jest każda wzmianka o kolorze. Niedawno ukarano i zmuszono do upokarzających przeprosin hiszpańską dziennikarkę sportową Lorenę Gonzalez za wychwyconą przez mikrofon przypadkowo uwagę o jednym z piłkarzy „facet jest czarniejszy od swojego garnituru".

Stadiony, szczególnie piłkarskie, jako tradycyjne miejsce eksponowania uczuć i haseł patriotycznych zawsze były dla lewicy solą w oku

W świetle tej paranoi nie dziwi, że czarnoskóry piłkarz oskarżył naszego reprezentanta o rasizm, najpierw twierdząc, że ten uderzył go w szyję (sędzia faulu nie stwierdził), a gdy pokazano filmowy zapis sytuacji, zmieniając wersję na „rasistowski gest", którym miał być z niczym szczególnym niekojarzący się ruch dłoni. Przypomina to sytuację sprzed Euro 2021, gdy np. holenderskie media rozpowszechniły na cały świat oskarżenie, że jacyś Polacy podczas treningu czarnego zawodnika „wydawali małpie odgłosy". Potem okazało się, że sprawa była od początku do końca zmyślona, ale – jak widać – już wtedy musiały istnieć jakieś wytyczne, kogo w świecie sportu oskarżać o rasizm.

Ponieważ w dobrze prowadzonych kampaniach „wychowywania społeczeństwa" obok bata musi być i marchewka, rewolucja ideologiczna używa sportu także do promowania wzorców „pozytywnych". Wzorcem pozytywnym jest oczywiście homoseksualizm – dlatego bohaterem pozytywnym stał się kapitan niemieckiej reprezentacji piłkarskiej, Manuel Neuer, który zamiast tradycyjnej, jednokolorowej, założył na mecz kapitańską opaskę w sześciu kolorach używanych jako symbol LGBT (potocznie zwanych tęczą, jakkolwiek nigdy dość przypominania, że tęcza ma siedem kolorów, i że LGBT przypadkiem usunęło z niej ten akurat – indygo – który w tradycji żydowskiej i chrześcijańskiej, gdzie tęcza symbolizuje siedem warunków przymierza z Bogiem zawartego przez Noego po Potopie, wiązany jest z etyką seksualną).

Ponieważ federacja piłkarska oficjalnie zakazuje używania na stadionach symboli politycznych – to właśnie pod tym pozorem karano polskie kluby piłkarskie za historyczne symbole wojskowe i patriotyczne, które wskazał PZPN jako „faszystowskie" Simon Mol – UEFA zapowiedziała postępowanie w tej sprawie, ostatecznie jednak uznała, że wprawdzie Neuer politycznej opaski nosić nie powinien, ale ponieważ była to akcja „w dobrej sprawie", kary nie będzie. Nawet ten salomonowy wyrok rozjuszył postępowe media, które ogłosiły, że „samo podjęcie postępowania spowodowało na wizerunku UEFA rysę, która długo nie zniknie".

Jeszcze bardziej rozjuszyła wspomniane środowiska inna decyzja UEFA, udaremniająca plany władz miejskich Monachium (których naśladowanie zapowiadały już także inne niemieckie miasta) podświetlenia na tęczowo całego stadionu. Miało to nastąpić podczas meczu z drużyną Węgier w ubiegłorocznych mistrzostwach jako demonstracja potępienia Węgier za przyjęcie ustawy przeciwdziałającej promowaniu ideologii LGBT. Choć więc akcja była czysto polityczna i nie miała nic wspólnego ze sportem (skąd zresztą władze Monachium mogły wiedzieć, czy piłkarze są akurat zwolennikami polityki Orbána czy nie?), to w uzasadnieniu szermowano oczywiście argumentem, że „to nie jest akcja polityczna", tylko „obrona prześladowanej mniejszości".

Nazywanie „obroną prześladowanej mniejszości" ideologii, za którą stoją rządy zachodnich mocarstw, miliardy dolarów, największe koncerny, której wyrazem są oficjalnie celebrowane „parady" i „miesiące dumy" i którą Zachód próbuje w imperialny sposób narzucić całemu światu, jest kłamstwem tak samo grubym, jak za czasów sowieckich nazywanie siatki zależnych od Moskwy organizacji komunistycznych „międzynarodowym ruchem robotniczym". Ale równie skutecznym. UEFA zdołała wprawdzie obronić stanowisko, że „tęcza" jest symbolem politycznym i ideologicznym, a nie „ludźmi", i planowanych iluminacji zakazała, ale towarzyszyły temu długie, uniżone deklaracje przeciwko „homofobii" i na rzecz

eprasa.pl 39ee1bda30

„mniejszości". Widać tu wyraźnie, pod jak ogromnym naciskiem znalazła się piłkarska federacja, do niedawna uchodząca za potęgę i nikogo się nielękająca.

WYPYCHANIE DZIEWCZYN

Jak wielki jest lęk przed narażeniem się LGBT, można też zaobserwować na przykładzie zawodów lekkoatletycznych. Tu z kolei z ogromną mocą ujawnił się problem, od którego piłka nożna na razie jest wolna – „prawa transkobiet", czyli po prostu mężczyzn, którzy wpinają sobie kokardkę we włosy, oznajmiają, że poczuli się kobietami, i występują w damskich konkurencjach. I oczywiście – wygrywają, bo są z natury, której oficjalnie zaprzeczają, więksi, silniejsi i wytrzymalsi.

W istocie nie mówimy tu o transkobietach, jak można by nazwać kogoś, kto urodzony mężczyzną przeszedł operację i terapię hormonalną zmieniającą płeć. Podczas transmisji z olimpijskiego konkursu podnoszenia ciężarów można było nawet z daleka podziwiać, jak nowozelandzkiej „zawodniczce", Laurel Hubbard, wyraźnie rysują się pod obcisłym kostiumem męskie genitalia. Podobnie było podczas niedawnego żenującego widowiska „pierwszej walki transkobiety w konkurencji MMA", w którym rosły facet, naśladujący kobietę tylko fryzurą, pierze dziewczynę na kwaśne jabłko i okrwawia ją ku niezdrowemu entuzjazmowi publiczności.

Plaga ta zaczęła się w sporcie młodzieżowym w USA. Istniejący tam, odmienny niż w Europie, system promowania kultury fizycznej sprawia bowiem, że sukces sportowy jest przepustką na najbardziej pożądane wyższe uczelnie i do najlepszych programów stypendialnych. Po wprowadzeniu „równościowego" prawodawstwa w kolejnych demokratycznych stanach zaroiło się w nich natychmiast od cwaniaków, którzy nagle odkrywali w sobie nową „identyfikację" i gromiąc rywalki w szkolnych zawodach, skutecznie wypychali dziewczyny zarówno ze sportu, jak i ze studiów. Wychodząc naprzeciw oburzeniu rodziców i samych dyskryminowanych zawodniczek, położył temu kres na pewien czas federalnymi zarządzeniami Donald Trump – ale zmiana tych jego zarządzeń była bodaj pierwszą decyzją podjętą po objęciu urzędu przez Joe Bidena. Z kolei rozporządzenie tego ostatniego, narzucające dopuszczanie „transkobiet" do sportu kobiecego, równie błyskawicznie odrzucone zostało przez gubernatorów stanów republikańskich. Sprawa ta, właśnie z uwagi na powiązanie z dostępem do wyższych uczelni budząca ogromne emocje, stała się istotną częścią narastającego buntu konserwatywnych stanów przeciwko opanowanemu przez liberalnych radykałów Waszyngtonowi.

Oczywiście jednak plaga mężczyzn podających się za kobiety nie mogła nie zaznaczyć się także w sporcie „dorosłym" – zwłaszcza tych jego dziedzinach, w których walczy się o wymierne nagrody. Dla postępowego świata szokiem było swego czasu relegowanie z władz światowej federacji tenisowej Martiny Navrátilovej, nie tylko wybitnej tenisistki, lecz także zdeklarowanej lesbijki, wychowującej nawet w lesbijskim „małżeństwie" dwoje dzieci. Powodem, dla którego nagle stała się ona „faszystką", była wygłoszona publicznie opinia, że to z gruntu niemoralne, by kobieta, która przez wiele lat ciężko trenowała, pozbawiana była sukcesu, bo nagle mężczyzna, który na chwilę „poczuł się kobietą", zabiera jej medale i nagrody sprzed nosa. Coś mogłaby o tym powiedzieć nasza olimpijka, Joanna Jóźwik, której na olimpiadzie w 2016 r. należał się srebrny medal, ale oficjalnie była dopiero piąta, bo całe podium zajęli „hormonalni mężczyźni", w których produkowaniu, na bazie biologicznych kobiet, wyspecjalizowały się kraje afrykańskie – wszystko wskazuje, że według wzorców dawnego NRD.

Gwoli uczciwości trzeba przyznać federacji lekkoatletycznej, że dzięki wprowadzonym w reakcji na tamten głośny wyścig nowym przepisom dziś taka sytuacja nie mogłaby się już powtórzyć. Wprowadzono bowiem normy i pomiary męskich oraz żeńskich hormonów i każdy, kto chce startować w żeńskiej konkurencji, musi wykazać się odpowiednim ich poziomem przez cały rok przed startem.

W istocie jednak niewiele to zmienia. U biologicznego mężczyzny można stosowną terapią utrzymać przez rok dopuszczający do zawodów wynik, można mu na nawet zoperować genitalia i w żaden sposób nie zmieni to faktu, że zachowa on masę mięśniową, wydolność serca i skład krwi typowe dla mężczyzny.

Do walki z faktycznym niszczeniem sportu kobiecego przez „transkobiety" zmobilizowały się organizacje feministyczne, zawiązując przed ostatnią olimpiadą platformę Sojusz przeciwko Wymazywaniu Kobiet. Okazało się jednak, że czas triumfów ma już feminizm za sobą – dawni jego sponsorzy i sojusznicy zdecydowanie preferują w skrócie LGBT ostatnią literę. Apel o zablokowanie prawa ustalającego „tożsamość płciową" wyłącznie na podstawie deklaracji osoby zainteresowanej odniósł ograniczony skutek, bo – jak przyznały działaczki Sojuszu – większość deklarujących poparcie autorytetów zwyczajnie boi się publicznie wyrazić swe poglądy, gdyż grozi to medialnym linczem i utratą sponsorów. Jeśli można było usunąć ze związku tenisowego Navrátilową, jeśli wydawnictwo mogło zablokować druk książki tak bestsellerowej autorki jak J.K. Rowling (pod analogicznym oskarżeniem o „transfobię"), a ministerstwo do spraw równości w arcypolitpoprawnej Kanadzie premiera Trudeau oficjalnie odpowiedziało na postulaty tamtejszych organizacji feministycznych odmownie, stwierdzając, że nie może spełnić postulatów „praw kobiet" z powodu niemożności skonstruowania prawnej definicji pojęcia „kobieta" – to kto odważy się stanąć na drodze potęgom wspierającym „prześladowaną mniejszość"?

FEMINIZM STROLLOWANY

Swoją drogą, trudno o lepszy dowód, że kolejna rewolucja, jak zwykle, pożarła swoje dzieci. To oczywiście część szerokiego zjawiska „strollowania" przez LGBT feminizmu – regularnie dostarczającego konserwatystom schadenfreude, jak choćby, gdy kilka dni temu na „paradzie równości" lesbijki maszerujące z transparentem „Lesbijki nie chcą penisów" zostały zaatakowane i usunięte z pochodu przez bojówkarzy „antify". Sport jest tylko jedną z dziedzin, w której przejawia się ta nowa „walka klas". Tak długo, jak długo ludzie się nim interesują, lewica będzie zaprzęgać go do swojej inżynierii społecznej, choćby na najbardziej podstawowym poziomie, jak czyni to np. „Gazeta Wyborcza", która zaatakowała naszego narciarza za przeżegnanie się przed skokiem (w obrzydliwym tekście niejakiego Kuczoka ten modlitewny gest nazwano szyderczo „wymię ojca"), a popadła w szaleńczy wręcz entuzjazm, gdy jedna z wioślarek zadedykowała medal „swojej dziewczynie".

Pytanie oczywiście, czy jeśli lewica, mając tak potężne wsparcie, zdoła przefasonować sport po swojemu, to z tego zainteresowania cokolwiek pozostanie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 39ee1bda30

FOT. MATEUSZ MAREK/PAP

eprasa.pl 39ee1bda30

Z prof. Marcinem Wiąckiem, rzecznikiem praw obywatelskich
rozmawia Karol Gac

Prawo ma służyć ludziom

KAROL GAC: Już się pan przyzwyczaił?

PROF. MARCIN WIĄCEK: Bardzo się staram. Moje życie zmieniło się o 180 stopni – byłem człowiekiem nauki, a nagle pojawiły się przede mną nowe zadania i ogromna odpowiedzialność. Kieruję pracą 300-osobowego biura i muszę znaleźć czas, aby poznać wszystkich pracowników. Na dodatek towarzyszy temu dynamiczny rozwój wydarzeń zewnętrznych, wymagających interwencji RPO. Dotychczas jako naukowiec każdy problem starałem się analizować raczej samodzielnie, ale w Biurze RPO potrzebna jest praca bardziej zespołowa. Chociaż oczywiście w sprawach najważniejszych odpowiedzialność spoczywa na mnie.

Kiedy pierwszy raz pojawił się pomysł, by to pan był kandydatem na Rzecznika Praw Obywatelskich?

Pod koniec ubiegłego roku. Prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz wystąpił wtedy z prośbą do wydziałów prawa o przedstawienie osób, które warto byłoby rozważyć w kontekście wyboru na urząd RPO. Na Radzie Wydziału Prawa i Administracji UW odbyło się głosowanie, w którym zająłem drugie miejsce za mec. Zuzanną Rudzińską-Bluszcz, ale pierwsze wśród pracowników uczelni. To wystarczyło, by na pewnym etapie, po kilku nieudanych próbach wyboru, rozważyć moją kandydaturę. Myślę, że dla każdego prawnika taka propozycja byłaby zaszczytem.

Co sprawiło, że człowiek biblioteki, który nie afiszował się ze swoimi poglądami, zdecydował się zamienić to na bardzo eksponowane stanowisko?

Moją postawę związaną z brakiem jakichkolwiek wypowiedzi o charakterze politycznym mam zamiar kontynuować. Zdaję sobie sprawę, że poglądy prawne mają swoje następstwa w świecie politycznym i jest to nie do uniknięcia. Natomiast dbam o to, by wszystkie tezy, które wygłaszam, były oparte wyłącznie na wiedzy prawnej.

To była bardzo ważna decyzja życiowa, którą konsultowałem z rodziną i przyjaciółmi. Zawsze marzyłem o tym, by moja wiedza mogła służyć dobru wspólnemu. Mój mistrz, prof. Janusz Trzciński, uczył mnie, że prawo jest po to, by służyć ludziom. W efekcie doszedłem do wniosku, że funkcja rzecznika, jak żadna inna, pozwoli mi zrealizować tę misję. Zdaję sobie sprawę, że urząd RPO w pierwszych miesiącach, gdy społeczeństwo mnie jeszcze nie zna, będzie pod szczególną obserwacją, ale jakoś sobie z tym poradzę. Natomiast nigdy nie uczestniczyłem w większych publicznych debatach, dlatego z cierpliwością będę się tego uczył i proszę o zrozumienie.

Pana kandydaturę poparły wszystkie siły polityczne. To zwiększa presję?

Zdecydowanie tak. To ogromna odpowiedzialność i zarazem swoiste zobowiązanie do tego, by trzymać się litery prawa i bezwzględnie unikać wypowiedzi czy stanowisk, które dałyby podstawę do posądzania mnie o kierowanie się interesami lub sympatiami politycznymi.

Jakim chce pan być RPO?

RPO jest, obok sędziów, jedynym organem konstytucyjnym, o którym ustawa zasadnicza mówi, że ma być niezawisły i niezależny. Wymaga to ode mnie powściągliwości, kierowania się racjami prawnymi oraz wsłuchiwania się w argumentację prawników, którzy mają inne poglądy niż ja. Z doświadczenia naukowego wiem, że trzeba dyskutować, przerzucać się argumentami, aby efekt końcowy był najbardziej obiektywny i najlepiej służył ludziom.

Stawia pan sobie jakieś cele?

Moim głównym celem jest poprawa sytuacji ludzi, którzy są dotknięci wykluczeniem i mogą czuć się w naszym kraju źle. Mam na myśli np. ludzi z niepełnosprawnościami, ludzi dotkniętych kryzysem bezdomności, ubogich, seniorów, rodziny niepełne, dzieci ze środowisk wiejskich. Takich grup w Polsce jest bardzo wiele. Jesteśmy im winni pomoc, wsparcie. Takie są moje priorytety. Dostrzegam również problemy systemowe, które powinny być przedmiotem refleksji parlamentu czy rządu. Moim zadaniem jest ich sygnalizowanie i upominanie się o rozwiązanie istniejących problemów.

Pana poprzednika często oskarżano o to, że zaangażował się po jednej ze stron sporu politycznego. Pan będzie się w niego włączał?

Nie mam w zwyczaju komentować spraw ściśle politycznych, dotyczących zarówno polityki krajowej, jak i zagranicznej. Posłużę się przykładem tego, co dzieje się na granicy polsko-białoruskiej. Są tutaj dwie kwestie: ludzie, którzy tam są i potrzebują opieki, a z drugiej strony

eprasa.pl 39ee1bda30

kwestia relacji polsko-białoruskich czy ochrony granicy. Czuję się kompetentny w pierwszej części, bo to są ludzie, a ja jestem rzecznikiem praw człowieka. Nie tylko obywatela, lecz także każdego człowieka znajdującego się pod jurysdykcją państwa polskiego. Według mojej najlepszej wiedzy ci ludzie pod nią się znajdują. Jeśli zaś chodzi o tę drugą płaszczyznę, to jest to sfera polityki i nie czuję się tutaj dostatecznie kompetentny, by w nią wkraczać.

Skierował pan list do premiera w sprawie sytuacji tych ludzi. Stwierdził pan, że nieprzyjmowanie wniosków o ochronę międzynarodową od cudzoziemców przebywających w strefie przygranicznej stanowi naruszenie prawa. Pana zdaniem Polska powinna wpuścić tych ludzi?

Dokonałem analizy przepisów prawa, które obowiązują w tym zakresie. Mamy ustawę o cudzoziemcach z 2003 r., tzw. azylowe dyrektywy UE i konwencję genewską dotyczącą statusu uchodźców. To są akty, które są obudowane orzecznictwem np. Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Doszedłem do wniosku, że w momencie, w którym człowiek staje przy granicy i składa wniosek o udzielenie ochrony międzynarodowej – a można to zrobić ustnie – wówczas dochodzi do wszczęcia procedury administracyjnej przed szefem Urzędu ds. Cudzoziemców. Zgodnie z przepisami należałoby tymczasowo wpuścić tych ludzi na terytorium Polski i umieścić ich w ośrodkach dla uchodźców. Postępowanie może się skończyć udzieleniem ochrony międzynarodowej albo deportacją i wydaleniem z kraju. Broniłem tezy, że tak wygląda obowiązujące w Polsce prawo. Jednocześnie chciałbym bardzo mocno podkreślić, że wypowiadałem się w sprawie tych 32 ludzi, którzy tam są teraz, a nie kolejnych czy innych.

Tyle że to naturalna konsekwencja. Wpuszczenie tych ludzi oznaczałoby najprawdopodobniej, że za chwilę byłaby tam kolejna grupa, która próbowałaby podążyć tą samą drogą.

Tak, ale jako rzecznikowi praw człowieka leży mi na sercu to, aby procedury w odniesieniu do tych 32 ludzi zostały zachowane. Natomiast być może powinna temu towarzyszyć reforma tych regulacji. Pozwoliłaby ona na reakcję, gdybyśmy mieli do czynienia z sytuacją masową, zagrażającą bezpieczeństwu państwa.

Mamy pewność, że ci ludzie złożyli stosowne wnioski?

Pracownicy mojego biura byli świadkami tego. Dodatkowo część tych osób udzieliła pisemnych pełnomocnictw polskim mecenasom.

A czy pana pracownicy weryfikowali narodowość tych ludzi?

Ich rolą było przede wszystkim ustalenie, jak wygląda sytuacja. Naszym obowiązkiem jest m.in. ustalenie, czy ci ludzie nie są przedmiotem nieludzkiego traktowania. Z punktu widzenia zatem moich obowiązków, czyli dbania o godność każdego człowieka, rzeczą drugorzędną jest to, kto jakiego państwa jest obywatelem.

Jednym z tematów wywołujących ostatnio największe emocje są szczepienia przeciwko COVID-19. Chodzi zwłaszcza o pomysły dotyczące przymusu szczepień np. dla niektórych grup zawodowych. Jak się pan na to zapatruje?

Uważam, że wprowadzenie powszechnego obowiązku szczepień w sytuacji, w której nie mamy stanu klęski żywiołowej, byłoby nieproporcjonalnym ograniczeniem wolności człowieka. Nieco inaczej patrzę na wprowadzenie obowiązku szczepień dla niektórych grup zawodowych. Chciałbym tu zastrzec, że mógłbym się wypowiedzieć na ten temat jako RPO, gdybym otrzymał przekonujące i niezależne analizy co do tego, że takie rozwiązanie jest niezbędne. Wówczas oczywiście mógłbym zgodzić się na to, że jest to dopuszczalne. Natomiast musiałoby to być wprowadzone ustawą, czyli poprzedzone debatą parlamentarną.

Minister zdrowia Adam Niedzielski zapowiedział, że jeśli zostaną wprowadzone obostrzenia, to z większości z nich zostaną wyłączone osoby zaszczepione. Nie jest to przejaw dyskryminacji?

Uważam, że w warunkach, w jakich jesteśmy, czyli stanu epidemii ogłoszonego przez polski rząd i stanu pandemii ogłoszonego przez WHO, dopuszczalne jest zróżnicowanie ludzi w zależności od tego, kto jakie stwarza zagrożenie dla zdrowia publicznego. Nie można jednak ograniczać tego wyłącznie do zaszczepionych. Do tej samej kategorii należy zaliczyć ludzi mających aktualny negatywny test i ozdrowieńców. Pod takim warunkiem jestem gotowy zaakceptować to zróżnicowanie. Jako osoba, która zaszczepiła się kilka miesięcy temu, potencjalnie stanowię większe zagrożenie niż człowiek, który ma negatywny test sprzed 24 godzin. Trzeba uszanować, że ktoś np. z przyczyn światopoglądowych nie chce się zaszczepić, a tym bardziej zadbać o tych, którzy nie mogą tego zrobić z powodów obiektywnych. Dlatego odrzucam rozróżnienie wyłącznie w oparciu o kryterium szczepień.

Czy pracodawca powinien mieć prawo do informacji na temat szczepienia pracownika? Mówimy w końcu o danych wrażliwych.

To prawda. To bardzo daleka ingerencja w ochronę prywatności. Wprowadzenie podstaw prawnych dla pracodawców, by mieć dostęp do tego typu informacji, wymaga uregulowań ustawowych. Oczekiwałbym, że otrzymam ekspertyzy znawców tego zagadnienia, przekonujących do tego, że przynajmniej w pewnych zakładach pracy jest to konieczne.

A jeśli na podstawie tego pracodawcy wyciągaliby konsekwencje?

Sam fakt niezaszczepienia nie mógłby być uzasadnieniem takiego działania.

Zmieniając temat. Czy pana zdaniem wolność mediów jest zagrożona?

To zbyt ogólne pytanie. Są pewne kwestie, które wymagają obserwacji RPO. Uważam np., że postępowanie sądowe dotyczące fuzji pomiędzy Polska Press a PKN Orlen powinno zostać zakończone przed sądem. To spór między dwoma ekspertami: RPO i prezesem UOKiK. Oba te organy miały inne zdanie na ten temat. Wychodzę z założenia, że spory prawne powinny się rozstrzygać w sądach. Poczekajmy i zobaczmy, co sąd orzeknie.

Tylko czy transakcje handlowe powinny być przedmiotem zainteresowania RPO? Mieliśmy do czynienia z sytuacją, w której jeden podmiot chciał sprzedać, drugi kupić, a nagle w to wszystko włączył się RPO.

Rozumiem te zastrzeżenia, bo RPO działa przede wszystkim w relacjach między człowiekiem a państwem i ma ograniczone możliwości ingerowania w relacje między podmiotami prywatnymi. Zwracam jednak uwagę, że mówimy o spółce Skarbu Państwa, a więc jest to państwo, tylko działa w formie prawa cywilnego. To nie jest sytuacja jednoznaczna. Sprawa ma charakter bardzo precedensowy, dlatego należy poczekać na rozstrzygnięcie sądu.

Trybunał Konstytucyjny odroczył rozprawę w sprawie wyższości prawa krajowego nad prawem unijnym. Jakie jest pana zdanie w tej kwestii?

Chcę powiedzieć jednoznacznie: konstytucja jest najwyższym prawem Rzeczy-

eprasa.pl 39ee1bda30

pospolitej Polskiej. Jest ona nadrzędna względem prawa międzynarodowego i UE, a ono z kolei względem ustaw. To moim zdaniem nie ulega wątpliwości. Trybunał ma prawo, by wypowiadać się o zgodności z konstytucją prawa międzynarodowego, w tym unijnego, co miało miejsce w ostatnich kilkunastu latach. Natomiast w tej sprawie nie zachodzi sprzeczność, a więc prawo UE nie jest w tym zakresie niezgodne z konstytucją. Druga kwestia jest taka, że tak naprawdę ten wniosek to ukryta forma kontroli orzeczeń TSUE, do czego polski Trybunał nie ma kompetencji.

Zdaniem pana poprzednika taki wniosek do TK to igranie z ogniem potencjalnego polexitu. Podpisałby się pan pod takim stwierdzeniem?

Zajmuję się wyłącznie kwestiami prawnymi i unikam tego typu ocen.

Zapytam więc inaczej: Czy ewentualne orzeczenie TK na korzyść prawa krajowego mogłoby prowadzić do wyjścia Polski z UE?

Stwierdzenie, że konstytucja ma prymat nad prawem Unii Europejskiej, nie budziłoby moich wątpliwości prawnych, bo wiele trybunałów w Europie potwierdzało, że konstytucja jest najwyższym prawem, idąc wbrew orzecznictwu TSUE czy ETS. Natomiast stwierdzenie niekonstytucyjności przepisów prawa UE powinno być ostatecznością, jeśli tej kolizji nie da się wyjaśnić w innych formach. Uważam, że przed wydaniem wyroku TK powinien wystąpić z pytaniem prejudycjalnym do TSUE. Koncepcja UE opiera się na współdziałaniu i zasada lojalności wobec UE wymaga tego, by wcześniej nawiązać dialog z TSUE. Być może TSUE dałby taką interpretację prawa unijnego, która wyeliminowałaby te zarzuty.

Tylko czy nie jest tak, że TSUE za pomocą orzeczeń próbuje rozszerzać kompetencje Unii Europejskiej kosztem państw członkowskich?

Stoję na stanowisku, że TSUE nie ma kompetencji do ingerowania w organizację i ustrój władzy sądowniczej, bo to jest kompetencja, która należy do polskiego parlamentu. Natomiast ratyfikowaliśmy traktat z Lizbony, a jego częścią jest Karta praw podstawowych. Tam zapisano prawo każdego obywatela UE do niezawisłego sądu. Prawo UE nie wymaga konkretnych rozwiązań, ale wymaga, by sędziom zagwarantować orzekanie w warunkach niezawisłości. Co jest fundamentem niezawisłości? To, że sędzia nie powinien być pociągany do odpowiedzialności osobistej za treść

Konstytucja jest najwyższym prawem Rzeczypospolitej Polskiej. Jest ona nadrzędna względem prawa międzynarodowego i UE

wyroków. Sędziowie wydają czasem orzeczenia, które są niesprawiedliwe, błędne, niezgodne z prawem. Eliminowanie takich przypadków powinno następować za pomocą trybu instancyjnego. Sędzia może się pomylić i to jest właśnie esencja niezawisłości. Z tego powodu jego wyrok będzie uchylony, może mieć problem z awansem, ale nie może mieć w tyle głowy, że poniesie odpowiedzialność penalną. W Polsce niestety doszło do sytuacji, że to ryzyko nie jest wykluczone. Taka sytuacja w warunkach trójpodziału władzy nie powinna mieć miejsca, stąd trzeba wprowadzić zmiany w zakresie odpowiedzialności dyscyplinarnej.

Tylko trójpodział władz zakłada też wzajemną kontrolę i balans. Tymczasem wydaje się, że mieliśmy do czynienia z sytuacją, w której władza sądownicza była poza kontrolą, a środowisko oceniało się samo.

Uważam, że model dyscyplinarnej odpowiedzialności sędziów, który był, nie był jedynym z możliwych i być może nie był doskonały. Ustawodawca ma prawo zaproponować zmiany w tym modelu, ale te zmiany nie mogą prowadzić do takiego skutku, jak powiedziałem. To moim zdaniem nieprzekraczalna granica.

W sprawie wniosku premiera do TK złożył pan wniosek o wyłączenie od udziału w rozpoznawaniu sprawy czterech sędziów. TK odrzucił te wnioski. Co pan na to?

Przyjmuję to do wiadomości.

Zamierza pan też wnosić o wyłączenie trzech sędziów ze wszystkich postępowań, w których będzie pan wnioskodawcą lub uczestnikiem. A jeśli TK będzie konsekwentnie odrzucał pana wnioski?

Będę to dalej przyjmował do wiadomości. Nie zgadzam się z tymi argumentami pod względem prawnym. Uważam, że potrzeba wyłączenia tych trzech sędziów wynika z tego, iż mamy wyrok ETPCz, od którego rząd się nie odwołał. Moim zadaniem jest dbanie o to, by były wykonywane orzeczenia międzynarodowych trybunałów. Wynikało z niego, że udział jednego z tych trzech sędziów w orzekaniu prowadzi do tego, że taki wyrok narusza Europejską Konwencję Praw Człowieka, więc moim obowiązkiem jest sygnalizować, że jeśli tych trzech sędziów będzie uczestniczyło, to taki wyrok w przyszłości może być analogicznie zaskarżony do ETPCz i Polska będzie narażona na wypłatę odszkodowań.

Nie ma pan wrażenia, że część środowiska sędziowskiego idzie za daleko w swoich ocenach politycznych? Przez to część obywateli może obawiać się o sprawiedliwość na sali sądowej.

Każdy sędzia ma własne poczucie niezależności i każdy sam ocenia, czy jego działalność nie przekracza ram wyznaczonych przez konstytucję. Zarówno wśród niektórych sędziów, którzy są przeciwni reformie wymiaru sprawiedliwości, jak i części tych, którzy ją popierają, powinna pojawić się refleksja, czy dana wypowiedź była wystarczająco powściągliwa.

Rozmawialiśmy o TK, chciałbym zatem zapytać o orzeczenie dotyczące aborcji. Zgadza się pan z wykładnią Trybunału?

Orzeczenie Trybunału spowodowało zmianę stanu prawnego, czyli uchylenie jednej z przesłanek aborcyjnych. Dostrzegam jednak, że nie kończy to problemu. Wymaga to uwzględnienia ekstremalnych przypadków. Pełne wykonanie tego orzeczenia wymaga także debaty parlamentarnej.

Było w ogóle możliwe inne rozstrzygnięcie? Prawa do życia bronił już TK prof. Zolla czy Rzeplińskiego.

Ten wyrok jest kontynuacją założeń orzeczenia z maja 1997 r.

A co z tzw. małżeństwami homoseksualnymi? Czy na gruncie obowiązującej konstytucji są one w ogóle możliwe?

Bardzo szczegółowo analizowałem prace nad art. 18 konstytucji, gdy się toczyły. Intencją twórców art. 18 było wykluczenie małżeństw osób tej samej płci. Przyjmuję założenie, że skoro twórcy pisali ten przepis w oparciu o takie założenie, to nad tym głosował naród. Uważam, że zmiany o charakterze światopoglądowym powinny być dokonywane w trybie zmiany konstytucji, a nie jej interpretacji. Dla mnie treść art. 18 jest taka, jak głosował naród w 1997 r. Zmiana formuły małżeństwa wymagałaby zmiany konstytucji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 39ee1bda30

Piotr Semka

Można długo się spierać, czy kształt beatyfikacji był wynikiem wyraźnych instrukcji Stolicy Apostolskiej czy decyzji kurii metropolitalnej w Warszawie. Faktem jest, że styl jej przeprowadzenia zdziwił i zaniepokoił wielu wiernych

Kościół pustego placu

Za nami uroczystość beatyfikacji kard. Stefana Wyszyńskiego i matki Elżbiety Róży Czackiej. Uroczystość ta była wyczekiwana przez Polaków od 40 lat. Symbolem pamięci o prymasie był niegdysiejszy plac Zwycięstwa w Warszawie, po upadku komunizmu przezwany placem Józefa Piłsudskiego. Wielu ludzi z pokoleń, które pamiętały Prymasa Tysiąclecia, odwoływało się pamięcią do dwóch ważnych wydarzeń w tym miejscu. Pierwszym była msza papieska 2 czerwca 1979 r., w trakcie której stali obok siebie polski interrex oraz papież Polak. Jeszcze mocniej z postacią niegdysiejszego metropolity warszawskiego kojarzyło się to miejsce z powodu mszy pogrzebowej kard. Wyszyńskiego z 31 maja 1981 r. – jednej z największych demonstracji patriotycznych w okresie karnawału Solidarności z lat 1980–1981. Nie przypadkiem niezwykle wielu warszawiaków zapalało w dniu beatyfikacji świeczki pod pamiątkowym krzyżem na najważniejszym warszawskim placu. Zwraca uwagę też fakt, jak tłumnie przybysze z całej Polski pielgrzymowali w dniu beatyfikacji do bazyliki archikatedralnej św. Jana Chrzciciela w Warszawie, by modlić się u grobu świeżo wyniesionego na ołtarze Sługi Bożego.

Jak wiadomo, beatyfikacja miała miejsce w Świątyni Opatrzności Bożej na Wilanowie. Uroczystość pod przewodnictwem delegata papieskiego kard. Marcello Semeraro miała godny charakter i odbyła się według standardów wyznaczonych przez Stolicę Apostolską. Bardzo wielu katolików odebrało ją z ogromną wdzięcznością i było to dla nich autentyczne święto. Chcę wrócić do tamtych wydarzeń, gdyż sprawa jednak nie jest tak prosta. Z jednej strony cieszono się z zakończenia trwającego przez dekady procesu beatyfikacyjnego, z drugiej – wiele okoliczności, które towarzyszyły temu świętu polskiego Kościoła, podkreślało obecną kondycję polskiego episkopatu, ale i styl epoki papieża Franciszka. Spróbujmy pochylić się nad tymi oznakami „ducha czasu".

JAK DALEKO JEST ZE SŁOWACJI DO WARSZAWY

Formalnie wszystko było zgodne z praktyką beatyfikacyjną. Jeszcze w czasie aktywnej części pontyfikatu Benedykta XVI papież z Niemiec przyjął zasadę, że tylko kanonizacje będą odbywać się w Rzymie. W wypadku beatyfikacji, czyli etapu prowadzącego do wyniesienia na ołtarze, przyjęto za zasadę organizowanie uroczystości w kraju rodzinnym osoby beatyfikowanej i praktykę przewodniczenia uroczystościom przez delegata papieskiego. Wszystko było więc co najmniej lege artis. Trudno jednak uciec od myśli, że obecność w Warszawie papieża Franciszka nie musiałaby być czymś dziwnym. W końcu odbywało się to w trakcie wizyty papieskiej w Budapeszcie, a potem na Słowacji. Czemu nie można było odwiedzić najpierw Budapesztu, potem Warszawy i dopiero na koniec spędzić cztery dni u naszych południowych sąsiadów? Jeśli pamiętać o tym, z jaką wystudiowaną nonszalancją papież Franciszek wypowiadał się na temat spotkania z premierem Węgier Viktorem Orbánem i prezydentem Jánosem Áderem i jeśli porównać ją z bardzo wyrazistą atencją pontifex wobec liberalnej prezydent słowackiej Zuzany Čaputowej, to nie sposób wykluczyć, że papież chciał za-

eprasa.pl 39ee1bda30

Dziwić mógł styl, w jaki archidiecezja warszawska informowała o przygotowaniach do wielkiego święta. Parokrotne wzywanie do tego, żeby przyjeżdżały wyłącznie umówione wcześniej grupy, sugestie, że równie dobrze można obejrzeć uroczystość w telewizji. Na zdjęciu: wierna modli się przed placem wokół Świątyni Opatrzności Bożej

FOT. WOJCIECH TOMASZEK/FOTONEWS/FORUM

demonstrować, kto w Europie Środkowej zasługuje na uwagę, a kto na obojętność.

Problem jest chyba jednak jeszcze głębszy. Kardynał Wyszyński był jedną z najważniejszych postaci Kościoła, prześladowaną pod rządami komunizmu. I papież mógł zrobić wyjątek, wykonać gest, pojawiając się na jego beatyfikacji. Ktoś powie, że papież Bergoglio wywodzi się z tradycji latynoskiej, której cierpienia pod rządami komunistycznymi bladły nieco wobec konfliktów społecznych w Ameryce Południowej i były częściowo niwelowane przez latynoski antyamerykanizm. A jednak Jan Paweł II był tak bardzo kochany za niespodziewane, spontaniczne gesty. Gdy 22 października 1978 r. na placu św. Piotra w Rzymie przyjmował homagium od wszystkich kardynałów, etykieta nie przewidywała sytuacji, w której pontifex wyróżniłby któregoś z kardynałów powstaniem. My, Polacy, najlepiej pamiętamy czułe objęcie prymasa Wyszyńskiego, ale pamiętajmy, że przy tej samej okazji „Papa Wojtyła" powstał i schylił czoło przed więzionym w sowieckich łagrach kardynałem grekokatolickim Josyfem Slipyjem. Świadomość męczeństwa tego hierarchy i chęć okazania wyjątkowego szacunku były dla przybysza z Polski ważniejsze niż restrykcyjne zasady protokołu papieskiego. Ten sam Slipyj parę miesięcy wcześniej składał hołd świeżo wybranemu papieżowi Janowi Pawłowi I, a jednak Włoch nie wykonał wtedy podobnego gestu. I tę atmosferę emocji związanych z osobą prymasa Wyszyńskiego wyczuwało się niestety w wypowiedziach na uroczystości delegata papieskiego kard. Marcello Semeraro. I jeszcze drobiazg, ale znaczący. Czy przed wyprawą do Warszawy wysłannik Stolicy Apostolskiej nie mógł znaleźć paru godzin na poznanie polskiej wymowy nazwisk świeżo błogosławionych? Czy koniecznie trzeba było wymawiać ich nazwiska w formie: „Vizinski" i „Czaszka"?

ŻEBY NIE PRZESADZIĆ...

Bardzo wielu wiernych dziwił i niepokoił styl, w jaki archidiecezja warszawska informowała o przygotowaniach do wielkiego święta. Parokrotne wzywanie do tego, żeby przyjeżdżały wyłącznie umówione wcześniej grupy, sugestie, że równie dobrze można obejrzeć uroczystość w telewizji, i wreszcie wspomniana już wcześniej rezygnacja z placu Piłsudskiego jako miejsca uroczystości – wszystko to rozgoryczyło wielu Polaków.

Oczywiście trzeba brać pod uwagę, że to Stolica Apostolska miała spory wpływ na kształt beatyfikacji. W Warszawie krążyły pogłoski, że to Rzym naciskał na to, by uroczystość nie kolidowała z przepisami antycovidowymi. Według innej wersji kard. Kazimierz Nycz musiał stoczyć bardzo ostry pojedynek, aby utrzymać w mocy datę beatyfikacji 12 września, którą tradycja kościelna wiąże ze zwycięstwem króla Jana Sobieskiego pod Wiedniem w 1683 r. Część urzędników watykańskich miała krzywić się na ten termin jako konkurencję dla wizyty papieskiej na kongresie eucharystycznym w Budapeszcie. Na szczęście datę udało się utrzymać, ale nie zmniejsza to rozgoryczenia licznych grup i licznych księży, którzy nie uzyskali zgody na przyjazd do Warszawy wraz ze swymi parafianami. W Internecie często pojawiało się pytanie, dlaczego parę dni wcześniej 58 tys. kibiców mogło zebrać się na Stadionie Narodowym na meczu Polska–Anglia, a w stosunku do wiernych chcących uczestniczyć w beatyfikacji zastosowano bardzo rygorystyczne ograniczenia. Nic dziwnego, że powstało wiele spontanicznych grup, które przyszykowały wspólne oglądanie transmisji na terenie całej Polski. Tak było w Choszczówce, gdzie Instytut Prymasowski zgromadził ok. tysiąca osób, tak było na błoniach jasnogórskich, gdzie paulini wykazali się inicjatywą, i tak było w paru większych stolicach polskich diecezji.

BEZ WYOBRAŹNI

Można długo się spierać, czy kształt beatyfikacji był wynikiem wyraźnych instrukcji Stolicy Apostolskiej czy decyzji

eprasa.pl 39ee1bda30

Wielu zabolało zachowanie tych biskupów i księży, którzy w trakcie mszy bez większego skrępowania robili zdjęcia telefonami komórkowymi FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

kurii metropolitalnej w Warszawie. Ale tak czy inaczej zlekceważono wrażliwość warszawiaków, dla których to plac Piłsudskiego jest miejscem kojarzącym się z prymasem. I znów tutaj inicjatywą błysnęli świeccy. Fundacja Sternik zorganizowała w przededniu beatyfikacji inscenizację na placu Zamkowym pt. „Orszak dziejów". Ale to było wszystko. Nikt nie pomyślał np. o zrobieniu inscenizacji historycznej odtwarzającej scenę aresztowania kard. Wyszyńskiego w pałacu prymasowskim na Miodowej. Trudno było też zauważyć, aby podległy ratuszowi Instytut Jana Pawła II zajął się wizualnym przypominaniem o zbliżającej się uroczystości. Prezydent stolicy Rafał Trzaskowski także nie zaszczycił beatyfikacji swoją obecnością. A przecież prymas Wyszyński był postacią związaną z Warszawą niezwykle silnie.

Raz jeszcze dała o sobie znać skłonność kard. Kazimierza Nycza do organizowania wielkich uroczystości na terenie Świątyni Opatrzności Bożej. W wypadku mszy z 12 września świątynia była wypełniona w połowie biskupami i kapłanami, a w połowie oficjalnymi delegacjami i politykami. W rezultacie niezwykle rzadko widzieliśmy podczas transmisji ludzi, którzy nadają autentyzm tego typu uroczystościom. Ludzi, którzy przyjeżdżali z całego kraju z chałupniczo zrobionymi transparentami, obłożonymi w celofan portretami prymasa i własnoręcznie zbieranymi bukietami polnych kwiatów. Pojawiło się wrażenie uroczystości podzielonej na dwie części – część pod dachem bazyliki dla elity: purpuratów i polityków oraz przed świątynią dla katolików „szaraków". Wszystko to paradoksalnie w dniu beatyfikacji prymasa, który rozumiał wagę katolicyzmu ludowego i matki Czackiej, która pochyliła się nad ludźmi spychanymi z racji ślepoty na margines społeczeństwa.

UTRACONA OKAZJA

Beatyfikacja kard. Stefana Wyszyńskiego przypadła na okres, gdy Kościół katolicki w Polsce znajduje się w defensywie. Najpierw rygory pandemii spowodowały odłożenie uroczystości o rok, a potem nastąpiła fala ataków medialnych na biskupów przy okazji Strajku Kobiet czy jawnego już antyklerykalizmu z wyjątkowo agresywnymi przesłaniami. Na dodatek sama beatyfikacja wzbudzała irytację antyklerykałów na niespotykaną wcześniej skalę. „Gazeta Wyborcza" publikowała teksty oskarżające prymasa Wyszyńskiego o antysemityzm. Tygodnik „Polityka" na okładce sprowadził wieloletnią posługę prymasa jedynie do zdobywania przez Kościół władzy nad Polską. Liczni „twardogłowi" antykaczyści występujący pod hashtagiem #Silni Razem urządzili w sieci kampanię nienawiści wobec TVN i Polsatu, krytykując te stacje za telewizyjną transmisję ze Świątyni Opatrzności Bożej. Posłanka PO Klaudia Jachira nazwała prymasa faszystą, która to wypowiedź do chwili, gdy piszę te słowa, nie skłoniła Donalda Tuska do żadnej reakcji. Z kolei poseł Lewicy Maciej Gdula ogłosił na Twitterze, że media publiczne powinny trzymać standardy, by różne głosy były obecne, dbać o równowagę. „Jeśli beatyfikacja Wyszyńskiego to ważne wydarzenie – to powinniśmy też porozmawiać o nieakceptowalnym stosunku do Żydów czy o tym, że nie akceptował świeckich rozwodów".

Jeśli dorzucić do tego niedawną wypowiedź Sławomira Nitrasa o „opiłowywaniu" katolików, aby nie podnieśli więcej głowy, to było jasne, że te uroczystości mogą mieć wiele odniesień do sytuacji katolików i prymasa w latach rządów PRL. Była więc okazja do tego, co w tradycji polskiego Kościoła nazywało się „policzeniem się". Była możliwość, aby znaleźć pewne analogie z życia kard. Wyszyńskiego z tym, co dzieje się teraz. Zarówno w sensie rozliczenia się z tymi kapłanami, którzy ściągnęli na Kościół niesławę, jak i w umacnianiu cnoty męstwa wśród katolików w świadczeniu o swojej wierze. Tymczasem zabrakło na beatyfikacji choćby jednego emocjonalnego, pełnego żaru przemówienia wygłaszanego bez kartki. Dekrety papieskie i życiorysy obu nowych błogosławionych były przedstawiane przez włodarzy metropolii warszawskiej bezbarwnym głosem kogoś, kto odczytuje zadane wypracowanie. Wielu zabolało też zachowanie tych biskupów i księży, którzy w trakcie mszy bez większego skrępowania robili zdjęcia telefonami komórkowymi.

Kolejnym zgorszeniem była obecność abp. Sławoja Leszka Głódzia, który stał dokładnie na osi kamery przy abp. Marku Jędraszewskim wepchniętym do ostatniego rzędu. I znów według litery prawa kanonicznego Watykan zobowiązał abp. Głódzia do nieuczestniczenia w uroczystościach kościelnych na terenach swojej dawnej diecezji. Czemu jednak nuncjusz apostolski w Polsce nie zadał sobie trudu, aby upomnieć przed beatyfikacją byłego metropolitę gdańskiego, by zdał test pokory i nie przyjeżdżał do Warszawy? Nuncjusz abp Salvatore Pennacchio powinien rozumieć, jak obecność abp. Głódzia na uroczystościach zaszkodzi Kościołowi.

Te odczucia trafnie opisała jedna z internautek: „Chciałabym wierzyć, że przed beatyfikacją znalazł się w Episkopacie chociaż jeden biskup, może arcybiskup, a może nawet kardynał, który położył rękę na ramieniu abp. Głódzia i powiedział mu: »Odpuść sobie udział w tej uroczystości. Tak trzeba. Tak będzie lepiej«. Chciałabym wierzyć, że był taki chociaż jeden".

I na koniec jeszcze jedna refleksja. Czeskie media relacje o beatyfikacji prymasa Wyszyńskiego ilustrowały zdjęciem emerytowanego prymasa Czech Dominika Duki klęczącego przed grobem kard. Wyszyńskiego. Dlaczego papież Franciszek nie zaproponował funkcji delegata właśnie jemu? Kapłanowi, któremu w 1975 r. władze komunistyczne w Pradze odebrały pozwolenie na wykonywanie funkcji duchownego. Patriocie czeskiego Kościoła, który w 1981 r., gdy umierał polski interrex, doskonale rozumiał jego przeszłość, gdyż sam przebywał wtedy w komunistycznym więzieniu. Który nauczył się języka polskiego, słuchając Radia Wolna Europa i polskich audycji Radia Watykańskiego. Być może gdyby delegatem był prymas Duka z bratniej Pragi, wszystko wyglądałoby inaczej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 39ee1bda30

REKLAMA

COLLEGIUM INTERMARIUM

Studiuj na prestiżowej uczelni regionu Intermarium!

Prawo (II tura rekrutacji trwa do 23 września)
- Praktyczne nauczanie i indywidualny tutoring
- Studia magisterskie z międzynarodową kadrą i prawnikami Ordo Iuris

LL.M. in Human Rights and International Dispute Resolution

Studia podyplomowe, m.in.:
- Europa klasyczna: polityka – kultura – sztuka debaty
- Nowoczesne metody dowodowe
- Zarządzanie organizacjami pozarządowymi
- Organizacja i mentoring edukacji domowej

Pełna oferta i rekrutacja na stronie
www.collegiumintermarium.org

Wolny Uniwersytet Środkowej Europy
Chrześcijańska etyka
Praktyczne umiejętności
Klasyczne wartości

REKLAMA

eprasa.pl 39ee1bda30

Angela Merkel w rozmowie z premierem Mateuszem Morawieckim podczas wizyty w Warszawie, 11 września 2021 r.
FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

Merkel kontra Polska

Cezary Gmyz z Berlina

Merkel nie była „najlepszym dla Polski" kanclerzem. Zawsze brutalnie grała o interesy Niemiec. Polskich ustępstw nigdy nie odwzajemniła

Angela Merkel to najlepszy dla Polski w historii kanclerz Niemiec" – to teza głoszona w polskiej polityce i publicystyce. Tak silna, że uległ jej nawet Jarosław Kaczyński. Udzielając wywiadu dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung" przed poprzednimi wyborami, stwierdził: „Pani Merkel to dla nas najlepszy wybór". Często się jednak zapomina o drugiej części tej wypowiedzi prezesa PiS: „przede wszystkim teraz, kiedy jej kontrkandydatem jest pan Schulz".

I, faktycznie, jeśli pamięta się antypolskie tyrady ówczesnego szefa SPD i równocześnie przewodniczącego Parlamentu Europejskiego, to rządząca przez 16 lat Niemcami kanclerz może jawić się jako nieledwie mieszkanka krainy łagodności. To jednak nieprawda. Rządy Merkel to okres niekiedy bardzo brutalnej polityki Niemiec, prowadzonej często kosztem interesów Polski. Faktem jest też, że Mutti – jak ją nazywają niekiedy sami Niemcy – znacznie więcej od Polski otrzymała, niż jej dała. I nie mam na myśli tylko okresu rządów Platformy. Niemcy były i są politycznie beneficjentami decyzji podejmowanych przez Jarosława Kaczyńskiego czy szerzej rozumiany obóz zjednoczonej prawicy. Ryzykowana teza? Owszem. Ale mająca pokrycie w faktach.

LICZBA GESTÓW

Jarosław Kaczyński ma opinię polityka germanofobicznego. Owszem, jego powojenna socjalizacja w Warszawie zburzonej przez Niemcy ma wpływ na jego poglądy. Jednak nie do tego stopnia, by przesłaniać mu realia panujące w Europie. Przed wielu laty w prywatnej rozmowie stwierdził nawet: „Mam świadomość, że Polska jest skazana na podążanie za niemieckim rydwanem, ale nie możemy przecież tego robić za darmo".

Od razu trzeba stwierdzić, że liczba przyjaznych gestów, które osobiście wykonał Jarosław Kaczyński, ale również wcześniej jego brat Lech jako prezydent RP, jest znacznie większa niż ukłony Merkel wobec Polski.

Do pierwszego spotkania Angeli Merkel z Jarosławem Kaczyńskim dochodzi w marcu 2007 r. Odbywa się ono nieco w pośpiechu w saloniku VIP na warszawskim lotnisku wojskowym. Po spotkaniu Jarosław Kaczyński mówi: „Idziemy do przodu, rozwiązujemy pewne problemy". Spotkanie w saloniku wcale nie jest oznaką lekceważenia kanclerz. Wręcz przeciwnie. To zaplanowane działanie. Ciężar ofensyw wdzięku w zamyśle prezesa PiS ma spocząć nie na nim, lecz na jego bracie. Po tym spotkaniu szefowa niemieckiego rządu udaje się z niezwykłą wizytą do prezydenckiej rezydencji na Helu. Niezwykłość polega na tym, że prezydencka oaza w Juracie to miejsce, które ówczesny prezydent traktuje bardzo prywatnie, a Merkel jest jedną z nielicznych, która ma okazję tam gościć. I to nie sama. Razem z nią zostaje zaproszony jej mąż, który zazwyczaj bardzo niechętnie uczestniczy w politycznej aktywności swojej żony, świadomie wybierając życie w cieniu.

Agenda rozmów obejmuje przede wszystkim traktat lizboński. Przypomnijmy, że po fiasku procesu ratyfikacyjnego Konstytucji dla Europy, po fiasku referendów we Francji i w Holandii Niemcy miały duże obawy o losy traktatu lizbońskiego, który był niejako pewną protezą odrzuconego aktu konstytucyjnego. Angeli Merkel przede wszystkim zależało, żeby traktat z Lizbony był ratyfikowany w drodze ustaw, a nie referendów. Lech Kaczyński zdawał sobie sprawę, że rozwiązania przyjęte w Lizbonie są dla Polski mniej korzystne niż rozwiązania z Nicei. Dał się jednak przekonać Angeli Merkel do ratyfikacji tego traktatu, mając przy tym świadomość, że wzmacnia on Niemcy. Niestety – żadnej wdzięczności ze strony niemieckiej kanclerz się nie doczekał. Szefowa rządu Niemiec nie pofatygowała się nawet na jego pogrzeb. Oficjalną przyczyną był oczywiście wy-

eprasa.pl 39ee1bda30

buch wulkanu, który zatrzymał cały ruch lotniczy nad Europą. Nie da się jednak ukryć, że przyjazd na Wawel z Berlina samochodem nie zabrałby wiele więcej czasu niż podróż samolotem.

NA ZAMKU W MESEBERGU

Rządy Platformy Obywatelskiej w stosunkach polsko-niemieckich to czas poklepywania po plecach. Okres miodowy kończy się jednak z podwójnym zwycięstwem polskiej prawicy – najpierw w wyborach prezydenckich, potem parlamentarnych. Wyniki tych wyborów w Niemczech przyjmowane są z niedowierzaniem, jeśli nie szokiem.

Szybko okazuje się, że samodzielna większość w obu izbach parlamentu i przychylny prezydent nie dają szansy na przeczekanie. Mają tego świadomość zarówno Merkel, jak i Jarosław Kaczyński.

Oficjalne spotkanie na najwyższym szczeblu nie wchodzi w grę, gdyż Jarosław Kaczyński nie ma żadnej funkcji rządowej. Jednak kanclerz jest wówczas nie tylko szefową rządu federalnego, lecz także przewodniczącą CDU.

Inicjatywa spotkania nie wychodzi ani od jednej, ani od drugiej strony. Zostaje ono zaaranżowane przez szefa jednego z niemieckich koncernów mających potężne interesy w Polsce. Podczas swojego urlopu na Pomorzu Zachodnim prezes PiS 12 lipca 2016 r. wsiada do samochodu i w towarzystwie Zdzisława Krasnodębskiego, Ryszarda Legutki oraz Adama Bielana udaje się do zamku Meseberg. To coś w rodzaju niemieckiego Camp David. Odległy o 100 km od Berlina zamek to miejsce wypoczynku niemieckich kanclerzy, a także obiekt, w którym odbywają się poufne negocjacje na najwyższym szczeblu. Ze strony niemieckiej w spotkaniu biorą udział najbliżsi zaufani współpracownicy Merkel: Stefan Seibert, rzecznik rządu, Uwe Corspesius, doradca ds. europejskich, oraz Christoph Heusgen, dziś ambasador Niemiec przy ONZ, a wówczas doradca Merkel do spraw polityki międzynarodowej.

Tym razem ofensywę wdzięku prowadzi kanclerz Merkel. Wyraźnie próbuje skrócić dystans. Przed kolacją zaprasza prezesa PiS na spacer po przepięknych ogrodach. Potem otwiera pamiątkową księgę rezydencji i pokazuje Jarosławowi wpis, który w księdze w 2007 r. zostawił jego brat, Lech Kaczyński. Zaprasza go, by w księdze i on umieścił dedykację.

Kaczyński jest również szarmancki. W prezencie przywozi obraz, który przedstawia dom w Gdańsku, w którym urodziła się Herlind Kasner – matka kanclerz. Głównym tematem rozmów jest brexit. Zaledwie dwa tygodnie wcześniej Brytyjczycy przegłosowali wyjście z UE. Prezes PiS uważa to za wielkie osłabienie Unii. Oczywiste jest też, że wyjście ze wspólnoty osłabia pozycję Polski, która traci sojusznika w Parlamencie Europejskim, czyli brytyjskich konserwatystów. Kaczyński zaproponował nawet zmuszenie Wielkiej Brytanii do powtórnego referendum, jak to było w przypadku traktatu lizbońskiego w Irlandii w 2007 r. Jednak mówiąc o brexicie, zwrócił uwagę, że jego przyczyną było ograniczanie praw państw narodowych na rzecz brukselskiej biurokracji, i zaproponował modyfikację traktatów europejskich w taki sposób, by ograniczyć uzurpację instytucji europejskich.

Kanclerz nie zaoponowała. Wręcz przeciwnie – zaproponowała dalsze konsultacje w tej sprawie. I rzeczywiście doszło potem do kilku spotkań roboczych w Warszawie i Berlinie. Brali w nich udział uczestnicy rozmów w Mesebergu – Bielan i Heusgen. Rozmowy jednak ostatecznie nie przyniosły żadnych konkretów.

Podczas spotkania na zamku Meseberg doszło też do wymiany zdań dotyczących kwestii prowadzenia przez Polskę niezależnej polityki zagranicznej. Chodziło o wizytę Andrzeja Dudy w Pekinie i rewizytę Xi Jinpinga w Warszawie. Kanclerz grzecznie, ale zdecydowanie dała do zrozumienia, że Polska powinna informować Berlin o takich inicjatywach i ich skutkach. Polska delegacja komentowała potem na stronie, że Niemcy nie mają zwyczaju informować Polski o swojej polityce zagranicznej. Na agendzie rozmów nie stanęła wówczas sprawa Nord Stream 2. Mimo tego po spotkaniu Kaczyński uznał rozmowy za bardzo ciekawe. Jednak nie przyniosło ono potem żadnych konkretnych rezultatów.

Kolejne oficjalne spotkanie, które miało miejsce w Warszawie w lutym 2017 r., nie miało już tak osobistego charakteru. Miesiąc później twarde stanowisko Merkel forsującej ponowy wybór Donalda Tuska na szefa Rady Europejskiej pozbawiło Jarosława Kaczyńskiego prawie wszystkich złudzeń. Równie nieustępliwe stanowisko w sprawie Nord Stream 2 sprawiło, że stosunki polsko-niemieckie uległy prawie całkowitemu zamrożeniu. Prawie. W ubiegłym roku Jarosław Kaczyński ponownie zdecydował się wziąć udział w grze z Niemcami, choć już nie osobiście z Merkel, ale z jej osobistym wysłannikiem. Chodziło o obsadę funkcji szefa Komisji Europejskiej. Wiele wskazywało na to, że na czele Komisji stanie Manfred Weber, szef frakcji Europejskiej Partii Ludowej w Parlamencie Europejskim. Ta propozycja nie przypadła do gustu prezydentowi Francji Emanuelowi Macronowi, którego partia nie jest członkiem EPL i który uważał, że większą rolę w obsadzie KE powinna odgrywać Rada Europejska. W tej sytuacji Merkel musiała uświadomić Webera, że nie ma szans na najważniejszą funkcję w Unii, ale równocześnie zbudować koalicję dla swojej przyjaciółki – Ursuli von der Leyen. W tym celu do Warszawy został wysłany Paul Ziemiak, sekretarz generalny CDU. Młody polityk o wielkich ambicjach, urodzony w Szczecinie, został wybrany ze względu na znajomość języka. Prezes PiS warunkowo zgodził się udzielić poparcia dla von der Leyen. Jednak i tym razem warunki nie zostały dotrzymane. Początkowo szefowa Komisji Europejskiej starała się unikać konfrontacji z Polską, jednak ostatnie działania w postaci odwlekania akceptacji polskiego Krajowego Planu Odbudowy i wniosku o nałożenie na Polskę kar finansowych w związku z orzeczeniem TSUE po raz kolejny pokazały, że gesty dobrej woli ze strony polskiego rządu nie spotykają się ze wzajemnością.

W tej sytuacji opowieści o tym, że Merkel była najlepszą dla Polski szefową niemieckiego rządu, należy włożyć między bajki. – Na jej rządach ponurym cieniem kładzie się pakt z Putinem w sprawie Nord Stream 2. Interesów z Rosją nie można traktować jako bussines as ussual. Wprawdzie Merkel była orędowniczką sankcji wobec Rosji, ale nie czarujmy się – za jej rządów Rosja więcej zyskała, niż straciła na sankcjach – mówi „Do Rzeczy" Adam Biela.

– Problem w stosunkach z panią kanclerz, ale również szerzej, z Niemcami, polegał na tym, że to my byliśmy zawsze bardziej skłonni do kompromisu czy wspierania Niemców. Niemcy zawsze, kiedy czegoś od nas potrzebowali, mogli na nas liczyć – czy to w sprawie traktatu lizbońskiego czy choćby stanowiska szefowej Komisji Europejskiej i wielu innych kwestiach. Niestety, o jakiejkolwiek wzajemności trudno mówić – kwituje wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego prof. Zdzisław Krasnodębski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest korespondentem TVP w Berlinie.

eprasa.pl 39ee1bda30

Na wschodzie bez zmian

Maciej Pieczyński

Łukaszenka nie przejął się ani stanem wyjątkowym, ani wojskowymi zasiekami. Do polskiej granicy wciąż dobijają się setki nielegalnych migrantów. Czas, by tę granicę wzmocnić nie tylko prowizorycznie

Statystyki podawane codziennie przez Straż Graniczną pokazują, że kryzys migracyjny wcale się nie skończył. Łukaszenka wciąż wypycha na zachód setki „biednych uchodźców, szukających pomocy w świecie tolerancji i otwartości". Codziennie SG zatrzymuje ok. 200 osób próbujących nielegalnie przedostać się do Polski z terytorium Białorusi. 14 września odnotowano 230 takich prób, dzień wcześniej – 249, a przez cały weekend 11–12 września – łącznie 509.

Kryzys na dobre wybuchł w sierpniu. Przez cały miesiąc odnotowano rekordową liczbę 3,5 tys. prób nielegalnego przekroczenia granicy. We wrześniu sytuacja się nie zmieniła na lepsze. Do 15 września SG zatrzymała aż 2,7 tys. osób. Jak widać, takie działania rządu jak budowa płotu na granicy czy wprowadzenie stanu wyjątkowego nie ostudziły zapału Łukaszenki. Wprowadzenie stanu wyjątkowego przyniosło za to ten wymierny skutek, że przygasła medialno-polityczna awantura wokół obozowiska w Usnarzu Górnym. Choć opozycja i sprzyjające jej media mają ograniczone możliwości epatowania zmanipulowanymi, ale chwytającymi za serce obrazkami „biednych uchodźców", represjonowanych jakoby przez rząd PiS do spółki z Łukaszenką, to możliwości te nie są jednak zerowe. Dwadzieścia dziewięć redakcji podpisało się pod akcją „Dziennikarze na granicy". Pomimo zakazu chcą działać w strefie przygranicznej.

Poza tym aktywiści ze Stowarzyszenia Interwencji Prawnej, cytowani m.in. przez „Gazetę Wyborczą" i Onet, znaleźli już „drugi Usnarz". Na granicy pod Terespolem koczuje 26-osobowa grupa Syryjczyków. Chaos informacyjny podobny jak w przypadku Usnarza. Lewicowi aktywiści są przekonani, że „uchodźcy" ciężko chorują i znajdują się po polskiej stronie granicy. Wezwali nawet pogotowie ratunkowe do Syryjczyków. Karetka nie dojechała, bo – jakie zaskoczenie! – okazało się, że grupa koczuje po stronie białoruskiej. Taką informację podała ratownikom Straż Graniczna, która z pewnością lepiej niż SIP orientuje się, w którym miejscu przebiega granica. Dyspozytor pogotowia zrugał aktywistów za to zamieszanie. Rzecznik Nadbużańskiego Oddziału SG poinformował w rozmowie z „GW", że 9 września w okolicach Terespola funkcjonariusze zauważyli grupę dwudziestu kilku osób, która przemieszczała się w stronę granicy w asyście białoruskich pograniczników. Tego samego dnia SG opublikowała film, który ilustruje tę lub analogiczną sytuację. Widać na nim, jak tuż za płotem z drutu kolczastego ludzie w mundurach ładują grupę cywilów do samochodów białoruskiej Służby Granicznej, najprawdopodobniej po to, by przewieźć ich na inny, mniej strzeżony odcinek granicy.

OPOZYCJA SPRZYJA ŁUKASZENCE

Mińsk oczywiście zaprzecza tym oskarżeniom. Według oficjalnej wersji białoruscy pogranicznicy jedynie okazywali pomoc medyczną uchodźcom. Tamtejsze media wciąż kreślą ten sam obraz kryzysu. Przekonują mianowicie, że to Polacy siłą przewożą migrantów na granicę z Białorusią, nie odwrotnie.

Stan wyjątkowy jest stanem tymczasowym, który kiedyś trzeba będzie znieść. A wtedy Łukaszenka, licząc na pomoc pożytecznych idiotów z polskiej lewicy, może zaatakować ze zdwojoną siłą. Granica musi być trwale wzmocniona i zabezpieczona. Zdaniem wielu komentatorów powinna być również w sposób bardziej czytelny wyznaczona i oznakowana. Tak, aby nie było pola do absurdalnych dyskusji o tym, na terenie którego państwa znajduje się koczowisko nielegalnych migrantów. Na razie od Białorusi odgradza nas 60 km dwuipółmetrowego płotu oraz 130 km zasieków wojskowych. Z lewej strony słychać głosy oburzenia. Posłanki Partii Zieloni złożyły nawet w tej sprawie zawiadomienie do prokuratury. Ich zdaniem „nieprawidłowa konstrukcja" płotu „może stwarzać zagrożenie dla bezpieczeństwa ludzi i zwierząt". W tej kwestii po raz kolejny polska opozycja oraz sprzyjające jej media nieświadomie wspierają propagandę Mińska. Jednym z „dowodów" w sprawie jest bowiem opublikowane przez Państwowy Komitet Graniczny Białorusi nagranie przedstawiające martwego łosia, który zaplątał się w drut kolczasty rzekomo ok. 10 km na północ od Kuźnicy. Ponadto do ogrodzenia dobudowano siatkę, chroniącą zwierzęta przed okaleczeniem. Zwierząt szkoda, MON zapewnia jednak, że w tym miejscu nie ma żadnych śladów uszkodzenia płotu. Za to już rozdzieranie szat nad nielegalnymi migrantami, którzy mogą się pokaleczyć, próbując sforsować ogrodzenie i tym samym złamać prawo, jest groteskowe.

Płot ma charakter prowizoryczny, delikatnie pisząc – niezbyt wytrzymały. Mariusz Błaszczak podkreśla jednak, że jest to rozwiązanie tymczasowe. A na pytania o ewentualną budowę muru odpowiada:

eprasa.pl 39ee1bda30

Na razie od Białorusi odgradza nas 60 km dwuipółmetrowego płotu oraz 130 km zasieków wojskowych FOT. MICHAŁ KOŚĆ/FORUM

„Nad tym będzie się pochylał polski rząd". Najważniejsze jednak, by ochrona granic była obwarowana bardzo konkretnymi, zrozumiałymi, surowymi i niepozostawiającymi zbyt wiele miejsca na interpretację przepisami prawa. Po lewej stronie opinii publicznej wielką karierę robi szkodliwe hasło „Nikt nie jest nielegalny". Te same środowiska, które przez lata piętnowały PiS za rzekome łamanie praworządności, dziś otwarcie popierają łamanie prawa przez migrantów, swoją w gruncie rzeczy antypaństwową działalność pudrując humanitarną retoryką. Przepisy do tej pory nie były do końca jasne. Pozwalały na przyjęcie wniosku o azyl, złożonego zarówno na przejściu granicznym, jak i po nielegalnym przekroczeniu tzw. zielonej granicy. Stąd też moralna presja na pograniczników, aby przepuszczali „uchodźców". Tyle że SG jest służbą powołaną do ochrony granic. Byłoby absurdem, gdyby jawnie tolerowała jej bezprawne przekraczanie. Rzeczniczka SG w licznych wypowiedziach medialnych tłumaczyła, że pogranicznicy nie mogą zachęcać do łamania prawa, ale zapewniała przy tym, że każdy wniosek o azyl, złożony na przejściu granicznym, zostanie rozpatrzony.

Tę prawną lukę reguluje nowelizacja ustawy o cudzoziemcach oraz niektórych innych ustaw, zapowiedziana już w sierpniu, a w ubiegłym tygodniu, już po zamknięciu tego numeru „Do Rzeczy", poddana pod głosowanie w Sejmie. Zgodnie z jej zapisami w przypadku imigranta zatrzymanego niezwłocznie po nielegalnym przekroczeniu granicy komendant miejscowej placówki SG wydaje nakaz opuszczenia terytorium RP. Cudzoziemiec otrzymuje jednocześnie zakaz ponownego wjazdu do Polski i innych państw strefy Schengen na okres od sześciu miesięcy do trzech lat. Może złożyć zażalenie do komendanta głównego SG. To jednak nie wstrzymuje wykonania decyzji. Deportowany cudzoziemiec na rozpatrzenie zażalenia będzie musiał poczekać już poza granicami Polski.

Ponadto, według noweli, szef Urzędu ds. Cudzoziemców może pozostawić bez rozpoznania wniosek o udzielenie ochrony międzynarodowej, jeżeli składający ten dokument cudzoziemiec przybył z terytorium, na którym jego życiu lub wolności nie zagraża niebezpieczeństwo prześladowania lub ryzyko wyrządzenia poważnej krzywdy albo jeżeli nie przedstawił wiarygodnych przyczyn nielegalnego wjazdu na terytorium RP. Te zapisy pozwolą na niewpuszczanie właściwie niemal każdego, kto spróbuje przedostać się do Polski z terenu Białorusi przez zieloną granicę.

GRANICA PONAD PODZIAŁAMI

Oba zapisy na etapie prac komisji próbowała usunąć posłanka KO Urszula Zielińska, argumentując, że łamią one prawo krajowe i międzynarodowe. Nowelizacja w pewnym sensie legalizuje teoretycznie zakazaną praktykę pushback, polegającą na odsyłaniu migrantów za granicę bez rozpatrzenia wniosków o azyl. Krokiem w tym kierunku było już sierpniowe rozporządzenie MSWiA, nakazujące bezwarunkowe i niezwłoczne opuszczenie kraju osobom przebywającym na jego terenie nielegalnie. Teraz zaostrzenie ochrony granic ma mieć moc ustawy. Czy to będzie kolejne prawo, z którego PiS będzie musiał się wycofać pod międzynarodowym naciskiem? Wątpliwe. Konwencja genewska, na którą powołują się przeciwnicy nowych rozwiązań, zakazuje zawracania uchodźcy „do granicy terytoriów, gdzie jego życiu lub wolności zagrażałoby niebezpieczeństwo". Rozporządzenie tego warunku nie spełniało, ale ustawa już częściowo tak, skoro szef Urzędu ds. Cudzoziemców musi mieć pewne powody, aby nie rozpatrzyć wniosku o azyl.

Komisja Europejska dała już dawno jasny sygnał, że ochrona granic UE jest najważniejsza. Nadszedł czas, by lewicowi internacjonaliści zrozumieli, że granica państwa nie jest narzędziem „PiS-owskiej dyktatury", tylko czymś, czego trzeba strzec ponad podziałami. Czymś, czego niszczenie jest czynem antypaństwowym. Gdy kilka tygodni temu Bartosz Kramek najpierw zaapelował o zniszczenie płotu na granicy, a następnie ten apel wprowadził w życie, dla każdego, kto poważnie traktuje państwo i prawo, było oczywiste, że ten niezwykle szkodliwy dla bezpieczeństwa kraju incydent zasługuje na surową karę. Tyle że wówczas dywersantów można było ukarać jedynie za zniszczenie mienia. Nowela tę wstydliwą lukę wypełnia. Przewiduje bowiem karę pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do pięciu lat dla tego, kto „zabiera, niszczy, uszkadza, usuwa, przesuwa lub czyni niezdatnymi do użytku elementy infrastruktury, znajdujące się w strefie nadgranicznej i przeznaczone do ochrony granicy państwowej, w szczególności ogrodzenia, zasieki, zapory lub rogatki". W przypadku mniejszej wagi szkód sprawca podlegałby karze grzywny. Oby ten zapis zniechęcił potencjalnych naśladowców Kramka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 39ee1bda30

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

Z ks. Pawłem Antosiakiem z Papieskiego Stowarzyszenia Pomocy Kościołowi w Potrzebie
rozmawia Paweł Zdziarski

Pomoc imigrantom musi być mądra

PAWEŁ ZDZIARSKI: Środowiska lewicowo-liberalne zarzucają Kościołowi, że dba tylko o życie nienarodzonych dzieci, ale nie o uchodźców. Ile w tym prawdy?

KS. PAWEŁ ANTOSIAK: Kiedy słyszę tego typu lewackie poglądy wykorzystujące Ewangelię do głoszenia swoich teorii, przypomina mi się cytat: „Odrobina chrześcijaństwa dodana do lewackich poglądów z głupca czyni głupca doskonałego". To najlepsza odpowiedź na tego typu zarzuty. Te środowiska zupełnie nie rozumieją istoty tego, czym jest chrześcijaństwo i jak powinna wyglądać mądra pomoc.

Z czym tak naprawdę mamy do czynienia?

To jest zaplanowana rozgrywka ze strony naszych „przyjaciół" ze Wschodu. Rosja wyciągnęła mądre wnioski ze swojej przegranej w Afganistanie. Zobaczyła, że z tym państwem nie ma sensu walczyć. Rosjanie pozwolili wejść tam Amerykanom i spróbować zaprowadzić tam demokrację, sami nie angażując się w działania w tym regionie. Moskwa chce zdobyć te tereny już nie walką zbrojną, ale poprzez współpracę z tamtejszym rządem talibów. W ten sposób zamierza podporządkować sobie ekonomicznie Afganistan i zrobić z niego swoją prawdziwą strefę wpływów.

Jak ta sytuacja wpływa na bezpieczeństwo Polski?

Grupa imigrantów, która przebywa na granicy polsko-białoruskiej, stała się kartą przetargową Putina i Łukaszenki. Wielu polskich polityków tego nie dostrzega. Trzeba być niewidomym intelektualnie, aby nie widzieć tego, w jaki sposób jest to rozgrywane. Oczywiście współczuję grupie ludzi, która znalazła się na granicy.

Wspomniał ksiądz o mądrej pomocy. Jak powinna ona wyglądać?

Mamy doświadczenie z Syrii, Iraku, Libanu oraz z największego obozu dla uchodźców w Ugandzie. Wszystkie te przykłady pokazują, że osoby najbiedniejsze pozostają na miejscu. Mądra pomoc to taka, która stara się docierać właśnie na te tereny i uniemożliwić ruch migracyjny. Dzieje się tak nie po to, aby zamknąć granicę i być krajem bez imigrantów, lecz po to, aby uniknąć olbrzymiej ilości tragedii, które niesie za sobą ruch migracyjny. Jako Papieskie Stowarzyszenie Pomoc Kościołowi w Potrzebie od kilku lat współpracujemy z fundacją zajmującą się ofiarami handlu ludźmi. Dane ONZ

eprasa.pl 39ee1bda30

wskazują, że takich osób na świecie jest ponad 40 mln, a olbrzymi procent z nich powstaje, gdy ludzie opuszczają swoje domy. Bogate kraje Zachodu nie potrafią powalczyć o to, aby te osoby mogły pozostać na miejscu. Opuszczając swoje domy, stają się łatwym łupem dla handlarzy ludźmi. W trakcie ruchu migracyjnego ponad 90 proc. kobiet jest co najmniej raz gwałconych. Nie wchodzę już w to, jakie niebezpieczeństwa niesie ze sobą ślepe przyjmowanie imigrantów, ale apeluję o to, abyśmy powalczyli o pomoc tym osobom w ich miejscu zamieszkania. Nie dajmy się wciągnąć w polityczne rozgrywki, lecz mądrze kierujmy naszą pomoc wobec najsłabszych. Na tym polega mądrość chrześcijaństwa, które się nam tak często wytyka.

Nie zastanawia księdza, że te ataki pochodzą od osób, które na co dzień domagają się rozdziału Kościoła od państwa?

To trochę jak próba przekonywania płaskoziemców. Kiedy ktoś wysuwa takie argumenty, mając zupełnie inne podwaliny, ślepo rzuca Ewangelią, nie rozumiejąc jej, to tutaj po prostu nie ma pola do dyskusji. Oczywiście politycy powinni w swoich decyzjach kierować się wiarą i deklarowanymi wartościami. Po to zostali wybrani, żeby działać w ten sposób. Jeżeli głupcy doskonali kierują takie zarzuty wobec Kościoła, to ja nie potrafię wchodzić w taką dyskusję.

Przed wprowadzeniem stanu wyjątkowego na granicy polsko-białoruskiej nie brakowało kuriozalnych scen, w których politycy Lewicy i Koalicji Obywatelskiej próbowali przedrzeć się przez Straż Graniczną. Jak ksiądz ocenia te działania?

To oczywiście polityczna gra, zresztą bardzo niemądra. Tak jak powiedziałem, wiem, jak wygląda mądra pomoc. Staramy się docierać do miejsc, w których najbiedniejsi ludzie przebywają w obozach dla uchodźców, gdzie brakuje leków i odzieży. Z naszego wsparcia korzystają setki tysięcy osób. Niesiemy pomoc medyczną, humanitarną i psychologiczną. Na przykład dzieci, które były świadkami wojny w Syrii, potrzebują wzmożonej opieki pedagogicznej. Dzięki takim zorganizowanym działaniom wiemy, gdzie przebywają osoby najbiedniejsze oraz jak im pomóc. Jeżeli ktoś tego nigdy nie widział, to idzie z jednym śpiworem na granicę pomagać 30 uchodźcom i zabiera konserwę wieprzową dla muzułmanów. Nie potrafię tego komentować. Myślę, że ci ludzie powinni zobaczyć, jak wygląda prawdziwe piekło, aby zrozumieć, jak realizuje się chrześcijaństwo.

Czyli należy uwzględniać porządek miłosierdzia: w pierwszej kolejności najbliżsi, rodzina, naród, a potem cały świat?

Stowarzyszenie Pomoc Kościołowi w Potrzebie działa w Polsce od 16 lat. Wcześniej otrzymywaliśmy od tej organizacji największą pomoc. Kiedy staliśmy się ekonomicznie silniejsi i większość społeczeństwa jest w stanie pomagać, wówczas również w naszym kraju zostało stworzone biuro stowarzyszenia. To niesamowite, co jesteśmy w stanie zrobić dzięki hojności polskich ofiarodawców. Każdego dnia na świecie zostaje uratowanych mnóstwo istnień ludzkich. W ostatnim czasie fundacja pomagająca ofiarom handlu ludźmi, o której mówiłem, w ciągu jednego dnia ocaliła 40 dziewczynek pracujących w domach publicznych. Ponad połowa z nich była w stanie błogosławionym. Potrzebna była natychmiastowa reakcja. Wiem, ile pracy należy włożyć, aby takim dzieciom zapewnić lepszą przyszłość. Obecnie planujemy np. dostarczyć żywność rodzinom w Libanie. Kiedy widzę sceny na granicy polsko-białoruskiej, nie potrafię znaleźć odpowiedniego komentarza. Jest to żałosne i bardzo słabe. Nasza ojczyzna potrafi mądrze pomagać. Kiedy słyszę, jak opluwa się chrześcijaństwo i pomoc niesioną przez Polaków, to mam ochotę pokazać dziecko, które po rocznym pobycie w ośrodku dla uchodźców po raz pierwszy się uśmiecha, bo połowę swojego życia spędziło w niewoli w domu publicznym. Każda rodzina, która ma szansę przeżyć, i każdy dom, który ma szansę zostać odbudowany, pokazują ogrom realizowanych przez nas projektów na całym świecie.

Czyli paradoksalnie rację miała poseł KO Klaudia Jachira, pisząc, że „Polacy tak samo ratują uchodźców, jak podczas drugiej wojny światowej ratowali Żydów"?

Nigdy nie myślałem, że zgodzę się z panią poseł, ale to faktycznie prawda. Polacy, tak samo jak w trakcie okupacji niemieckiej, również teraz z dużą ofiarnością pomagają najbardziej potrzebującym.

Jak w praktyce działa Stowarzyszenie Pomoc Kościołowi w Potrzebie?

Ze wszystkich zakątków świata napływają do nas projekty tworzone przez ludzi Kościoła, np. misjonarzy. Obrazują one bardzo konkretne potrzeby lokalnych społeczności. Wszystkie prośby dokładnie weryfikujemy. Przedstawiciele naszego biura co jakiś czas udają się do tych miejsc, aby rozmawiać z ludźmi, być blisko nich i sprawdzać, czego najbardziej potrzebują. Następnie staramy się wszystkie te projekty realizować za pośrednictwem lokalnych struktur Kościoła. W ten sposób docieramy do samego środka problemu. W ostatnim czasie jako polskie biuro wspólnie z fundacją Przyjaciel Misji oraz Wojskiem Polskim organizujemy transport leków i żywności do Libanu. To państwo jest dziś na skraju całkowitej zapaści. Ludzie nie mają pracy i środków do życia, dlatego kierujemy do nich naszą pomoc. Zamierzamy również przetransportować produkty pierwszej potrzeby do Syrii. Do innych naszych działań należy m.in. budowa studni w Sudanie Południowym, gdzie woda właściwie daje początek wszystkiemu. Dajemy wędkę, aby ci ludzie mogli zacząć sami organizować sobie życie. Podobne działania mające na celu pomoc humanitarną prowadzimy w Czadzie. To tylko niektóre z realizowanych przez nas obecnie projektów.

Czy nazwa stowarzyszenia sugeruje, że na pomoc z jego strony mogą liczyć tylko katolicy?

Nazwa Stowarzyszenia Pomoc Kościołowi w Potrzebie wynika z historii tej organizacji. Naszą misją jest przede wszystkim wsparcie dla chrześcijan na całym świecie, szczególnie w tych krajach, gdzie są dyskryminowani i prześladowani. Nigdy jednak nie odmówiliśmy pomocy ludziom potrzebującym, kimkolwiek byli. Mamy wiele świadectw np. z Syrii i Iraku, gdzie nasze stowarzyszenie zapewniło opiekę muzułmanom. Tymczasem Czerwony Półksiężyc i inne islamskie organizacje przez długi czas nie pomagały chrześcijanom. Dla nas bliźnim jest ten, który jest blisko nas i np. prosi o wsparcie. Na tym opiera się misja naszego stowarzyszenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

ks. Paweł Antosiak
– katolicki duchowny, działa w Stowarzyszeniu Pomoc Kościołowi w Potrzebie.

eprasa.pl 39ee1bda30

Pomysł zły, bo kościelny

Tomasz Rowiński

Z dyskryminacji katolików w Polsce może się śmiać każdy, kto nie spróbował zrealizować jakiegoś większego projektu społecznego, chociaż ocierającego się o chrześcijańską inspirację. A szczególnie jeśli udało mu się przekonać jakieś instytucje państwa do wsparcia finansowego

Przez takie doświadczenie przechodzi właśnie ks. Michał Olszewski, sercanin, szef Fundacji Profeto, znanej choćby z projektu medialnego obejmującego portal i radio o tej samej nazwie. Razem z ks. Olszewskim medialno-urzędową „ścieżkę zdrowia” przechodzą także jego współpracownicy, którzy zaangażowali się w projekt „Archipelag – Wyspy Wolne od Przemocy”. Wszystko dlatego, że otrzymali z Funduszu Sprawiedliwości wsparcie w wysokości 43 mln zł na budowę nowoczesnego – a przy tym ciekawego architektonicznie – ośrodka pomocy osobom dotkniętym przemocą.

Hejt wobec zespołu Profeto, który został sprowokowany przez krytykę, opartą albo na nieprawdziwych informacjach, albo na manipulacji informacjami prawdziwymi, doprowadził nie tylko do zalewu nienawistnych komentarzy w Internecie, lecz także do gróźb karalnych. „Jesteście złodziejami, zabraliście dzieciom pieniądze, ale nie ujdzie wam to na sucho. Zabijemy wasze dzieci. I spalimy domy” – o takich groźbach czytamy w reportażu o „Archipelagu”, który opublikował w maju 2020 r. „Duży Format”.

Zawodowi tropiciele mowy nienawiści zwykle milczą, gdy dotyczy ona katolików. Zresztą przywołany tekst „DF”, pomimo podsuwanych przez autorów w tytule sformułowań w stylu „Ksiądz Michał Olszewski zbuduje imperium”, wypada bardzo na korzyść duchownego i projektu, któremu daje twarz. Zarówno ks. Michał, jak i osoby pracujące przy „Archipelagu” potwierdzają, że spotkali się z groźbami. Potwierdzają też to, że o ich projekcie często mówi się nieprawdę.

DOŚWIADCZENIE W POMAGANIU

Jeden z wrogich katolikom liberalnych portali śledczych zasugerował swoim czytelnikom, że niemająca żadnego doświadczenia pomocowego organizacja przygotowała w trzy dni projekt, który wygrał z 10 innymi konkurentami. Gdy rozmawiam z zespołem „Archipelagu”, słyszę jednak coś innego. Nie chcą o tym mówić, ponieważ uważają, że chwalenie się tym, co robią, nie należy do chrześcijańskiego etosu, jednak w końcu dowiaduję się, że pomagają od dawna. Że od dawna zbierają doświadczenia, a od jakiegoś czasu pracowali intensywnie, poszukując grantu, który pozwoliłby tę pomoc usystematyzować, zinstytucjonalizować i rozwijać.

Do przyjrzenia się programom Funduszu Sprawiedliwości skłoniło ich m.in. wsparcie, które z tego funduszu otrzymała słynna klinika Budzik. Nie napisali wniosku na kolanie – zatrudnili specjalistę, swoją radą zespół „Archipelagu” wspierały osoby, które od środowiska Profeto doświadczyły, z powodu chrześcijańskiej caritas, nieinstytucjonalnie wsparcia. Wiedzieli więc dobrze, co jest potrzebne.

– Wyniki też nas zaskoczyły, choć wiem, że napisaliśmy świetny projekt – mówił ks. Michał w roku 2020. – Od momentu ogłoszenia konkursu pracowało nad nim kilkanaście osób dzień i noc. „Archipelag – Wyspy Wolne od Przemocy”, bo tak nazwaliśmy nasz ośrodek, będzie miał 4,5 tys. mkw. Z pobytu dziennego będzie mogło skorzystać 60 osób. Każda grupa będzie miała własną wyspę, czyli bezpieczną przestrzeń. Do dyspozycji podopiecznych będą: dwie osoby pierwszego kontaktu odpowiedzialne

eprasa.pl 39ee1bda30

FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

Ksiądz Michał Olszewski, szef Fundacji Profeto, i wizualizacja ośrodka pomocy osobom dotkniętym przemocą, który zamierza zbudować

FOT. BIURO PROJEKTÓW LEWICKI ŁATAK/FUNDACJA PROFETO

m.in. za przyjmowanie zgłoszeń, kierowanie do specjalistów, ośmiu psychologów i terapeutów, dwóch prawników, mediator, tłumacz, tłumacz migowego i doradca zawodowy – opowiadał.

„Archipelag” planuje nie tylko skupiać się na klasycznych formach terapii, lecz także rozwijać muzykoterapię, sztukoterapię, teatroterapię – wszystko to zostało przewidziane w projekcie architektonicznym, który przygotowali znakomici twórcy z krakowskiej pracowni Lewicki Łatak. Krytycy jednak nawet z tego, że przy „Archipelagu” pracują najlepsi specjaliści, uczynili zarzut – bo to na pewno dużo kosztuje. Nic w tym dziwnego: dobry projekt kosztuje niezależnie, czy realizuje go organizacja założona przez katolików czy lewicowych aktywistów, kolegów dziennikarzy z liberalnych mediów. „Archipelag” ks. Olszewskiego chciałby też pomagać innym ośrodkom interwencyjnym, którym brakuje czasem dziś miejsca.

LEGENDA O EGZORCYZMIE

Niestety, do ataków na „Archipelag” rękę przyłożyła także znana i ceniona Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę. Chodzi o legendę, wedle której ks. Olszewski, będąc egzorcystą, miał wypędzać z penitentki demona wegetarianizmu za pomocą salcesonu. Legenda wciąż krąży, choć nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością. – Opowiadałem to raczej z przymrużeniem oka. Salceson nigdy nie był narzędziem egzorcyzmowania. Po jednej z sesji uwolnieniowych kobieta zdradziła, że jest weganką, więc zażartowałem, że z tego ducha też ją możemy uwolnić, a ksiądz, który mi pomagał, przyniósł salceson – tłumaczy ks. Olszewski.

Rozpowszechnianiem takich informacji przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę był zasmucony. – Mam wiele szacunku do tego, co robią, jako Kościół uczymy się od nich. Powiedziałem, że jest mi przykro, iż nie dostali pieniędzy, ale poprosiłem, by nas nie obwiniali. Na nikogo nie naciskaliśmy. Nie znam ani Zbigniewa Ziobry, ani nikogo w Ministerstwie Sprawiedliwości, kto mógł odpowiadać za wyniki konkursu. Nie chcę, by naszą organizację łączono z którąkolwiek ze stron politycznego sporu. Zaproponowałem przełożonym, że odsunę się od projektu, bo jestem dla niego obciążeniem, ale zespół zadeklarował, że beze mnie tego nie zrobi – mówił ks. Olszewski w zeszłym roku.

Dziś dodaje, że od początku marzyło mu się, by zaprosić Fundację Dajemy Dzieciom Siłę do współpracy.

Jedna z osób zaangażowanych przy procesie składania wniosku dopowiada, że gniew tej fundacji nie jest do końca zrozumiały, ponieważ grant Funduszu Sprawiedliwości był przeznaczony dla tych podmiotów, które chciały właśnie stworzyć coś od nowa, a DDS tego nie planowała. Pomija się także to, że „Archipelag” do wniosku wniósł wkład własny, co miało znaczenie przy ocenie projektu. Chodzi o działkę wartą kilka milionów złotych w warszawskim Wilanowie, którą kupili zakon sercanów razem z Fundacją Profeto.

KŁODY POD NOGI

Z tą działką związane są największe aktualne problemy projektu. Dzielnica nie wydała zgodny na budowę, ponieważ rzekomo jest ona niezgodna z planem zagospodarowania terenu. Z tego, co jednak można przeczytać, a także co mówią osoby zaangażowane w projekt „Archipelag – Wyspy Wolne od Przemocy”, urzędnicy nie mają mocnych argumentów.

W planie zagospodarowania działka kupiona przez sercanów i Profeto została przeznaczona na działalność usługową, socjalną, kulturalną i religijną. Powstający ośrodek dokładnie spełnia te właśnie wymagania. Aby wydać decyzję odmowną, urzędnicy musieli się postarać. We wniosku użyto sformułowania „lokale interwencyjne”, mają one służyć terapii. Jednak w dzielnicy oceniono, że „lokal interwencyjny jest ośrodkiem wsparcia, działającym na zasadzie mieszkania chronionego, które zapewnia tymczasowe schronienie udzielone w formie interwencyjnej”. Czyli że lokale terapeutyczne „wydają się” wilanowskim urzędnikom czym innym, niż są w rzeczywistości. W konsekwencji wydano absurdalną, opartą na domysłach opinię, że powstające centrum ma charakter „budynku zamieszkania zbiorowego”.

Jak podkreśla ks. Olszewski, urzędnicy nigdy nie odnieśli się do szczegółowych, przygotowanych przez architektów oraz prawników odpowiedzi na 57 pytań przesłanych z dzielnicy. Wyjaśniony tam zostały charakter projektowanych lokali, a także podnoszone nieustannie w krytykach kwestie kanalizacji czy połączenia drogowego.

Nietrudno usłyszeć w wilanowskich kuluarach, że władze dzielnicy wrogo odnoszą się do aktywności Kościoła, że im „Świątynia Glempa – czyli Świątynia Opatrzności Bożej – wystarczy”.

Sprawa jest teraz w rękach wojewody mazowieckiego Konstantego Radziwiłła. Może on uchylić decyzję wilanowskiego urzędu i wydać zgodę. Ksiądz Michał Olszewski nie wie, jaka przyszłość czeka projekt, w który włożył tyle serca, zaangażowania, a jego zgromadzenie także funduszy. Nie obawia się jednak o merytoryczną stronę swojego projektu. Można odnieść wrażenie, że gdyby tylko od niej zależała przyszłość „Archipelagu”, nie obawiałby się w ogóle.

Gdy rozmawiam z członkami zespołu tworzącego „Archipelag”, słyszę o perspektywie pomocy ofiarom przemocy wybiegającej na wiele lat do przodu, słyszę o planach w sprawie tego, jak ośrodek będzie działał, gdy grant Funduszu Sprawiedliwości dobiegnie końca. Nie interesuje ich budowanie „kościelnego imperium”. Uważają, że dobre projekty powinny znajdować uznanie państwa niezależnie od tego, jakie środowiska je przygotowują. Podkreślają jednak z żalem, że mechanizm ataku na katolików zawsze jest ten sam – gdy chrześcijanie siedzą cicho i nie są aktywni, pisze się, że Kościół nic nie robi, gdy jakieś projekty mające szansę realizacji i nawet pewien rozmach oraz profesjonalnego ducha są podejmowane, okazuje się, że jest jeszcze gorzej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 39ee1bda30

Z Ryszardem Czarneckim, pełnomocnikiem PiS ds. sportu, kandydatem na prezesa Polskiego Związku Piłki Siatkowej

rozmawia Ryszard Gromadzki

Apolityczna siatkówka

FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

RYSZARD GROMADZKI: Powiedział pan ostatnio, że zrezygnuje z udziału w czynnej polityce, jeśli zostanie pan wybrany na prezesa Polskiego Związku Piłki Siatkowej. Czy sport da się w ogóle oddzielić od polityki? Ona była w nim zawsze. Osiemdziesiąt pięć lat temu na otwarciu olimpiady w Berlinie nie tylko reprezentanci III Rzeszy niemieckiej salutowali podniesioną ręką przed Adolfem Hitlerem. Emblematycznym zdjęciem z olimpiady w Meksyku w 1968 r. było ujęcie dwóch amerykańskich sprinterów, którzy przy dźwiękach hymnu USA trzymali w górze zaciśnięte pięści w czarnych rękawiczkach na znak poparcia dla ruchu Czarnych Panter. Teraz piłkarze Anglii klękają przed każdym meczem w geście przeprosin za rasizm i poparcia akcji Black Lives Matter...

RYSZARD CZARNECKI: Jako pasjonat historii sportu przypominam sobie zdjęcie pokazujące, jak przed drugą wojną światową reprezentacja Anglii w meczu międzypaństwowym w Niemczech oddawała salut Hitlerowi ręką wyciągniętą do góry. To wstydliwa karta w dziejach brytyjskiego sportu. Natomiast co do współczesnego udziału polityków w sporcie to wbrew niektórym opiniom to dość powszechna praktyka. Rzecz w tym, że duża część mediów w Polsce oburza się, gdy Ryszard Czarnecki zasiada w ścisłych władzach Polskiego Komitetu Olimpijskiego czy PZPS, a nie słyszałem żadnego głosu tychże mediów, że członkiem zarządu PKOl jest Władysław Kosiniak-Kamysz. Te same media, które atakują mnie jako kandydata na prezesa Polskiego Związku Piłki Siatkowej, nie atakowały polityka Platformy Obywatelskiej Pawła Papkego, który sprawował funkcję prezesa tego samego Polskiego Związku Piłki Siatkowej, nie atakowały senatora PO Romana Ludwiczuka, który był przez dwie kadencje prezesem Polskiego Związku Koszykówki, nie atakowały byłego lidera SLD Wojciecha Olejniczaka, który był prezesem Polskiego Związku Triathlonu, nie atakowały, kiedy inny czołowy polityk SLD – Wiesław Kaczmarek – był prezesem Polskiego Związki Żeglarskiego, a Janusz Onyszkiewicz, znana postać Unii Demokratycznej i Unii Wolności, był przez długi czas szefem Polskiego Związku Alpinistycznego czy gdy wicepremier z ramienia PSL Roman Jagieliński kierował Polskim Związkiem Jeździeckim. Takich prezesów-polityków można wymieniać znacznie więcej. Oni jakoś nie budzą emocji mediów. Ale ci sami ludzie, dla których to, że prezesem jakiegoś związku sportowego jest polityk PO, PSL czy Unii Wolności, jest OK, pałają świętym oburzeniem, kiedy kandydatem do sprawowania takiej funkcji jest polityk prawicy. W tym wypadku ja.

Czy w takim razie oświadczenie o rezygnacji z polityki należy traktować jako ruch wyprzedzający, który ma zdjąć panu z pleców tę presję?

Nie. Myślę, że udowodniłem, funkcjonując przez 30 lat w polityce na szczeblu centralnym, że nie jestem człowiekiem, który podejmuje decyzje pod presją mediów czy polityków innych obozów.

Siatkówka, zwłaszcza męska, ma w Polsce od lat specjalny status. Kibice ją kochają, są sukcesy. Który polityk nie chciałby się ogrzać w tych wszystkich splendorach...

Akurat w roku, gdy ja z ramienia Polskiego Związku Piłki Siatkowej ubiegałem się o fotel prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego, a potem wchodziłem do za-

eprasa.pl 39ee1bda30

rządu PKOl, siatkarze ponieśli porażkę na igrzyskach olimpijskich w Rio de Janeiro, a więc trudno mówić o „ogrzewaniu się" przy porażce. Rok później, kiedy jednogłośnie w tajnym głosowaniu wybrano mnie na wiceprezesa Polskiego Związku Piłki Siatkowej, to działo się w czasie wielkiej porażki, którą było odpadnięcie naszej reprezentacji w jednej ósmej rozgrywanych w Polsce mistrzostw Europy.

Byłem wtedy na meczu z Serbią na Stadionie Narodowym. Serbowie sprawili nam straszne lanie. 3:0 przy 60 tys. widzów. To bolało.

To prawda. Potem przegraliśmy ze Słowenią mecz o ćwierćfinał. A z kolei finał był z punktu widzenia naszych kibiców dość szczególny, bo na polskiej ziemi grała w nim Rosja z Niemcami.

Chce pan powiedzieć, że nie przyszedł pan do siatkówki po żadne konfitury?

Myślę, że dowiodłem swoich uczciwych intencji i – co nie mniej ważne – skuteczności. Jeszcze raz bardzo dziękuję premierowi Morawieckiemu, że zareagował na moją prośbę i uruchomił środki z rezerwy budżetowej, nawet zmieniając ustawę w tym celu, żeby przekazać 15 mln zł dla polskiej siatkówki po zdobyciu złotego medalu mistrzostw świata w 2018 r. Bardzo się też cieszę, że na skutek moich starań Polska Liga Siatkówki pozyskała sponsora tytularnego dla ligi żeńskiej i strategicznego dla ligi męskiej – mówię tu oczywiście o firmie Tauron. Cieszę się też bardzo, że po raz pierwszy w historii polskiego sportu rząd opłacił całość opłaty licencyjnej do CEV, czyli federacji europejskiej – niemal 5,5 mln zł – za siatkarskie mistrzostwa Europy, które zakończyły się właśnie w naszym kraju.

To była chyba dobra inwestycja. Rozmawiamy po zwycięskim ćwierćfinale z naszym odwiecznym rywalem – Rosją. Wygraliśmy ze Sborną łatwo 3:0. Sezon jednak trudno uznać za udany, bo nie udało się osiągnąć najważniejszego celu, czyli zdobyć olimpijskiego złota. Pytany przez jednego z dziennikarzy o ten niedosyt kapitan reprezentacji Michał Kubiak odpowiedział aż nadto wymownie: „A jak, k...., myślisz?!".

Rozmawiałem długo z Michałem Kubiakiem w Krakowie po jednym z meczów. Oczywiście trudno, żeby nie myśleli o igrzyskach, ale uważam, że bardzo ważną rolę odegrał mecz z aktualnymi mistrzami Europy – Serbią, który wygraliśmy w tie-breaku. Przypomnę, że na igrzyskach przegraliśmy dwa spotkania z Iranem i kluczowe z Francją właśnie po tie-breakach. Myślę, że po meczu z Serbami, po tym przełamaniu, bardzo wzmocniło się morale zespołu.

Nie należy sportowcom zamykać ust. Dla mnie Robert Lewandowski niech mówi, co chce, byleby strzelał gole dla Polski

Zdjęliśmy klątwę tie-breaków! Czy po przegranych igrzyskach w Tokio siatkarski projekt, który firmował trener Vital Heynen, dobiegnie końca? Belg zostanie zastąpiony przez innego szkoleniowca?

Moim zdaniem nowe władze Polskiego Związku Piłki Siatkowej powinny rozpisać konkurs na funkcję trenera kadry męskiej i obecny szkoleniowiec może wziąć w nim udział.

A pan jest zwolennikiem kontynuowania pracy z naszą kadrą przez Heynena?

Uważam, że dywagacje personalne w trakcie mistrzostw Europy, kiedy trener i zawodnicy powinni skupić się na wygrywaniu kolejnych meczów, są absolutnie kontrskuteczne. Nie chcę się tym zajmować.

Co będzie pańskim priorytetem w roli szefa Polskiego Związku Piłki Siatkowej? Na pierwszy rzut oka polska siatkówka, zwłaszcza w wydaniu męskim, wydaje się świetnie funkcjonującą machiną. Sukcesy sportowe, jedna z najlepszych lig na świecie, brak problemów ze sponsorami, system sukcesji sprawiający, że kolejne generacje graczy wchodzą na światowy poziom. Jest w tym modelu coś do poprawy czy raczej chodzi o utrzymanie status quo?

Jeżeli nie idziemy naprzód, to się cofamy. Zamiast zachwycać się dobrze wyglądającą rzeczywistością, trzeba spojrzeć na drugą stronę medalu. W wielu województwach spada liczba klubów siatkarskich. Na przykład na Podkarpaciu w ciągu ostatnich 10 lat ubyło ich 19. To dotyczy głównie małych klubów z mniejszych miejscowości. Przypomnę, że bardzo wielu naszych reprezentantów i reprezentantek, zawodników męskiej Plus Ligi, jednej z dwóch najsilniejszych lig świata, i zawodniczek żeńskiej Tauron Ligi, której poziom też ostatnio się bardzo podniósł, zaczynało kariery w klubach z małych miejscowości. Jeżeli myślimy o siatkówce w kategorii pewnej piramidy, której wierzchołkiem są reprezentacje narodowe, to musimy zadbać o kluby z małych ośrodków, inaczej podstawa tej piramidy się skurczy, co może mieć fatalne skutki dla całej dyscypliny na przyszłość. Poza tym trzeba inwestować w coś, co się sprawdziło: w SOS-y, czyli Siatkarskie Ośrodki Szkolne, których jest w Polsce bardzo wiele. Chodzi o to, żeby tę bazę szkolną stale powiększać, aby już na tym poziomie wychwytywać talenty.

Będę też zabiegał o wzmocnienie wojewódzkich związków piłki siatkowej, które prowadzą niższe ligi rozgrywek. Bardzo ważne jest też prowadzenie kursów dla polskich trenerów, z udziałem najlepszych trenerów na świecie. Konieczne będzie rozszerzenie współpracy z uczelniami wyższymi, aby doprowadzić do pewnej fuzji potencjału sportowego z potencjałem naukowym. To wszystko jest niezbędne, żebyśmy mogli pójść do przodu z naszym sportem narodowym, jakim jest siatkówka. Chciałbym też wzorem innych dyscyplin zaprosić do współpracy psychologów sportowych, bo jestem przekonany, że podstawa sukcesu tkwi także w głowie.

Zaczęliśmy naszą rozmowę od wagi gestów w sporcie. Myślę, że większość Polaków oczekuje od naszych sportowców godnego i honorowego reprezentowania kraju. Tymczasem w tej sferze jest coraz więcej symptomów dających do myślenia. Ostatnio Robert Lewandowski, ikona polskiego futbolu, powiedział, że nie miałby problemu z założeniem tęczowej opaski kapitańskiej jako wyrazu poparcia postulatów środowisk LGBT wzorem kapitanów reprezentacji Niemiec czy Anglii. Czy tego rodzaju demonstracje nie psują odbioru sportu?

Nie należy sportowcom zamykać ust. Nie należy ich cenzurować. Dla mnie niech Robert Lewandowski mówi, co chce, byleby strzelał gole dla Polski.

Nie przeszkadzałaby panu tęczowa opaska na ramieniu kapitana reprezentacji piłkarskiej Polski?

Podobnie jak pewnie większości polskich kibiców bardziej odpowiada mi tradycyjna opaska. Z jednej strony jestem przeciwny politycznym demonstracjom w sporcie. Z drugiej jednak będę ostatnim, który chciałby sportowców uciszać czy wychowywać. To nie jest moja rola.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 39ee1bda30

Ratować ratownictwo

Łukasz Zboralski

Ratownicy medyczni w całym kraju rzucają wypowiedzenia na stół. Mają dość niskich płac, wyrabiania setek godzin. Rząd negocjuje, a na szali jest życie – to zespół karetki w nagłych przypadkach pozwala je ocalić

Ta fala niezadowolenia wzbierała długo. I wydawało się, że rozejdzie się jak kółka po wodzie. Zamiast tego jest jednak tsunami. Dziś już wiemy, że to strajk bez precedensu. Co chwilę przybywa informacji o załogach ratownictwa, które wypowiadają świadczenie pracy. I robią to wszyscy, solidarnie. Na mapie kraju z każdym dniem ubywa karetek pogotowia mogących nieść pomoc.

Kilka dni temu w sieci ratownicy zamieścili zdjęcie stołu ze stosem kartek. To były wypowiedzenia złożone jednego dnia w Zespole Ratownictwa Medycznego oraz w Szpitalnym Oddziale Ratunkowym Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Toruniu. Ponad stu ratowników medycznych w ramach strajku zrezygnowało z pracy. Marszałek województwa, któremu podlega szpital, rozłożył ręce. Tłumaczył, że samorząd nie ma pieniędzy na podwyżki, których oczekują ratownicy.

NISKA ZAPŁATA ZA OCALENIE

Według danych GUS system Państwowego Ratownictwa Medycznego opiera się dziś na 1581 zespołach ratownictwa medycznego (dane za 2020 r.). Z tego 343 to zespoły specjalistyczne. Mamy też 21 baz Lotniczego Pogotowia Ratunkowego i 239 szpitalnych oddziałów ratunkowych.

W zespołach ratownictwa medycznego, które ratują życie ludziom poza szpitalem (i ewentualnie do szpitala ich potem transportują), pracuje 13 tys. osób. Prawie 11 tys. to ratownicy medyczni (reszta to m.in. 1,1 tys. pielęgniarek, 500 lekarzy).

Wielu ratowników zajmuje się tą pracą, bo ma takie poczucie misji. Trudno jednak żyć jedynie misją. Trudno ratować wciąż czyjeś życie, gdy przez to osobiste życie zaczyna walić się w gruzy. Przyczyna jest prosta – niedofinansowany system opieki zdrowotnej w Polsce. Zarobki, które oferuje ratownikom medycznym, są niewielkie.

Ratownicy dostają np. 21 zł brutto za godzinę pracy. Maksymalnie – według portalu rynekzdrowia.pl – kwota ta może wzrastać do 36 zł brutto. Zarabiają ok. 2,8 tys. zł na rękę miesięcznie. Gdy w sieci zaczęli zamieszczać swoje „kwitki" od wypłat, jeden z nich, z 15-letnim stażem, pokazał wypłatę w kwocie 1972,55 zł. Inny – z jeszcze większym medycznym stażem pracy, jeżdżący w samej karetce 16 lat – pokazał wypłatę w kwocie 3536,43 zł.

Komitet Protestacyjny Ratowników Medycznych na swoim profilu na Face-

eprasa.pl 39ee1bda30

Ratownicy medyczni protestujący w Olsztynie, czerwiec 2021 r.

FOT. ARTUR SZCZEPAŃSKI/REPORTER

booku zamieścił skan umowy z Katowic, na której widać stawki za godzinę pracy ratownika – od 25 do 32 zł. „Godzina pracy ratownika medycznego, człowieka, od którego niejednokrotnie zależy czyjeś zdrowie, a nawet życie – największa wartość, wydzierana ze szponów śmierci w pocie, deszczu, upale i mrozie, w kombinezonie i masce, 24 godziny na dobę, 365 dni w roku wyceniana jest w przeliczeniu na... dwa kalafiory i 2 kg ziemniaków!!!" – skomentowano tam.

– Ratownicy powinni być tak wynagradzani, żeby nie musieli pracować tak dużo jak obecnie, żeby po 8 czy 12 godzinach pracy mieli zapewniony komfort odpoczynku – mówi Paweł Reszka, dziennikarz, autor książki „Mali bogowie 2", do której materiały zebrał, towarzysząc w karetce ekipom ratowników. – Gdy z nimi jeździłem, to widziałem, że ci ludzie biegają z roboty do roboty. I nie dlatego, że są chciwi, ale dlatego, że wynagrodzenie z jednego miejsca im nie wystarcza. I to jest nienormalne. Oczywiście, jak sobie ratownik poskłada do kupy wiele miejsc pracy, to nie są to już małe pieniądze. Tylko że wtedy przestaje to być normalne zajęcie, normalny tryb życia. Gubią się gdzieś po drodze empatia, życie rodzinne. Nam wszystkim, tak jak w przypadku lekarzy rezydentów, powinno zależeć, żeby to zmienić, by opiekujący się nami człowiek był wypoczęty, nie był niemiły dla pacjenta z przepracowania, żeby nie narażać go na ryzyko pomyłki – wylicza.

Wielu tej presji nie wytrzymuje i odchodzi z zawodu. Część przenosi się za granicę. Jacek Borowiak w 2013 r. przeprowadził się do Norwegii. Dziś pracuje w jednym z 15 Zespołów Ratownictwa Medycznego Kliniki Przedszpitalnej Szpitala Uniwersyteckiego w Oslo. – Kiedy pracowałem na etacie jako ratownik-kierowca, zarabiałem jako podstawę 1950 zł – wspomina. – A już na kontrakcie dostawałem 24 zł na godzinę. Pracowałem jako jednoosobowa firma. Kontrakt to było minimum 10 dyżurów 24-godzinnych plus ok. 80–120 godzin dodatkowo. Czyli w miesiącu wyrabiałem dwa etaty. A do tego musiałem w wolnym czasie się dokształcać za własne pieniądze, bo tak stanowią polskie przepisy. Od 2014 r. w Norwegii pracuję na jednym etacie. Sporadycznie mam jakieś dodatkowe zmiany. To się zdarza najczęściej, gdy latem ludzie idą na urlopy. Jednak wówczas po ustaleniach z pracodawcą i ze związkami zawodowymi podpisujemy umowę na większą liczbę godzin w tygodniu płaconych o 100 proc. wyżej.

Ratownicy chcą nie tylko wprost podniesienia płac, by nie musieli pracować wiele godzin. Chcą też zmiany statusu ich zawodu, dziś klasyfikowanego jako „inny zawód medyczny".

KIEDY KARETKI JUŻ NIE DOJADĄ?

Do strajku ratowników dołożył się rozpoczęty niedawno protest medyków. Ci zjechali do Warszawy, domagając się wyższych płac i zmian w systemie zdrowia. Wśród kilkudziesięciu tysięcy protestujących w stolicy natychmiast zjawili się head hunterzy szukający personelu do niemieckich szpitali. Pielęgniarkom proponowali na początek 12 tys. zł miesięcznie, a potem nawet 16 tys. zł. Ta ostatnia kwota – jak na ironię – pojawiła się w związku z protestem medyków, ale… jako wynagrodzenie (brutto), które pobierał będzie nowy urzędnik. Minister zdrowia Andrzej Niedzielski w ubiegłym tygodniu powołał Piotra Brombera na stanowisko wiceministra, który ma odpowiadać za „dialog społeczny". Tego byłego dyrektora lubuskiego oddziału NFZ – zarabiającego teraz pieniądze, o których pielęgniarki czy ratownicy mogą pomarzyć – rząd będzie więc wysyłał do rozmów o podwyżkach dla medyków. To prawie jak roześmiać im się w twarz.

Tymczasem porozumienie z ratownikami zaczyna być sprawą życia lub śmierci. Fala protestów wyłączyła już z działania setki obsad karetek. Same samochody nie dojadą do zawałów, udarów, zakrztuszeń. Rząd i minister uspokajają, że system się jeszcze nie zawalił. W odwodzie mają być strażacy i wojskowi. Ci jednak sami przyznają, że ratowników nie są w stanie zastąpić.

„W związku z sytuacją, jaka ma miejsce w Państwowym Ratownictwie Medycznym, jako strażacy informujemy, że ratowanie życia i zdrowia ludzi jest wpisane w rotę naszego ślubowania. Chcemy jednak zwrócić uwagę na fakt, że nasze procedury postępowania i szeroki zakres realizowanych zadań z innych dziedzin ratownictwa nie pozwalają nam udzielać pomocy w tak wykwalifikowany i profesjonalny sposób jak zespoły ratownictwa medycznego" – czytamy w stanowisku Prezydium Rady Krajowej Sekcji Pożarnictwa NSZZ „Solidarność" opublikowanym 8 września.

Problem z niesieniem pomocy zaczyna być widoczny. Najbardziej jaskrawymi obrazkami były m.in. lądujące w Warszawie po kolizjach helikoptery LPR. Lotnicze pogotowie musiało zajmować się takimi interwencjami, bo w stolicy nie pracuje już co czwarta obsada karetek pogotowia.

Minister zdrowia zapewnił, że w przyszłym roku wydatki na system ratownictwa medycznego mają wzrosnąć o 240 mln zł. W tym roku będzie to o 60 mln zł więcej. To jednak jeszcze ratowników nie uspokaja. Bo np. rosnąca wycena tzw. dobokaretki sprawi jedynie, że do ich pracodawców dopłyną większe pieniądze. A jak oni je podzielą, znów nie wiadomo.

Sam fakt, że – według szacunków – połowa ratowników pracuje dziś na kontraktach, jako zewnętrzne firmy, mówi najwięcej o upadku systemu, który wynaturzał się latami przez zbyt słabe finansowanie. Kiedyś to musiało runąć. Pytanie, czy zbudujemy w Polsce lepszy system czy upadającą konstrukcję podeprzemy tylko kilkoma patykami?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 39ee1bda30

Agnieszka Niewińska

Moda na chińszczyznę

Nauka języka chińskiego nie jest już taką ciekawostką, jaką była jeszcze 10 czy 15 lat temu. Wielu rodziców postrzega ją jako inwestycję w przyszłość dziecka

Duże zainteresowanie sinologią czy innymi kierunkami powiązanymi z nauką języka i kultury chińskiej dawno przestało dziwić. W tym roku na Uniwersytecie Warszawskim o jedno miejsce na sinologii ubiegało się 17 osób. Na filologię angielską ze specjalnością tłumaczeniową z językiem chińskim na Uniwersytecie Śląskim było ponad czterech kandydatów na miejsce. Tyle że dziś chętni do nauki chińskiego to już nie tylko studenci. Język Państwa Środka coraz częściej pojawia się w ofertach szkół, przedszkoli, a nawet żłobków.

– Kiedy założyliśmy szkołę, proponowaliśmy nauczanie w językach polskim, angielskim i hiszpańskim. Kiedy wprowadziliśmy chiński, początkowo był on językiem niszowym. Większość rodziców decydowała się na zapisanie dzieci do klas hiszpańskich. Teraz te proporcje się zmieniły. Od rodziców słyszę przeważnie, że zależy im na językach azjatyckich – chińskim lub japońskim – mówi Anna Maliszewska, lingwistka, dyrektor szkoły International Trilingual School of Warsaw. I dodaje: – Chiński jest coraz popularniejszy, bo wiele osób liczy na to, że będziemy rozszerzać współpracę z Chinami, powadzić wymianę gospodarczą na jeszcze większą skalę, więc język ten warto znać.

JĘZYK PAŃSTWA ŚRODKA JAKO OJCZYSTY

W tej warszawskiej placówce (obejmuje ona żłobek, przedszkole i szkołę podstawową) dzieci, już w wieku żłobkowym, są nauczane w trzech językach metodą immersji. – Oznacza to, że nie uczymy języka chińskiego jako obcego, ale jako ojczystego. Zanurzamy dzieci w języku i kulturze chińskiej. Przyjmujemy taką strategię jak w rodzinach dwujęzycznych, w których mama i tata mówią we własnych językach. U nas obowiązuje zasada „one person-one language", jedna osoba mówi do dzieci tylko jednym – swoim ojczystym – językiem – tumaczy Maliszewska. I wyjaśnia, że w przypadku języka chińskiego ta metoda jest najbardziej efektywna. – To język tonalny, którego nauczenie się w wieku dorosłym jest nie lada wyczynem. Najpierw musimy go wysłyszeć, żeby być w stanie go wyprodukować. Tony są bardzo ważne, bo zmieniają sens tego, co mówimy. Jeśli coś źle wypowiemy po chińsku, to nie będziemy mogli oddać tego, co chcemy powiedzieć. Grupą wiekową, która najlepiej słyszy tony, otaczające nas dźwięki, są dzieci od urodzenia do trzeciego–czwartego roku życia. Dlatego nauczanie małych dzieci chińskiego jest coraz bardziej popularne na świecie. Języka tonalnego uczymy się idealnie jako maluchy, a potem jest nam tylko coraz trudniej. Z tego względu do klas chińskich w naszej szkole przyjmujemy dzieci do lat trzech.

We wrocławskim Autorskim Przedszkolu Niepublicznym Król Maciuś im. Janusza Korczaka zajęcia z języka chińskiego są obecne od kilkunastu lat. – Uczymy trzech języków. Jednym z nich jest właśnie chiński. W zajęciach tych uczestniczą wszystkie dzieci chodzące do naszego przedszkola. To jeden z czynników, który decyduje o tym, że rodzice wybierają naszą placówkę. Naukę języka chińskiego dzieci mogą kontynuować w naszej Niepublicznej Szkole Podstawowej Leonardo da Vinci – mówi Natalia Pompa-Żur, dyrektor placówki. Podkreśla, że zajęcia zaczynają się w październiku i są lubiane. – To nauka przez zabawę – dzieci uczą się wierszyków, wyliczanek, piosenek. I to przynosi efekty. Kończąc przedszkole, nasze dzieci potrafią komunikować się prostymi zdaniami w języku chińskim. Nam, dorosłym, ten język sprawia ogromne trudności, ale dzieci uczą się inaczej, przychodzi im to naturalnie – mówi Natalia Pompa-Żur.

550 CHIŃSKICH INSTYTUTÓW

Z danych resortu edukacji wynika, że w minionym roku szkolnym języka chińskiego nauczano w 22 szkołach – w 14 liceach i w ośmiu szkołach podstawowych. Także w tych publicznych. Lekcje chińskiego są prowadzone od lat np. w Szkole Podstawowej nr 114 w Krakowie, w po-

eprasa.pl 39ee1bda30

FOT. ADOBE STOCK

znańskim Zespole Szkół Ogólnokształcących nr 2 im. Charles'a de Gaulle'a. W X LO im I.J. Paderewskiego w Katowicach pojawiły się w 2018 r.

Wspólnym mianownikiem dla tych placówek jest współpraca z Instytutami Konfucjusza. To chiński odpowiednik hiszpańskiego Instytutu Cervantesa, brytyjskiego British Council czy niemieckiego Instytutu Goethego promujący chińską kulturę i język. Na świecie w ostatnich latach tych chińskich instytutów przybywało lawinowo. W 2010 r. było ich 322, z końcem 2019 r. już 550. W Polsce jest ich pięć – w Krakowie, Opolu, Poznaniu, we Wrocławiu i w Gdańsku.

Instytuty oferują wsparcie w wyposażeniu szkół w materiały, przygotowaniu programu, znalezieniu lektorów – najczęściej native speakerów. – U nas zwykle są to studentki, więc zajęcia rozpoczynamy w październiku, wraz ze startem roku akademickiego. Co roku jest inny nauczyciel, z nowymi pomysłami, nowymi materiałami i koncepcją na naukę najmłodszych. Dzieci nigdy się nie nudzą – opowiada dyrektor przedszkola Król Maciuś, które współpracuje z Instytutem Konfucjusza we Wrocławiu.

International Trilingual School of Warsaw także współpracuje z Instytutem Konfucjusza. – Dzięki temu możemy organizować wymiany ze szkołą w chińskim Chengdu. Do nas przyjeżdżają chińscy uczniowie, a nasi jeżdżą do Chin. W tym czasie mieszkają w chińskich rodzinach, chodzą do chińskiej szkoły, poznają region – opowiada dyrektor Maliszewska.

Kto nie miał okazji uczyć się języka chińskiego w szkole, ten może zdecydować się na kursy prowadzone przez Instytuty Konfucjusza. Ceny za semestr oscylują wokół 1 tys. zł. – Zainteresowanie, pomimo sytuacji epidemiologicznej, przerosło w tym roku nasze oczekiwania. Rekrutację rozpoczęliśmy na początku września, a na chwilę obecną już zaczyna brakować miejsc w niektórych grupach i zastanawiamy się, jak otworzyć więcej kursów, niż początkowo planowaliśmy. Jak co roku najwięcej zgłoszeń jest do grup początkujących i średniozaawansowanych – w niektórych miejsca skończyły się w ciągu tygodnia – mówi Marta Ogarek, koordynator programu nauczania w Instytucie Konfucjusza w Krakowie.

Nie ma wątpliwości, że język chiński staje się coraz popularniejszy. – Fascynacja Chinami rośnie i widać to chociażby po liczbie naszych kursantów, osób obserwujących nasze profile na portalach społecznościowych, uczestników organizowanych przez nas wydarzeń, studentów kierunków związanych z Chinami czy czytelników odwiedzających naszą bibliotekę. Wypożyczane książki to już nie tylko podręczniki do nauki języka, proza i poezja, lecz także coraz częściej materiały dotyczące kwestii praktycznych – podróży, biznesu czy polityki – wylicza Ogarek.

Po trudnościach, jakie przyniosła pandemia, krakowski instytut zamierza wrócić do cyklicznych zajęć z dziećmi. – Od października planujemy przywrócenie warsztatów o kulturze i języku dla dzieci w wieku przedszkolnym „Poranki z Pandą" i wczesnoszkolnym „Smocza Godzina" – informuje Marta Ogarek.

NIE TYLKO PROMOCJA KULTURY

Doktor Marcin Przychodniak, główny specjalista, analityk ds. Chin w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych, zaznacza, że działalność kulturalna i edukacyjna Instytutów Konfucjusza to realizacja chińskiej soft power. – Czyli budowanie pozytywnych skojarzeń z tym krajem, które można później przekuć na korzyści polityczne i gospodarcze. Chiny działają w ten sposób od wielu lat. W Polsce dzieje się to dużo wolniej niż w innych krajach, takich jak USA, Wielka Brytania czy Niemcy, które w chińskiej optyce są ważniejsze niż Polska. W tych państwach Instytuty Konfucjusza czy inne chińskie placówki językowo-kulturalne powstawały już wiele lat temu. Teraz dokonuje się tam raczej ponownej oceny ich działalności, stawia pytania o to, ile przynoszą one zysku państwom, w których działają, a w ilu chodzi o utrzymywanie przez Chiny swoich wpływów. W efekcie tej oceny w Stanach Zjednoczonych, Niemczech czy Wielkiej Brytanii Instytuty Konfucjusza są w ostatnich latach często zamykane. Polska ten etap ma na razie przed sobą. Choć wolno i w ograniczony sposób, to jednak sieć Instytutów Konfucjusza się u nas rozbudowuje – mówi ekspert.

Zwraca uwagę, że o ile takie instytucje jak Instytuty Cervantesa czy Instytuty Goethego działają niezależnie, o tyle Instytuty Konfucjusza funkcjonują w ramach instytucji edukacyjnej w państwie, w którym są zakładane. – W Polsce są najczęściej włączone w strukturę uczelni wyższych, mają podwójną polsko-chińską dyrekcję. Uniwersytety mają z tego pewne korzyści – zwiększają swoją ofertę kulturalną i edukacyjną, dzięki tej współpracy mają zapewnionych lektorów języka chińskiego. Z drugiej strony firmują swoją marką instytuty, które promują kulturę chińską, ale jednocześnie podlegają ministerstwu edukacji ChRL, zbierają informacje, nawiązują kontakty w środowisku akademickim i realizują interesy wyznaczone przez Komunistyczną Partię Chin – przeważnie rozbieżne z interesami Polski – podkreśla.

Dostrzega, że nauka chińskiego zrobiła się w ostatnich latach dość modna. – Ci, którzy wybierają ten język jako dodatkowy dla dzieci, liczą na to, że taka znajomość pozwoli im się w przyszłości wyróżnić. Z pewnością jest to atut, znajomość języka chińskiego pomaga też w zdobywaniu wiedzy o tym kraju. Sądzę jednak, że w Polsce nie będzie niezbędna. Choć płaszczyzn współpracy między naszymi krajami jest coraz więcej, to jednak nie aż tak wiele – uważa dr Przychodniak.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 39ee1bda30

Film „Żeby nie było śladów" przepadł z kretestem na festiwalu w Wenecji. Komisja Oscarowa PISF zgłosiła go jednak do konkursu Amerykańskiej Akademii Filmowej FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Polska sztuka

Remigiusz Włast-Matuszak

Wyjazd do Wenecji 20-osobowej ekipy z Polski potraktować możemy jako turystyczny. A i do Oscarów wybrano właśnie film, który nie ma żadnych szans

Daleki jestem od schadenfreude z faktu zignorowania filmu Jana Pawła Matuszyńskiego pt. „Żeby nie było śladów" przez jury i publiczność 78. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Wenecji. Festiwalowi krytycy filmowi ocenili film negatywnie, a główny zarzut to nadmierna długość (dwie i pół godziny). Jeden z recenzentów napisał nawet, że „prawie trzy godziny" – tak mu się film musiał dłużyć.

Nie wypominając nikomu, na pierwszej kolaudacji „Żeby nie było śladów" w marcu usiłowałem apelować do reżysera o dokonanie skrótów (to chodzenie po korytarzach gmachów KC PZPR i MSW, to jeżdżenie pociągiem do Lublina i nazad, te rozmowy w kawiarniach, przygniatająca liczba szczegółów i postaci itd.). Niestety, dyrekcja Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej kazała mi się zamknąć, oświadczyła: „Nic nie będziemy skracać", „Spotkamy się na wielu festiwalach" i opuściła salę. Nieskrócony film (ponoć nawet rozszerzony o 10 minut) został zgłoszony na MFF w Wenecji (w nr 35/2021 „Do Rzeczy" przytoczyłem opinie organizatorów festiwalu w Wenecji, że „film ma bardzo długi czas trwania" – nic nie pomogło). Schlebiając sobie, mniemam, że publikacja „Do Rzeczy" spowodowała natychmiastowe (bez czekania na wynik z Wenecji) zwołanie posiedzenia Komisji Oscarowej PISF. Ponad sześć miesięcy przed marcowym terminem (27 marca 2022 r.) rozdania Oscarów w Hollywood zgłoszono film J.P. Matuszyńskiego do konkursu Amerykańskiej Akademii Filmowej.

BYŁ LEPSZY KANDYDAT DO OSCARA

Pragnę uzmysłowić Komisji Oscarowej PISF, pod przewodem Ewy Puszczyńskiej, producentki filmu „Ida" Pawlikowskiego, że film ma nikłe szanse na nagrodę. Pomijając już jego średni poziom artystyczny, fakt prezentowania realiów czysto polskich oraz niewybaczalny brak wątku LGBT+, dodatkowo film trzeba będzie zaopatrzyć w angielskie napisy! Proszę nie liczyć też, że film Matuszyńskiego zostanie potraktowany jako „slow burner" wymagający od publiczności cierpliwości i skupienia – w tym filmie nie ma gwiazd ani tematów, które uwielbia amerykańska publiczność (w tym członkowie AAF USA) – ciepło przedstawionego życia rodziny i jej codziennych problemów, które są jednocześnie problemami oglądającej film publiczności. W dodatku film nie ma happy endu.

Zachodnia, a szczególnie amerykańska publiczność nie toleruje filmów z napisami. Z dobrego serca sugeruję

eprasa.pl 39ee1bda30

producentom dubbing, i to fachowy, nagrany i podłożony przez dobrych (drogich) aktorów amerykańskich, a teraz na szybko wysłanie płyt kompaktowych filmu z wgranym angielskim lektorem (bez polskiego akcentu). Żaden członek tysiącosobowej Amerykańskiej Akademii Filmowej nie będzie oglądał polskiego filmu z angielskimi napisami – taka sytuacja nie wchodzi w grę.

A był (i jest) idealny kandydat do Oscara – film pt. „Śmierć Zygielbojma" w reżyserii Ryszarda Brylskiego, według scenariusza Wojciecha Lepianki i Brylskiego. Film idealnie wpisuje się w polską politykę historyczną (a takich filmów mamy jak na lekarstwo). Jego akcja dzieje się w emigracyjnym Londynie i mówi dobitnie o haniebnym milczeniu zachodnich rządów – Wielkiej Brytanii i USA – wobec zagłady europejskich Żydów. Nawet gdyby film nie zdobył Oscara, to jego nagłośnienie w USA wywołałoby prawdziwy szok i wielką dyskusję o współwinie USA za Holokaust.

W 2020 r. do 77. Leone d'Oro zgłoszono film pt. „Śniegu już nigdy nie będzie" głośnej reżyserki Małgośki Szumowskiej. Minął rok i nikt już nie pamięta zarówno weneckiego blamażu, jak i samego filmu. Mimo nachalnego reklamowego wrzasku film w Polsce obejrzało zaledwie 22 tys. widzów (w tym samym covidowym okresie „25 lat niewinności…" ściągnął do kin 720 tys. widzów). Z relacji medialnych na temat filmu Szumowskiej z Wenecji zapamiętałem jedynie stwierdzenie, że „film podzielił widownię" (czytaj: ekipa realizatorów była filmem zachwycona, a reszta festiwalowej publiczności wyszła, wzruszając ramionami.)

JAK TO W WENECJI

78. MFF w Wenecji trwał od 4 do 11 września 2021 r. i był relacjonowany w formie 10-minutowych reklamówek jednej z firm samochodowych (w napisach informowano o „lokowaniu produktu"), emitowanych codziennie przez Canal+ (sam pomysł reklamowania samochodów w Wenecji już jest dość komediowy – ale Włochy są ojczyzną komedii dell'arte, więc trzymajmy się tej konwencji. Samochody na Lido podwoziły gości 50 m do czerwonego dywanu). Oglądałem wszystkie reklamówki. Prowadzący w nich wywiady redaktor Błażej Hrapkowicz przysiadał z gośćmi w „tanim" plenerze, jakieś ławeczki, murki, mostki, dachy itd., a od święta pusta restauracja. A gdzie Wenecja? Dwa odcinki opanował szef marketingu owej marki samochodowej, który pytany o film „Żeby nie było śladów" mówił tak górnolotnie i tak beztreściowo, że tylko wytrwany polityk lub właśnie menedżer marketingu z doktoratem potrafi wygłosić takie okrągłe zdanka.

Sądzę, że film Jana Pawła Matuszyńskiego nie dostanie się nawet na listę pięciu filmów nominowanych do Oscara

W jednej reklamówce redaktor Hrapkowicz męczył Aleksandrę Jankowską, reżyserkę filmu „Anatomia", który przepadł na festiwalowych imprezach towarzyszących. Trzy odcinki były poświęcone „Żeby nie było śladów", naszemu jedynemu filmowi w konkursie głównym. Producenci filmu, reżyser i aktorzy wypowiadali się ciepło o filmie. Dobry aktor Tomasz Ziętek opowiadał dziwne rzeczy, zahaczając nawet o politykę, a nie mniej utalentowany aktor Jacek Braciak skupił się na pochwałach reportażu Cezarego Łazarewicza nagrodzonego Nike przez „Gazetę Wyborczą". Organ Adama Michnika próbował natychmiast zadąć w żagle politycznej hucpy – jego krytycy filmowi stwierdzili, że każda władze deprawuje, a zamordowanie Grzegorza Przemyka to to samo, co sprawa George'a Floyda (kryminalisty) czy Igora Stachowiaka.

Czekałem z niecierpliwością na relację z pokazu galowego, a tu nic. Redaktor Hrapkowicz stwierdził tylko, że pokaz się odbył, a „krytycy będą spierać się o film" – czytaj: klapa kompletna. Wyjazd do Wenecji 20-osobowej ekipy możemy potraktować jako turystyczny. Jedna ze stacji komercyjnych (na holenderskiej koncesji) mimowolnie pogrążyła nasze gwiazdy wchodzące na premierę, gdyż o ile prezentowano je na bliskim planie, o tyle stanowiły „tłum", ale w chwili ukazania dalszego planu pokazano zupełną pustkę wokół nich i ledwie kilku fotografów na czarnych podestach dla mediów (zajmujących się swoim sprzętem).

Oba polskie filmy na 78. MFF były jednymi z nielicznych, które nie zdobyły jakichkolwiek nagród czy wyróżnień.

Złotego Lwa zdobyła Audrey Diwan za „L'Evenement" (produkcji francuskiej).

„Freaks Out" Gabriele Mainetti (produkcja włosko-belgijska) zdobył aż siedem (!) nagród.

„The Hand Of God" („To była ręka Boga") Paola Sorrentino (produkcja włoska) przyznano aż sześć nagród, w tym Srebrnego Lwa oraz Wielką Nagrodę Jury, a także Nagrodę im. Marcella Mastroianniego dla Filippa Scottiego jako najlepszego młodego aktora.

Drugi Srebrny Lew przypadł Jene Campion za „Psie pazury" („The Power of the Dog") (produkcji nowozelandzko-francuskiej).

Za najlepszą aktorkę uznano Penélope Cruz za rolę w filmie „Matki równoległe" („Madres paralelas") Pedra Almodóvara (produkcja hiszpańska).

Najlepszy aktor to John Arcilla w filmie „On the Job: The Missing 8" w reżyserii Erika Mattiego (produkcja filipińska).

Nagroda specjalna jury: „Il Buco" Michelangelo Frammartino (prod. Włochy, Francja, Niemcy).

Wenecki Tydzień Krytyki nagrodził film pt. „Zalva". Międzynarodowa Federacja Krytyków Filmowych FIPRESCI za najlepszy film konkursu głównego uznała nagrodzony Złotym Lwem „L'Evenemente" Andrey Diwan.

Czy film Matuszyńskiego ma szanse na Oscara? Sądzę, że nie dostanie się nawet na listę pięciu filmów do niego nominowanych. Sugeruję reżyserowi bardziej chwytliwy temat, który wzbudzi ciepłe uczucia członków Amerykańskiej Akademii Filmowej, np. małe polskie, katolickie miasteczko. Procesja Bożego Ciała (egzotyka totalna dla Hollywood) i dramat zamkniętych w domu: Afroamerykanki (z obywatelstwem USA), niepełnosprawnej lesbijki na wózku, żyjącej w partnerskim związku z polską Żydówką z dzieckiem. W ich domu prawdziwa miłość, a tam na ulicy nienawistny tłum katoli-faszoli. Szok i przerażenie wcisną widza w fotel w trakcie scen bicia bezbronnych kobiet i grabienia ich dobytku. Taki film pt. „Miasteczko bezprawia" dostałby nie tylko Złotego Niedźwiedzia na Berlinale, lecz także Oscara i wszelkie Złote Lwy od Gdyni do Wenecji. (Wymyślam bezdenne bzdury? Gdzieżbym śmiał?! Przecież w konkursie głównym 47. FPFF (20–25 września 2021 r.) w Gdyni jest film o polskiej wiosce bezprawia, z podobną fabułą).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 39ee1bda30

Świat Vegi

Piotr Gociek

„Small World" to najlepszy od lat film Patryka Vegi. Ale to wciąż za mało, by powiedzieć, że jest to film dobry

Jedna z kategorii polskich antynagród popkulturowych Węże (naszego odpowiednika Złotych Malin) nosi miano „żenujący film na ważny temat". Nowy film Patryka Vegi nie kwalifikuje się w całości do tej szufladki, ale puka do niej mocno. Na szczęście są w tym dziełku także kawałki całkiem udane, co sprawiło, że od niektórych zaprzyjaźnionych dziennikarzy i krytyków usłyszałem zdanie: „Najlepszy film Vegi od lat". Owszem, wypada jednak wspomnieć, że w tym zdaniu trzeba skoncentrować się na słowie „Vegi", a nie „najlepszy". Twórca „Pitbulla" stworzył własną kategorię produktów kinowych i tylko w niej może się ścigać z konkurencją. Znaczy z samym sobą.

„Small World" przypomina bowiem – albo może ostatecznie przekonuje – że Patryk Vega jest najbardziej popularnym amatorem wśród polskich filmowców. Czy ma talent prawdziwego filmowca? Uważam, że przed laty pokazał, że tak. Szybko jednak wpadł w pułapkę fałszywie rozumianej niezależności. Chełpi się tym, że kręci filmy bez pomocy PISF, że to przedsięwzięcia w pełni samofinansujące się (i zarabiające sporo dla prywatnych inwestorów). Ale będąc sam sobie żeglarzem, sterem i okrętem, zamknął się we własnym getcie produkcji tak naprawdę półamatorskich. Co z tego, że wyświetlane są w prawdziwych kinach, grają w nich prawdziwi aktorzy i zarabiają prawdziwe pieniądze, kiedy są to tak naprawdę półprodukty?

W „Small World" widzimy, że Vega potrafi nakręcić ładną sekwencję samochodowego pościgu, ale nie ma zielnego pojęcia, jak postawić kamerę, żeby obraz opowiadał historię na równi z dialogami. Błyśnie mrożącą krew w żyłach sceną rozmowy policjanta z próbującą go uwieść lolitką stręczoną przez pedofilów, ale kawałek dalej w tym samym pomieszczeniu zaaranżuje żenująco idiotyczną sekwencję torturowania amoralnej pani fotograf. Ma na tyle pomysłowości (i siły przekonywania), by zatrudnić do fragmentów rozgrywających się w Rosji rosyjskich aktorów, lecz nie zauważa, że o głowę przerastają tych, których wynajął do fragmentów rozegranych w Wielkiej Brytanii – i że jest to poważny problem, bo rosyjski segment wygląda jak rasowy kryminał, a segment brytyjski – jak amatorski teatrzyk kryminalny.

POGROMCA I OFIARA

Wszystkie te problemy rozwiązałby prawdziwy producent wspomagany przez gromadę fachowców skupionych na wydobyciu z reżysera tego, co najlepsze, a zatuszowaniu jego wad. Rozwiązałoby prawdziwe studio produkcyjne, którego szef walnąłby pięścią w stół po projekcji roboczej i zakrzyknął, że w tej formie to się jeszcze nie nadaje, ale ma pomysł, jak rzecz naprawić. Rozwiązaliby scenarzyści zatrudnieni do poprawienia nierównego scenariusza; nieważne, czy ghostwriterzy czy script doktorzy. Na to wszystko Vega nie ma czasu, pieniędzy ani ochoty. Żal każdej minuty, bo obiecało się sponsorom trzy premiery rocznie, żal wydatków na ustawienie sceny, która będzie wyglądała lepiej niż w przeciętnym serialu telewizyjnym, a już na pewno nie ma czasu ani partnerów, z którymi można byłoby zatrzymać się, cofnąć o krok i spojrzeć trzeźwym okiem na cały projekt, a potem solidnie popracować nad jego ostatecznym kształtem.

W tym sensie jest Vega tak samo pogromcą polskiego środowiska filmowego, jak jego ofiarą. Kpi w żywe oczy z konkurencji i pokazuje kwitki z rekordowymi wpływami z kasy. A jednocześnie urodził się w niewłaściwym kraju, bo gdyby taki

eprasa.pl 39ee1bda30

W „Small World" Vega bierze się za bary z problemem ponurym i odrażającym: światowymi siatkami pedofilskimi oraz powiązanymi z nimi handlarzami żywym towarem FOT. MATERIAŁY PRASOWE

upór, determinację i (będę się upierał) talent pokazał w Wielkiej Brytanii czy USA, to pracowaliby z nim najlepsi (czytaj: rugowali jego błędy i pokazywali tajniki fachu) – gdyby tylko chciał się od nich uczyć. W Polsce jednak prawdziwych speców od dobrego kina rozrywkowego niestety brak (Machulski dawno się wypalił, młodsi miewali tylko pojedyncze złote strzały), więc Vega kręci sobie sam. Wolny jak amator i błądzący jak amator.

DZIEŁO UKRYTE

W „Small World" Vega bierze się za bary z problemem ponurym i odrażającym: światowymi siatkami pedofilskimi oraz powiązanymi z nimi handlarzami żywym towarem. Zapowiedzią filmu był wstrząsający, chyba najlepszy w karierze reżysera zwiastun – obietnica, z której Vega nie do końca się wywiązał. Główny bohater to polski policjant Robert Goc grany przez Piotra Adamczyka. Targany wyrzutami sumienia (nieświadomie przyczynił się do powodzenia pewnego porwania) Robert zamienia się w niestrudzonego psa gończego. „Nie jesteś w stanie uratować milionów dziewczyn sprzedawanych każdego dnia" – drwi z niego jedna z obleśnych figur, które spotka na swojej drodze. Ale policjant wie, że kto jedno życie ratuje, to jakby cały świat ocalał. No i walczy o własne odkupienie. Podąża więc za bandziorami przez Rosję, Ukrainę, Wielką Brytanię aż do Tajlandii. Opowieść rozciągnięta jest na długie lata, podczas których zgłębianie sekretów odrażającego świata pedofilskich siatek mocno odbija się na jego psychice, co zresztą szczerze wyznaje rosyjskiej policjantce, z którą w pewnej chwili połączy siły.

Rosyjskie sekwencje są bez wątpienia najlepsze w całym filmie. Mała Ola uprowadzona została przez ciężarówkę należącą do wędrownego wesołego miasteczka, zwabiona rosyjskimi cukierkami i wywieziona za naszą wschodnią granicę. Przypadkowa tragedia (wybuch gazu na jednym z blokowisk) sprawi, że w ręce rosyjskiej policji trafi wielce podejrzany osobnik opiekujący się pięciorgiem adoptowanych dzieci. Tyle że zdjęcia i filmy znalezione w jego mieszkaniu demaskują go jako pedofila. Olega gra łotewski aktor Andris Keiss (znany nam choćby z „Niemiłości" Zwiagincewa), a jego brata Kiryła – wybitny rosyjski aktor Aleksiej Serebriakow (rewelacyjna rola w „Lewiatanie" tegoż Zwiagincewa, a ostatnio występ gościnny w thrillerze „Nikt" u boku Boba Odenkirka). Wspomaga ich znana głównie z występów w rosyjskich serialach Anastasiya Mikulchina (policjantka Tania). I to przede wszystkim oni pomagają filmowi „Small World" wznieść się na nieosiągalny dla polskiego skandalisty poziom. Chwilowo, bo pół godziny później, akcja skacze o kilka lat w przód, a dzielny polski policjant wyruszy do Anglii, gdzie zarówno jakość obsady, jak i dialogów dramatycznie spada. Prócz jednej, głęboko poruszającej sceny, o której wcześniej pisałem – sceny, w której policjant rozmawia z jedną z ofiar pedofilów, dziewczynką o mózgu wypranym na tyle, że swe wdzięczenie się do „obcych wujków" uważa za coś naturalnego.

Dalszych zwrotów akcji zdradzał nie będę. Kto widział zwiastun, ten wie, w jakim kierunku opowieść zmierza. Vega, który już przy swoich gangsterskich filmach chwalił się nieustannie, jak bardzo prawdziwe są postacie i wydarzenia, odrobił lekcję dobrze i szokujące kulisy biznesu pedofilskiego pokazał bezlitośnie. Czasem za bardzo, każąc wprost mówić z ekranu jakiejś postaci (jak wiekowej streetworkerce w Tajlandii pod koniec filmu). Jednocześnie był Vega swoim największym wrogiem, bo wciąż nie potrafi zrozumieć, że budowanie napięcia to nie to samo, co budowanie poczucia obrzydzenia. Najpopularniejszy polski reżyser nie potrafi opowiadać historii – bo samo zestawienie rozmaitych scen nie zamienia ich jeszcze w ciekawą historię. „Small World" to film, w którym kryje się dzieło ważne i wstrząsające (przynajmniej na miarę produktów popkultury), ale nikt nie ociosał go z kawałków głupich, żenujących i niepotrzebnych. Vega jest jak bohater tego filmu: dotyka ważnych kawałków problemu, ale nigdy nie widzi pełnego obrazu.

DRAŻNIENIE LIBERAŁÓW

A przecież zostaną nam w głowie po seansie rzeczy, co do których twórca „Pitbulla" miał jak najbardziej rację. Przedziwna więź miłości-nienawiści uzależniająca ofiary od sprawców (widzimy to w scenach z Tajlandii). Chora, pokręcona psychika rosyjskiego pedofila Olega, który we własnym mniemaniu jest czułym zastępczym tatusiem głęboko zakochanym w dzieciach, którymi się „opiekuje". Wielkie wpływy pedofilskiego lobby i pedofilskiego podziemia w kręgach ludzi bogatych i wpływowych.

Vega drażnił będzie liberałów, bo uderza w swym filmie w artystyczną bohemę oraz mocno wypowiada się przeciw aborcji. A jeszcze bardziej tym, że czarne charaktery w jego filmie to sataniści, a nie księża. I Kościół ładnie pokaże, i dziewczynki idące do pierwszej komunii, i każe bohaterowi udzielić krótkiego wykładu o tym, że jeśli już poddać się czemuś silniejszemu od nas, to nie powinny być to żądze, lecz może Bóg, może sumienie. Zarazem schodzi z linii strzału, bo ani słowa u niego o tym, jak często ofiarą pedofilów są mali chłopcy. To bowiem przypominałoby o tym, że często gejowskie fascynacje nie kończą się na wyborze strojów na Paradę Równości.

„Small World" jest rzeczywiście najlepszym od lat filmem Vegi – nie świadczy to jednak zbyt dobrze o poziomie pozostałych jego filmów. Kinowy półprodukt pozostaje półproduktem – nawet jeśli są w nim dobre fragmenty i ważne obserwacje. Nakręcony w większości po angielsku i rosyjsku „Small World" ma być, jak się domyślam, biletem Vegi w wielki świat zagranicznej dystrybucji. Świat umiejętności Vegi pozostaje jednak raczej mały. Na pewno mniejszy od jego ambicji.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 39ee1bda30

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Cnoty zapomniane

★★★★☆☆

REŻ. BILLY CRYSTAL
„HERE TODAY"
USA 2021

wyst. Billy Crystal, Tiffany Haddish, Dierdre Friel

Nie robi się już takich filmów, wszystko pożarła galopująca rewolucja, wedle której czarni i biali na ekranie mogą występować jedynie w ściśle określonych rolach: ofiar i katów. Billy Crystal napisał i wyreżyserował historię o przyjaźni starzejącego się białego komika i młodej, zaczynającej karierę czarnoskórej wokalistki. Komediodramat omija całkowicie politykę, ideologię oraz rozmaite uliczne wyczyny BLM, koncentruje się za to na małych szczęściach i wielkich dramatach.

Grany prze Crystala komik pomału osuwa się w demencję. Zapomina nazwiska gwiazd Hollywoodu, z którymi pracował, zdarza mu się, że nie poznaje własnego syna, a do pracy chodzi utartą ścieżką, której główne punkty wykuł na pamięć: teraz w lewo, teraz w prawo. Jako że jest mistrzem w obracaniu słowem, udaje mu się ukryć smutny sekret przed najbliższymi. Z drugiej strony, wciąż nie powróciwszy do równowagi po śmierci żony (to, jak głęboko wciąż przeżywa tę tragedię, też ukrywa), pogrąża się we wspomnieniach i próbuje napisać pożegnalną opowieść. Trudno uniknąć porównań do rozdzierającego dramatu „Ojciec" z Anthonym Hopkinsem – Crystal wybiera jednak inną drogę do poruszenia widzem, balansując pomiędzy dowcipem a rozpaczą.

Oczywiście jest to film powtarzający hollywoodzkie klisze. Oto niedobrana para, w której to młodsza, mniej doświadczona strona przypomni drugiej o ważnych sprawach. Oto kolejna lekcja na temat rodziny i tego, że trzeba jej zaufać, oraz powtórka z doskonale znanego schematu: „Wybacz sobie i dojdź sam ze sobą do ładu, a znajdziesz ład i harmonię wokół siebie". Wszystko to jednak opowiedziano tak delikatnie, z takim ciepłem i sympatią, tak dobrą robotą aktorską (nie zapomnijmy i o znakomitym scenariuszu!), że wszelkie pretensje bledną. Billy Crystal, który przez dwie ostatnie dekady pracował głównie dla telewizji (albo dubbingował postacie z filmów animowanych), przypomina, jak wielkim talentem jest obdarzony, jak bardzo brakowało go w kinie. Na ceremoniach wręczania Oscarów też – kiedyś był ich etatowym gospodarzem. Ale dziś nikt już nie potrzebuje sympatycznych gości obdarzonych inteligentnym poczuciem humoru. Nastały czasy pałki i pięści. Dlatego podczas oglądania „Here Today" poczujecie się, jakby na dwie godziny powróciły lata 90. ©℗

NOWE SERIALE: „FUNDACJA"

tv

Jedna z najsłynniejszych powieści SF wszech czasów – „Fundacja" Isaaca Asimova – wreszcie doczekała się ekranizacji. Serial Apple'a to inwestycja wysokobudżetowa i o wielkich ambicjach (twórcy przebąkują o 80 odcinkach – jest z czego wybierać, bo oryginalny cykl mocno się rozrósł). Dla tych, którzy książki nie znają: w odległej przyszłości wybitny psychohistoryk Hari Seldon, przewidując upadek Imperium Galaktycznego i długie wieki ciemności, odkrywa sposób na to, by skrócić czas barbarzyństwa. Zakłada tajną instytucję, która ma ocalić dla ludzkości osiągnięcia nauk wszelakich. ©℗

Piotr Gociek

- ***sezon 1 „Fundacja", USA 2021***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Sion Sono* ***„Prisoners of the Ghostland"****, USA/Japonia 2021* CINEMAN
- *reż. Christopher Nolan* ***„Tenet"****, USA 2020* HBO
- *sezon 3* ***„Final Space"****, USA 2021*

eprasa.pl 39ee1bda30

Bracia i towarzysze

vod.pl

Dwugodzinna reklama kubańskich służb specjalnych. Po kolapsie Związku Sowieckiego emigranci z wyspy jak wulkan gorącej nabrali apetytu na rychły upadek reżimu Castro. Zwiastować go miały coraz liczniejsze grupy desperatów, przeprawiających się na plaże Florydy. Rząd USA nie bardzo kwapił się do interwencji, więc antykomuniści wzięli sprawę w swoje ręce. Pod pozorem pomagania uchodźcom stworzyli organizację Bracia na Ratunek. Prawdziwym celem było przywrócenie na Kubie demokracji metodami mało demokratycznymi. Podstarzały, lecz wciąż zadziorny Fidel władzy oddać nie zamierzał. Sięgnął po sprawdzone, sowieckie metody...

Rzadko zdarza się szpiegowski dreszczowiec z tak długą rozbiegówką. Dopiero po 50 minutach seansu na ekranie zaczyna się dziać coś ciekawego. Reżyser odżegnuje się od komunizmu, jednak ekranizacja powieści „Ostatni żołnierze zimnej wojny" przykłada do poczynań obu stron bardzo nierówną miarę. Widz zmuszony jest kibicować Stirlitzom z Hawany, gdyż oni przynajmniej nie parają się terroryzmem ani przemytem narkotyków. Dzięki poświęceniu agentów ideowców turyści z Europy mogą spokojnie wypoczywać na biedującej Kubie. W Miami jest drożej i zdecydowanie mniej bezpiecznie. Tyle zostało z rewolucji, która miała zmienić nasz świat na lepsze. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★☆☆☆☆

REŻ. OLIVIER ASSAYAS
„WASP. SIEĆ SZPIEGÓW" („WASP NETWORK")
BELGIA/FRANCJA/HISZPANIA 2019

wyst. Édgar Ramirez, Penélope Cruz, Wagner Moura

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

A KTO LUBI?

Pięćdziesiąt lat temu Polska rosła w siłę, ludzie żyli dostatniej, najchętniej zaś oglądanym filmem była komedia omyłek „Nie lubię poniedziałków". Krytyka ubolewała, że dzieło tak błahe i pozbawione ambicji ściągnęło do kin prawie 2 mln widzów. Akcja rozgrywa się w połowie września. Skąpana w słońcu Warszawa stanowi wdzięczne tło dla perypetii włoskiego przedsiębiorcy, który integruje się z tubylcami równie ochoczo, jak jego rodak Giuseppe z filmu Stanisława Lenartowicza. Słuszna to decyzja, bo Polacy (może z wyjątkiem taryfiarzy) jawią się tu sympatycznym kolektywem lekkoduchów. Od gwiazdora Bohdana Łazuki i milicjanta ludowego do zaopatrzeniowca szukającego w stolicy części do kombajnu tudzież zmysłowej pracownicy drogerii. Halina Kowalska tak skutecznie uciekała potem od stereotypu seksbomby, że popadła w anonimowość. Zremasterowanej komedii Tadeusza Chmielewskiego to nie grozi.

★★★★☆☆

REŻ. TADEUSZ CHMIELEWSKI
„NIE LUBIĘ PONIEDZIAŁKÓW"
POLSKA 1971

wyst. Kazimierz Witkiewicz, Halina Kowalska, Kazimierz Rudzki

USTA-USTA

KINO

„Jeśli mnie porzucisz, to umrzesz" – straszą wzgardzone kochanki. Przejmować się takimi pogróżkami warto tylko, gdy luba jest wodną nimfą. Tytułowa bohaterka na rusałkę nie wygląda, zatrudniona w berlińskim ratuszu opowiada wycieczkom o architekturze Berlina. Za to Christoph ma wiele wspólnego z głębinami, pracuje jako nurek przemysłowy. Przypadkowe spotkanie tych dwojga skutkuje płomiennym romansem. Przekuć mit z długą, siwą brodą w zajmującą opowieść współczesną to wyzwanie, któremu reżyser „Undine" nie do końca podołał. Aktorstwo duetu Paula Beer – Franz Rogowski i podwodne zdjęcia ciągną film w górę, leniwe tempo i schematyczna fabuła w dół. A może melodramatyczna intryga służy jako pretekst do wyedukowania widzów, słabo zorientowanych w urbanistyce niemieckiej stolicy? Byłaby to przewrotność godna Fryderyka Wielkiego, w końcu też Berlińczyka. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★☆☆☆

REŻ. CHRISTIAN PETZOLD
„UNDINE"
NIEMCY/FRANCJA 2021

wyst. Paula Beer, Franz Rogowski, Jacob Matschenz

GRA TYGODNIA: „LOST IN RANDOM"

★★★★★☆

Kiedy coraz rzadsza, bo niosąca przecież duże szanse niepowodzenia, odwaga realizowania nieszablonowych pomysłów na gry spotyka się z kimś, kto chce zapewnić twórcom tych pomysłów finansowe bezpieczeństwo – wiedz, że prawdopodobnie będzie na tym znaczek EA Originals. EA wyszukuje ciekawie zapowiadające się produkcje, zapewnia to, co wielka korporacja zapewnić może (dystrybucja, promocja etc.), i ponoć nie ogranicza twórców tak, jak to wielka korporacja potrafi. „LinR" to kolejna świetna gra z serii Originals. Szukanie sposobu na przełamanie klątwy krainy, w której o losie każdego decyduje rzut kością, to rozrywka godna polecenia. ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Akcja, przygoda, TPP*
- ***XSX, XONE, PS5, PS4, NS, PC***
- ***Producent, wydawca:*** *Zoink Games, Electronic Arts Inc.*

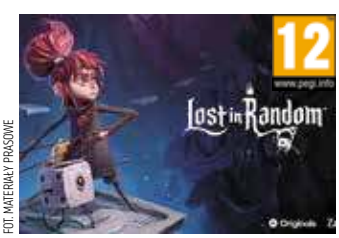

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 39ee1bda30

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Kaszkiet Milovana Đilasa

Brawurowo napisany, szyderczy i dramatyczny, jedne fakty mający za nic, a inne drobiazgowo roztrząsający „Dziennik Marty Koen", serbskiego pisarza Svetislava Basary, o byłej Jugosławii opowiada mnie więcej tak, jak to zrobił w filmie Emir Kusturica, a w muzyce Goran Bregović. Ale w przeciwieństwie do nich tę historię o kraju, którego nie ma, ściśle powiązał z komunizmem. Jego zbrodniami (obóz na Nagiej Wyspie!), skandalami, postaciami z pierwszych stron gazet.

Pamiętają Państwo np. Milovana Đilasa, uważanego za jednego z ważniejszych pisarzy politycznych XX w., krytyka komunizmu, autora sławnej „Nowej klasy" i bestsellerowych „Rozmów ze Stalinem"? Więźnia politycznego, o którym jednak – co wspomina w swojej powieści Basara – powiadano, że „spędza dnie za kratkami, tłumacząc »Kapitał« z powrotem na niemiecki".

To tylko w podręcznikowych hagiograficznych czytankach znajdujemy jednowymiarowe biografie odwzorowane z żywotów świętych. Nawet encyklopedyczne notki nie mogą skryć tego, że Đilas był funkcjonariuszem partyjnym wysokiego szczebla, krótko nawet wiceprezydentem Jugosławii, czołowym komunistycznym propagandystą. Kiedy to było jeszcze „po linii i na bazie", nazywał Stalina „człowiekiem, który wie wszystko i widzi wszystko, i nic, co ludzkie, nie jest mu obce […]. Jest wielkim zaszczytem żyć w czasach Stalina, walczyć pod jego przewodem i w ten sposób być częścią czegoś, co nigdy nie zginie".

Później wszedł w konflikt ze swoim druhem serdecznym Josipem Titą, został wykluczony z partii, stracił stanowisko, a po coraz bardziej niepoprawnych politycznie wypowiedziach skazano go na karę więzienia, tyle że choć

FOT. MILJENKO JERCOVIĆ

wykluczono z bieżącego życia publicznego, pozostał w publikacjach, monografiach i dokumentach. Dzięki temu – czytamy w „Dzienniku Marty Koen" – „ten niegdysiejszy sztywny aparatczyk po odbyciu kary został – cokolwiek by to znaczyło – d y s y d e n t e m. Napisał kilka interesujących książek, stał się znany w świecie, zarobił górę pieniędzy. I w końcu przestał nosić kaszkiet". Leninowski, a jakże!

W pogrzebie tytułowej bohaterki powieści Basary, od którego rozpoczyna się cała, jakże pogmatwana fabuła tej prozy, obok Đilasa uczestniczy inny były prominent komunistycznej Jugosławii – bywało, wicepremier jej rządu i minister spraw wewnętrznych – Aleksandar Ranković, „o którym nikt nie wiedział na pewno, czy już nie żyje czy dopiero ma umrzeć". Zdanie niebywale celne, choć naprawdę w roku 1988, gdy odbywała się ceremonia pochówku tajemniczej Marty Koen, Ranković nie żył już od pięciu lat. Ostatni okres życia ten dawny postrach ustaszy spędził pracowicie „na usuwaniu swojego nazwiska i wycinaniu swoich fotografii ze wszystkich książek, do których zdołał dotrzeć". Tak przynajmniej utrzymuje Svetislav Basara, któremu jednak niekoniecznie musimy wierzyć; jego książka to bowiem postmodernistyczny konglomerat prawd, przypuszczeń i zmyśleń, w którym możliwe jest wszystko. Nawet to, że w trakcie oddawania salwy honorowej na wzmiankowanym pogrzebie (przez pomyłkę ostrymi nabojami) jeden z pocisków trafił w czoło pewnego chorążego obserwującego ceremonię z balkonu swojego mieszkania. „Zachwiał się, stracił równowagę i zaczął spadać z jedenastego piętra prosto na przystanek tramwajowy przy ulicy Roosevelta. Widząc, że spadające ciało może pociągnąć za sobą kolejne ofiary, żona chorążego krzyknęła: »Uważajcie!«.

I tak spowodowała jeszcze więcej ofiar.

Ostrzeżeni jej krzykiem ludzie na przystanku w strachu przed spadającym ciałem rozbiegli się na wszystkie strony. Sześcioro wpadło pod rozpędzony (nieistniejący w Belgradzie) tramwaj numer osiemnaście i zginęło na miejscu".

Nic dziwnego, że marszałek Josip Broz Tito panicznie obawiał się tramwajów właśnie.

Komunizm daje się obśmiać, i to łatwo. Niebezpieczeństwo polega jednak na tym, że to, z czego kpimy, przestaje być straszne. I wtedy tyko śmiejemy się, oglądając powtarzane w nieskończoność filmy Barei czy czytając np. Pilchowy opis przygotowań naczelnika poczty i pana Trąby do zabicia towarzysza Gomułki za pomocą chińskiej kuszy („Tysiąc spokojnych miast").

U Svetislava Bazary jest podobnie, ale inaczej. Z akcją posuniętą do granic absurdu groteskowy „Dziennik Marty Koen" prowadzi narratora powieści do jedynego miejsca, w którym po wszystkich swoich doświadczeniach musiał się znaleźć: do sali bez klamek w szpitalu psychiatrycznym. Tam w końcu znajduje czas na zastanowienie się nad systemem, w którym „występujący z partii albo z niej wyrzuceni natychmiast stali się demokratami. A mówią i zachowują się nadal jak komisarze ludowi".

Skąd my to wszystko znamy? ©℗

★★★★☆

SVETISLAV BASARA „DZIENNIK MARTY KOEN" WYDAWNICTWO AKADEMICKIE SEDNO, WARSZAWA 2021

eprasa.pl 39ee1bda30

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Na własną rękę

Posiadająca wszelkie zalety rozrywkowej fantastyki charakterystycznej dla lat 50. XX w. powieść „Osa" jest jednocześnie zadziwiająco aktualną polityczną alegorią. Jej autor, zaliczany do pisarzy związanych z libertariańskim nurtem SF (jak choćby Heinlein), opiewał w swych utworach przedsiębiorczość, możliwości i perspektywy utalentowanej jednostki. Z kolei z doświadczeń wojennych znał dobrze realia armii i wywiadu. Z tego wszystkiego utkał książkę, którą Terry Pratchett określił mianem najśmieszniejszego podręcznika dla terrorystów.

Główny bohater „Osy", James Mowry, zostaje zwerbowany do pracy jako tajny agent działający za linią wroga. Ziemia przyszłości toczy wojnę z Kartelem Syrijskim, który dwukrotnie już zaatakował Układ Słoneczny. Przeciwnik to rasa człekokształtna, na tyle podobna do Ziemian, że po odpowiedniej charakteryzacji i szkoleniu da się wśród wroga umieścić swojego szpiega. Zadanie Mowry'ego jest jednak dużo ważniejsze od zwykłego zbierania informacji. Ma stać się jednoosobowym oddziałem sabotażu, terroru, propagandy i wojny psychologicznej. Bo jeden człowiek w odpowiednim czasie i w odpowiednim miejscu może sparaliżować dużo potężniejszego wroga. Mowry ma być jak tytułowa osa – mały insekt tak irytujący, że zajmujący na krótką chwilę całą uwagę obiektu swego ataku. Armia chce wykorzystać ten moment, by zadać decydujący cios.

To, co następuje później, jest zabawne, przerażające i pouczające. Mowry trafia na wrogą planetę uzbrojony w małą fortunę, fałszywe tożsamości, środki do małego i dużego sabotażu oraz przede wszystkim własną inteligencję. Rozpuszcza defetystyczne plotki, najmuje miejscowych kryminalistów do zabijania oficerów wroga, rozsyła pocztą ładunki wybuchowe, a wszelkie działania podpisuje nazwą nieistniejącego ruchu oporu. Po pewnym czasie cała bezpieka i pół armii zamiast pilnować obrony planety, uganiają się za cieniami stworzonymi przez sprytnego agenta.

Powieść oparta na jednym grepsie w drugiej połowie robi się nieco nużąca, mogłaby też mieć lepszą puentę, ale pozostaje wielce aktualna; może nawet bardziej aktualna, niż gdy powstawała. Prawda jest nieważna, liczy się stworzenie odpowiedniego klimatu zagrożenia, zmuszenie władz, by walczyły z urojeniami, oraz przekonanie obywateli, że rząd stoi na granicy upadku. Oto recepta na rewolucję epoki fake newsów. Zdaje się, że Donald Tusk czy Bartek Kramek czytali książkę Russella, zanim jeszcze przełożono ją na polski. ©℗

★★★★☆☆

ERIC FRANK RUSSELL „OSA" REBIS 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Czternaście opowiadań – trzy w hołdzie Brunonowi Schulzowi, pozostałe łączące w charakterystycznym stylu liryzm, nostalgię i rubaszność. Mijające lata nie ujmują znakomitemu reżyserowi i pisarzowi talentu do opowieści.

JANUSZ MAJEWSKI „MALEŃKA" MARGINESY

Domknięcie pracy rozpoczętej kilka miesięcy temu tomem pierwszym, który prowadził czytelnika od narodzin chrześcijaństwa do upadku Konstantynopola. Tom drugi obejmuje czasy od XVI w. do współczesności.

WOJCIECH ROSZKOWSKI „HISTORIA CHRZEŚCIJAŃSTWA" TOM 2 BIAŁY KRUK

Kraj cudu gospodarczego, potęga w popkulturze, kwitnąca demokracja. A zarazem społeczeństwo nierówności (wspomnijmy oscarowy „Parasite") i historycznych resentymentów. O Korei Południowej głębiej niż zwykle.

ROMAN HUSARSKI „KRAJ NIESPOKOJNEGO PORANKA" CZARNE

Przez blisko 40 lat autor „W kleszczach lęku" podróżował do Włoch, kraju, który umiłował ponad inne. Owocem tej miłości jest zbiór esejów wydany oryginalnie w roku 1909, a teraz wreszcie ukazujący się po polsku. ©℗

poleca Piotr Gociek

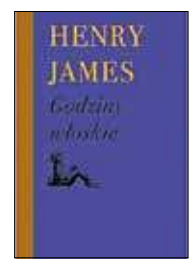

HENRY JAMES „GODZINY WŁOSKIE" WYDAWNICTWO PRÓBY

KOMIKS TYGODNIA: „KSIĘGI MAGII"

Zanim J.K. Rowling wymyśliła Harry'ego Pottera, brytyjski mistrz fantasy napisał opowieść o młodym okularniku obdarzonym wielką czarodziejską mocą. O jego przyszłość i umiejętności walczy czterech potężnych magów. I nie zawsze są to indywidua przyjazne. Historia oryginalnie ukazała się w latach 1990–1991 jako seria czterech komiksów, z których każdy miał innego rysownika.

NEIL GALMAN „KSIĘGI MAGII" EGMONT 2021

Wydanie zbiorcze to okazja, by podziwiać ich talent za jednym zamachem (John Bolton, Scott Hampton, Charles Vess, Paul Johnson). Jednocześnie Gaiman wplótł swą baśń w mitologię komiksowego uniwersum DC. Klasyka! ©℗

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl 39ee1bda30

Muzyka wysokiej wieży

Carillony w Ratuszu Głównego Miasta w Gdańsku FOT. DARIUSZ KULA/MUZEUM GDAŃSKA

Wołają na modlitwę, odmierzają czas, znamionują ważne wydarzenia. Dźwięk dzwonów jest naturalnym elementem polskiej audiosfery, ale już pojęcie carillonu brzmieć może dość egzotycznie. Czym jest carillon? Monumentalnym instrumentem muzycznym, składającym się z zespołu co najmniej 23 dzwonów wieżowych, a najlepiej minimum 47, na których gra się przy użyciu klawiatury sterującej sercami dzwonów.

Gdzie szukać koncertów carillonowych? Najlepiej w Gdańsku, gdzie odbywa się festiwal tej muzyki, który w tym roku miał swoją 23. edycję. Gród nad Motławą, w którym są dwa instrumenty – w kościele św. Katarzyny oraz w Ratuszu Głównego Miasta – ma swoją miejską carillonistkę, dr Monikę Kaźmierczak, absolwentkę Akademii Muzycznej w Gdańsku oraz Niderlandzkiej Szkoły Carillonowej w Amersfoort. Carillonowa muzyka obecna jest w Gdańsku niemal od 500 lat (pierwszy koncert carillonowy został wykonany 23 września 1561 r.) i została wpisana w tym roku na Krajową Listę Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego.

To właśnie z tej okazji powstała płyta „Contemporary Carillon", na której znalazły się kompozycje Aleksandry Nowak, Elżbiety Sikory, Pawła Mykietyna, Agaty Zubel i Zygmunta Krauzego w wykonaniu – nie mogło być inaczej – Moniki Kaźmierczak. Wszystkie utwory miały już swoje prawykonania, powstawały bowiem na specjalne okazje – np. „Trzy wezwania" Aleksander Nowak napisał na 80. rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej, a „STOP" Paweł Mykietyn skomponował z okazji 40-lecia porozumień sierpniowych. Album został wydany przez Państwowe Wydawnictwo Muzyczne, w serii Sounds od Anaklasis, we współpracy z Muzeum Gdańska.

– Kultura carillonowa w Gdańsku powraca do swojej świetności – mówił po wpisaniu gdańskich carillonów na Krajową Listę Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego Waldemar Ossowski, dyrektor Muzeum Gdańska. – Gdańska kultura carillonowa uznawana jest za ważną i jest rozpoznawalnym symbolem miasta na równi z najpopularniejszymi elementami tożsamości, takimi jak fontanna Neptuna, Dwór Artusa czy bazylika Mariacka – dodawał. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Trzydzieści lat minęło

★★★★★★
★★★☆☆☆
METALLICA „THE BLACK ALBUM"/„THE METALLICA BLACKLIST" UNIVERSAL

Metallica świętuje 30-lecie ukazania się „Czarnego Albumu", wydając zremasterowaną reedycję oryginału oraz czterokompaktowy zestaw „The Metallica Blacklist". Na drugim wydawnictwie znajdują się covery piosenek wykonane przez ponad 50 wokalistów i instrumentalistów, w tym Miley Cyrus, St. Vincent, Phoebe Bridgers czy Davida Gahana z Depeche Mode. Całość można zrecenzować jednym słowem – nadmiar. Nie wiem, kto zdoła z przyjemnością wysłuchać 53 wersji utworów, w tym sześciu „Enter Sandman", siedmiu „The Unforgiven" i 12 „Nothing Else Matters"! Największe wrażenie robi wersja Miley Cyrus ostatniej z wymienionych piosenek i to zarówno ze względu na przesadny rozmach aranżacyjny, jak i listę gwiazd w studiu. W chórkach śpiewa Elton John, a na wiolonczeli gra legendarny „klasyk" Yo-Yo Ma. Towarzyszą im Chad Smith z Red Hot Chili Peppers, WATT i Robert Trujillo.

Recenzowanie „The Black Album" z dzisiejszej perspektywy nie ma sensu, bo jest to płyta bez skazy. Oczywiście fani zespołu zawsze będą się spierać, czy wcześniejsze, surowsze albumy nie są lepsze, ale to „Czarny Album" sprawił, że niszowy thrash metal przerodził się w komercyjny nurt dorównujący w latach 90. fenomenowi muzyki grunge.

Reedycja zawiera zremasterowany dźwięk najwyższej jakości i jest dostępna w wersjach: 1CD, 3CD, 2LP i Deluxe Box Set (6LP, 14CD, 5DVD). ©℗

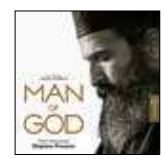

★★★★☆☆
ZBIGNIEW PREISNER „MAN OF GOD" CALDERA

Ścieżka dźwiękowa do filmu Serbki, Yeleny Popovic, opowiadającego o św. Nektariuszu z Eginy. W utworach Preisnera łączących muzykę symfoniczną i elektroniczną rozbrzmiewają bizantyjskie i greckie koloryty. W niespełna dwuminutowym utworze „Loss" śpiewa Lisa Gerrard.

★★★★★☆
HENRYK DEBICH „ZBLIŻENIE" ASTIGMATIC

Kolekcjonerzy ze świata poszukują od lat płyty łódzkiej orkiestry String Beat z 1975 r. „Zbliżenia" zawierają 13 niepublikowanych jazz-funkowych perełek z lat 1974–1977. Henryk Debich z symfonicznym rozmachem aranżuje wspaniałe melodie „młodych gniewnych" ze swojej orkiestry. ©℗

eprasa.pl 39ee1bda30

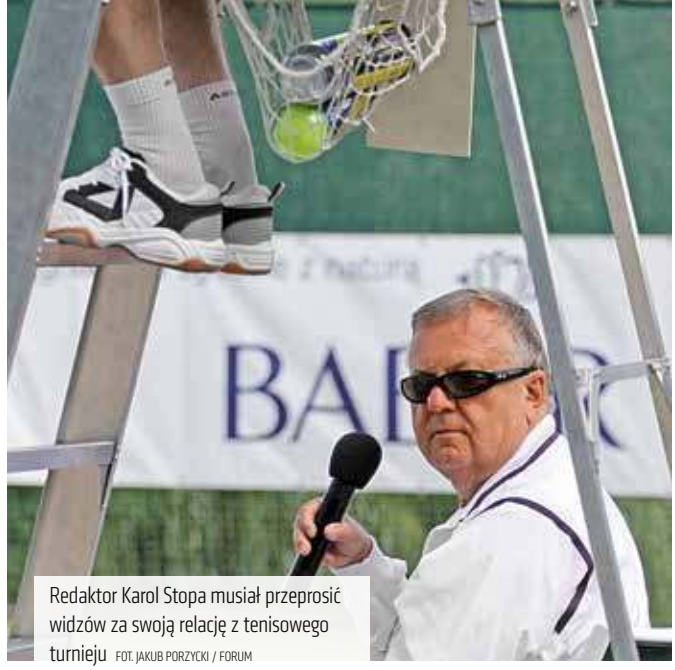

Redaktor Karol Stopa musiał przeprosić widzów za swoją relację z tenisowego turnieju FOT. JAKUB PORZYCKI / FORUM

Tenisowe przebijanki

Krzysztof Masłoń

Czasy, w których od dziennikarza telewizyjnego wymagano wiedzy ogólnej przyswojonej w stopniu więcej niż dostatecznym, kultury osobistej, dobrej dykcji i obiektywizmu, należą do zamierzchłej przeszłości

Dziś dziennikarz rozpalać ma emocje, wyraźnie prezentować swoje stanowisko w każdej kwestii, oczywiście zgodnie ze zdaniem swojego pracodawcy, a tam, gdzie jest to możliwe, wykazać się oryginalnością, skoro nie sądu, to choć fryzury, no i językiem.

Ostatnimi czasy na niepodległość najbardziej zdecydowanie wybija się redaktor Karol Stopa. W końcu lipca za jego nadto szczere słowa Eurosport musiał przepraszać telewidzów, zapewniając, że dołoży wszelkich starań, „aby podobne sytuacje nie miały miejsca, a komentarz na naszych platformach był zawsze zgodny z najwyższymi standardami". Cóż takiego uczynił ten złotousty znawca tajników przebijania przez siatkę tenisowej piłeczki? Otóż w trakcie olimpijskiego spotkania Aryny Sabalenki z Donną Velić, myśląc, że telewidzowie go nie słyszą, wyprorokował, że ta pierwsza przepier…. mecz, co i się zdarzyło, a to z winy japońskich organizatorów, którzy k… położyli tępą nawierzchnię, na której j….. piłki stają dęba.

Karol Stopa podpadał i wcześniej. Będzie dziewięć lat, jak zajął się jego osobą ekspert od absolutnie wszystkiego, a już od tenisa szczególnie, odkąd zapragnął, niestety nieskutecznie, uczynić córkę Agatę drugą Steffi Graf. To się akurat Danielowi Passentowi – bo to o niego oczywiście chodzi – nie udało, za to pomieszczony w „Polityce" felieton „Dookoła piłeczki" poświęcił rzeczonemu Stopie, zarzucając mu niepohamowane gadulstwo. „Gdyby Karol Stopa – pisał – zechciał przyswoić sobie żelazną zasadę sprawozdawców, którą znał już Benio Krzyk – mówić mało, ale smacznie, pozostawać w cieniu, nie wysuwać się na plan pierwszy, nie popisywać się swoją (i komputera) wiedzą, NIE PRZESZKADZAĆ telewidzom oglądać gry – chętnie ufundowałbym mu puchar wdzięczności". Obiecanki cacanki. Pucharu ani żadnej innej nagrody, rzecz jasna, Passent nie nabył i tym bardziej nie wręczył jej komentatorowi sportowemu, podworował sobie za to z niego: „Ten człowiek ma […] gardło z żelaza, jego struny głosowe mocniejsze są od strun naciągu, atakuje nasze uszy i mózgi non stop, z forehandu i z backhandu, lewe ucho – prawe ucho albo między uszy. Słuchając Karola Stopy, człowiek czuje się, jak gdyby grał z Rafaelem Nadalem – komentator jest niezmordowany i nie ma od niego ucieczki. Nie można go nawet uciszyć pilotem, bo wtedy cichnie dźwięk uderzeń, jęk sportowców, szmer trybun i oklaski. Wszystko to składa się na spektakl tenisowy, pod warunkiem że nie jest to spektakl jednego aktora".

Nie tylko z tego tekstu wynika, że Passent wyznawał popularną w latach komuny zasadę „tisze jediesz, dalsze budiesz"; on sam rozgadał się dopiero na starość, wcześniej skupiając się na pisaniu, którego arkana poznał dogłębnie nie tylko jako wzięty felietonista, lecz także wypróbowany tajny współpracownik wiadomych służb.

Sęk w tym, że redaktor Stopa żyje z gadania właśnie, a słuchającym go – o dziwo! – bluzgi, jakie rzucał w stronę mikrofonu nieświadom tego, że słyszą go rzesze telewidzów, na ogół się spodobały. Internauci albo usprawiedliwiali sprawozdawcę, uważając, że język oficjalny od tego, jakim dziennikarz nieoczekiwanie przemówił, jest mniej ciekawy, ergo nieprawdziwy i wydumany, albo też w pełni przyznawali sprawozdawcy rację, dodając od siebie kilka jeszcze równie błyskotliwych zwrotów wymagających wykropkowania.

Redaktora Stopę cała ta historia wyraźnie podbudowała, gdyż ostatnio podczas komentowania finału US Open orzekł, że na ów mecz rozgrywany na kortach Flushing Meadows w Nowym Jorku nie przyszli ludzie, lecz zwierzęta. Tym razem dyrektorzy Eurosportu za swojego współpracownika nie posypali głów popiołem, a może szkoda, bo tymi słowami rzeczywiście obraził dwadzieścia parę tysięcy widzów oglądających tenisowy pojedynek Novaka Djokovicia z Daniłem Miedwiediewem. Redaktora oburzyły gwizdy na trybunach, buczenie, zakłócanie gry przez publikę wyraźnie sympatyzującą jednym tylko graczem, czyli zachowania znane aż za dobrze z niemal wszystkich aren sportowych. Wszystkich poza tenisowymi. Komentatorzy tego „białego" sportu uważają go bowiem za enklawę, w której tenisiści powinni po staremu nosić długie białe spodnie, widzowie zajadać truskawki jak w Wimbledonie (broń Boże, mlaskając), a brawa rozlegałyby się dopiero po zakończonym gemie.

I w tej pełnej skupienia, wręcz nabożnej atmosferze dozwolone byłyby jedynie „ku.wy", którymi komentatorzy telewizyjni kwitowaliby co celniejsze smecze, loby, slajsy i top spiny. ©℗

eprasa.pl 39ee1bda30

Dlaczego Polacy siedzą cicho

Łukasz Warzecha

Dlaczego od wielu lat każda kolejna władza w naszym kraju może zakładać, że niezależnie od tego, ile nowych obciążeń nałoży na Polaków, ci się otwarcie nie zbuntują? Dlaczego Polacy na tle wielu narodów Europy wydają się tak nieprawdopodobnie wręcz potulni, mimo mitu o umiłowaniu wolności i wrodzonym braku pokory?

W 2018 r. na ulicach francuskich miast pojawiły się setki tysięcy ludzi w żółtych odblaskowych kamizelkach. Był to skutek wprowadzonych przez rząd prezydenta Macrona podatków na paliwa, drastycznie podwyższających jego cenę, a w szczególności cenę oleju napędowego. W rozległej terytorialnie Francji miało to duże znaczenie. W protestach regularnie brało udział po ponad 100 tys. osób, momentami nawet powyżej 200 tys. Wiele demonstracji miało bardzo gwałtowny charakter, powtarzały się brutalne starcia z policją, a mimo to ruch gilets jaunes cieszył się przez długi czas poparciem ponad 70 proc. Francuzów.

Ostatecznie okazało się, że presja odniosła skutek. Podwyżki podatków zostały na jakiś czas zawieszone, prezydent poczynił pewne ustępstwa podatkowe innego rodzaju oraz ogłosił debatę nad przyczynami protestów, choć początkowo unikał nawet odnoszenia się do nich.

W tym samym czasie w Polsce wprowadzono opłatę emisyjną – nowy podatek w cenie benzyny, za sprawą którego obciążenia fiskalne stanowią już wyraźnie powyżej połowy ceny litra paliwa w Polsce. Opłata emisyjna podniosła jego cenę o ok. 10 gr na litrze. Ten fakt przeszedł praktycznie niezauważony.

Podczas epidemii przez Europę oraz poza nią przetaczały się wielkie protesty przeciwko polityce lockdownów i segregacji sanitarnej. We Francji latem tego roku liczby protestujących zbliżyły się do tych z czasów akcji żółtych kamizelek i sięgały ponad 150 tys. osób. Potężne protesty wstrząsnęły Włochami. W Londynie wielokrotnie demonstrowały tysiące ludzi – trudno znaleźć nawet szacunkowe liczby, bo media unikały ich podawania. W każdym razie np. w czerwcu relacje filmowe pokazywały tłumy gęsto wypełniające ulice brytyjskiej stolicy. Demonstracje w Berlinie jeszcze w sierpniu przyciągnęły ok. 5 tys. osób (według policji). W kwietniu było to, również według policji, ok. 8 tys. ludzi. W kraju, gdzie polityka rządu bardzo rzadko jest otwarcie kontestowana.

PARASOLKI I KAMIZELKI

Polskie protesty przeciwko lockdownowi i polityce sanitarnej w porównaniu z tymi w wielu państwach naszego kontynentu były mikre. Gromadziły zwykle po kilkadziesiąt, maksymalnie kilkaset osób, z czego znaczna część pojawiała się z hasłami cokolwiek wariackimi. Natomiast masowych protestów w sprawach ekonomicznych nie było w Polsce od wielu, wielu lat. Jeśli jakieś się zdarzają, to są to zorganizowane demonstracje branżowe, podczas których ta czy inna grupa interesu domaga się dla siebie większych pieniędzy. Nie ma tam spontaniczności, za logistykę odpowiada na ogół ten czy inny związek zawodowy.

Od momentu, gdy PiS objął władzę, były trzy wydarzenia, które od biedy można zakwalifikować jako protesty aspirujące do masowości: protest czarnych parasolek w 2016 r. przeciwko obywatelskiemu projektowi zmian w ustawie antyaborcyjnej, demonstracje przeciwko zmianom w wymiarze sprawiedliwości w lipcu 2017 r. oraz Ogólnopolski Strajk Kobiet jesienią ubiegłego roku, który wyszedł na ulice w proteście przeciwko orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie dopuszczalności aborcji z powodu wad płodu. Można się jednak spierać, na ile faktycznie masowe były to protesty.

Tak czy owak, miały jedną wspólną cechę: ich przyczyny były przede wszystkim ideologiczne i biegły wzdłuż linii politycznego podziału. W gruncie rzeczy każdy z nich był przynajmniej w części protestem przeciwko PiS. To jednak coś całkiem innego niż ruch żółtych kamizelek czy demonstracje przeciwko polityce sanitarystycznej, które miały charakter antyestablishmentowy i antysystemowy, a nie były protestami przeciwko partii Emmanuela Macrona czy Angeli Merkel.

TO MY, POLACY

Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego od wielu lat każda kolejna władza w naszym kraju może zakładać, że niezależnie od tego, ile nowych obciążeń nałoży na Polaków, ci się otwarcie nie zbuntują? Dlaczego nawet przywódca Agrounii Michał Kołodziejczak, typowany na lidera przyszłej parlamentarnej siły politycznej, reprezentującej sprzeciw rolników wobec niekorzystnych dla nich (i nie tylko dla nich) zmian, może wciąż jedynie pomarzyć o poparciu podobnym do tego, jakim swego czasu cieszył się choćby słynny „francuski Lepper" José Bové, który stojąc na czele ruchu farmerów, 20 lat temu trząsł Francją w posadach? Jednym słowem – dlaczego Polacy na tle wielu narodów

eprasa.pl 39ee1bda30

Polskie protesty przeciwko lockdownowi i polityce sanitarnej w porównaniu z tymi w wielu państwach naszego kontynentu były mikre

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Europy wydają się tak nieprawdopodobnie wręcz potulni, mimo mitu o umiłowaniu wolności i wrodzonym braku pokory?

To pytanie zadawałem w naszym tygodniku już na początku epidemii, gdy władza z sukcesem – jeden jedyny raz – wprowadziła na półtora miesiąca absurdalne ograniczenia, w tym słynny zakaz wstępu do lasów. Wówczas jednak nie było jeszcze widać wzorca zachowania wobec restrykcji epidemicznych, który wykształcił się w ciągu kolejnych miesięcy, a już całkowicie widoczny był zimą i wczesną wiosną. Ten wzorzec polega na kanalizowaniu naturalnego odruchu buntu przeciw obciążeniom czy ograniczeniom poprzez kombinowanie i lawirowanie.

Wbrew pozorom jest to plon okresu znacznie dłuższego niż kilkadziesiąt lat PRL. Żeby uchwycić początek, trzeba się cofnąć do czasów I RP. Usystematyzowanymi protestami obywatelskimi – przy uwzględnieniu, że do obywateli zaliczała się jedynie szlachta i tylko częściowo mieszczaństwo – w czasach I Rzeczypospolitej były konfederacje oraz rokosze. Końcowymi aktami takich obywatelskich buntów były konfederacja barska (1768) oraz powstanie kościuszkowskie (1794). Konfederacja barska, będąca buntem części szlachty przeciwko postępowemu kursowi narzuconemu przez Rosjan, a w oczach konserwatywnej szlachty uosabianemu przez króla Stanisława Augusta, była jeszcze zorganizowana według starych zasad. Formalnie rzecz biorąc, zawiązano wiele lokalnych konfederacji, które zbuntowani obywatele zgłaszali nawet, zgodnie z literą prawa, w miejscowych urzędach. Było to świadectwo obywatelskiej godności: konfederacja zawiązana zgodnie z prawem, zgodnie z prawem zgłoszona była uznawana za uprawniony i ujęty w ramy legislacji bunt. Rosjanie, rzecz jasna, kompletnie się tym nie przejmowali.

Powstanie kościuszkowskie, prowadzone już w innych warunkach politycznych, miało walor masowości, bo tak sformatował je jego przywódca, zapewne kierując się również ideami przywiezionymi z kontynentu amerykańskiego, gdzie uczestniczył w wojnie o niepodległość. Kościuszko próbował zrobić obywateli z włościan.

Wiek XIX to już całkiem inna bajka. Wbrew trwającemu do dzisiaj mitowi ani powstanie listopadowe (to w szczególności), ani styczniowe nie miały cech masowego buntu. To były zrywy elit, które większość obserwowała albo obojętnie, albo ze strachem, albo nawet z niechęcią. Nie zmienia tego fakt, że u początków tego drugiego zrywu były potężne warszawskie demonstracje. Ale właśnie: warszawskie.

Zabory były dla wielu Polaków pierwszą poważną lekcją kombinowania na potęgę. Jak ominąć przepisy? Jak mimo nich móc w miarę normalnie funkcjonować? Jak prowadzić interesy? I nie bez powodu sukces w tych działaniach uznawano za cnotę. To przeczytamy i w „Lalce" Prusa, i w „Ziemi obiecanej" Reymonta, dwóch genialnych powieściach, będących w istocie pochwałą osiągania sukcesu poprzez lawirowanie, a nie otwarty bunt. Na ten drugi w ogóle nie ma tam miejsca.

Krótki okres II RP, zresztą zwłaszcza po 1926 r., też coraz bardziej zeskleroziałej i wymagającej od wielu umiejętności kombinatorskich („Kariera Nikodema Dyzmy"!), przerwały wojna i dwie okupacje, a potem nastał PRL – powtórka z zaborczego kursu kombinowania w nowszej wersji. Komuniści, poza epizodycznymi w gruncie rzeczy okresami dokręcania śruby, przez większość Polski Ludowej udawali, że mają nad ludźmi kontrolę, a ludzie udawali, że się tej kontroli poddają, w istocie robiąc swoje. „Panie, tu nie jest salon damsko-męski, tu jest kiosk Ruchu, ja tu mięso mam!" – wrzeszczy w Barejowym „Misiu" zirytowana kioskarka. I to jest kwintesencja tamtej rzeczywistości.

Dramat polega na tym, że III RP nie wykorzeniła z Polaków tego głębokiego umiłowania do cichego omijania przeszkód stawianych przez władzę, swoją czy nieswoją, oraz niechęci do otwartego sprzeciwu. Niektórzy komentatorzy dodają także, że doszło do tego schamienie narodu. W kolejnych bezowocnych zrywach i wojnach straciliśmy swoją inteligencję, komuna dodatkowo awansowała tych z dolnych szczebli drabiny społecznej i tak oto po 1989 r. triumfy święci zakodowana w genach chłopska chytrość, nawet jeśli maskuje się jako „ą" „ę" inteligencję.

CIĄGŁA GRA POZORÓW

To właśnie mogliśmy obserwować w czasie ostatnich kilkunastu miesięcy. Policja urządzała pokazowe uderzenia na otwierających się wbrew zakazom przedsiębiorców, ale jeśli ktoś wpuszczał klientów tylnymi drzwiami i nie robił szumu, to zostawiano go w spokoju. Maseczkę noszoną na ulicy na brodzie naciągało się na moment na nos, gdy pojawiał się patrol – albo nawet nie, bo zwykle i tak nic się nie działo. Fryzjerzy pracowali po domach, a do pensjonatu dawało się pojechać jako kuzyn właściciela. Wszak rodzinę przyjmować było można.

Ten sam mechanizm objawia się w niemal każdej sprawie, dotyczącej naszego codziennego życia. Czegoś zakażą? Trudno, jakoś sobie poradzimy. Coś nakażą? Przecież wiadomo, że nie będą egzekwować, poradzimy sobie. I tak dalej, i tak dalej.

Tu dochodzimy do paradoksu. Z jednej strony ta zdolność umykania restrykcjom i regułom, w połączeniu z akceptowaną przez obie strony – władzę i obywateli – grą pozorów, daje Polakom przewagę nad niejednym narodem Zachodu i bez wątpienia pomogła nam przetrwać wiele przykrych sytuacji. Z drugiej w warunkach własnego, suwerennego państwa staje się przekleństwem, bo uwalnia władzę od obywatelskiego nacisku i pozwala jej mnożyć absurdy oraz iść drogą postępującej opresji. A jednak nie zawsze i nie przed każdym jej rodzajem da się umknąć opłotkami. Instrumenty nadzoru stają się coraz doskonalsze, a rządzący, którym zaczyna brakować pieniędzy – obojętnie, z jakiej wywodzą się formacji – w końcu przestaną udawać i serio zabiorą się do przykręcania śruby. Wiedząc, że nie muszą się martwić odruchem obywatelskiego buntu. Kto widział w ciągu 32 lat istnienia III RP, żeby Polacy wyszli na ulice, by żądać obniżki podatków?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 39ee1bda30

Totalna infantylizacja

Poseł Sterczewski, urządzający rajd między wojskowymi, aby się przedostać do imigrantów, nie tylko naraził na śmieszność mandat posła, lecz także będąc reprezentantem polskiego parlamentu, podważył politykę zagraniczną własnego państwa FOT. MIKOŁAJ KIEMBŁOWSKI/REPORTER

Jan Fiedorczuk

Kryzys na granicy dowiódł całkowitej infantylizacji totalnej opozycji. Gdy znany nam świat drży w posadach, za stery polskiej wspólnoty chcą chwycić ludzie ślepo wierzący w czcze liberalne frazesy. Polityka dla nich to zabawa. Oto pajdokracja w natarciu

Jedną z cech liberalnego postrzegania rzeczywistości jest przedkładanie dopracowanych intelektualnych koncepcji ponad empirię. Konsekwencją tegoż jest wprost galopująca infantylizacja sfery publicznej, w której bezmyślne i anarchizujące działania naiwnych lunatyków liberalizmu coraz częściej zyskują poklask. Mówiąc wprost, chcą nami rządzić dorosłe dzieci, które nie są świadome powagi zjawiska, jakim jest polityka.

Ta tendencja w pełni ujawniła się w ostatnich tygodniach przy okazji kryzysu na granicy polsko-białoruskiej. Pomijając oczywistą antypisowską emocję, to właśnie naiwna wiara w liberalne ideały zahaczająca o zdziecinniałe moralizatorstwo i permisywny humanitaryzm odpowiada za antypaństwowe działania, których byliśmy świadkami w ostatnim czasie. Uwiedziona wzniosłymi, odrealnionymi ideami opozycja znalazła się już nie tylko na wojnie z polskim rządem, lecz także z własnym państwem.

PRZEGLĄD LUNATYKÓW

Najgłośniejszym echem odbiły się rzecz jasna słowa Władysława Frasyniuka, który w TVN24 zaczął wyzywać – przy braku jakiejkolwiek reakcji prowadzącego – polskich żołnierzy od „psów" oraz „śmieci". Słynnego opozycjonistę czasów PRL poparł Lech Wałęsa, który poszedł krok dalej, porównując Straż Graniczną do hitlerowców i przewidując, że na granicy już wkrótce z winy polskich funkcjonariuszy „dojdzie do morderstwa". Obserwując reakcję polityków i dziennikarzy na te wypowiedzi, można odnieść wrażenie, że wpisały się one raczej w panujące standardy, niż je wyznaczały. „Gazeta Wyborcza" przekonywała, że Frasyniuk po prostu, tak po ludzku, „wku…ł się" i, jak dodał naczelny wrocławskiego oddziału gazety Leszek Frelich, „szkoda, że tylko on". Obrony słów o „psach" i „śmieciach" podjęli się również Borys Budka, Wojciech Czuchnowski czy Eliza Michalik.

Wkrótce zaczęły się pojawiać coraz bardziej dziecinne i chamskie komentarze – czy to pod adresem władzy, czy też samych żołnierzy. Jednocześnie nad samą granicę zaczęli pielgrzymować kolejni przedstawiciele opozycji, a w TVN24 rozkręcono łzawą narrację o „uchodźcach" oraz nieczułych polskich katolikach.

Janusz Lewandowski z PO nawoływał do „oczyszczenia polskiego munduru z PiS", a z kolei Robert Biedroń twierdził,

eprasa.pl 39ee1bda30

że polscy żołnierze powinni „oddać mundur i przeprosić matki", również Tomasz Lis pisał o „wstydzie dla wojska", które musi pilnować, by „zmarznięci, wygłodzeni i chorzy nie otrzymali pomocy". Swoje pięć minut miała oczywiście Klaudia Jachira, która domagała się wpuszczenia imigrantów, przekonując, że „Polacy tak samo pomagają uchodźcom, jak kiedyś Żydom w czasie wojny". Polityk zresztą przeszła od słów do czynów i sama udała się na granicę, gdzie wdała się w dyskusję ze Strażą Graniczną. Tropem Jachiry podążyła m.in. wicemarszałek (!) Senatu Gabriela Morawska-Stanecka z Lewicy, która również pojechała na granicę, gdzie beształa wojskowych i opowiadała o „upadku wojska". Głośno było również o dziennikarzu Radia TOK FM Piotrze Maślaku, który porównał strażników granicznych do żołnierzy SS.

Prawdziwym symbolem infantylizacji polskiej polityki stała się jednak Iwona Hartwich apelująca o przyjmowanie imigrantów bez względu na brak jakiejkolwiek wiedzy na ich temat. „Wpuście tych ludzi. Kim są, ustali się później!" – apelowała poseł na Twitterze. Słowa Hartwich są zresztą doskonałym zobrazowaniem prymatu liberalnych idei nad empirią. Świat realny musi ustąpić wzniosłym postulatom, nawet jeżeli są one całkowicie oderwane od rzeczywistości.

Zarówno tych, jak i wielu innych podobnych wypowiedzi (a w ostatnich tygodniach były ich dosłownie dziesiątki) nie składałbym wyłącznie na karb antypisowskiego zacietrzewienia. W działaniach totalnej opozycji widać tendencję do nieustannego moralizowania polityki. To manichejski podział świata, w którym z jednej strony mamy obrońców wolności, praw kobiet, zwierząt i wszelakich mniejszości, a z drugiej obóz ciemnoty i ksenofobii. To zero-jedynkowe podejście, w którym nie ma miejsca na jakąkolwiek refleksję. Politycy opozycji tupią nogą i niczym małe dzieci oburzają się, że świat jest taki skomplikowany, domagając się, by w obliczu kryzysu władza zrobiła COŚ już teraz, natychmiast.

W perspektywie postawy Harwich, Frasyniuka czy Jachiry trudno nie przywołać wydarzeń z 2015 r., gdy fala nachodźców została beztrosko wpuszczona do Europy. Kolejne zamachy, getta wyjęte spod jurysdykcji władz, częstokroć po prostu terror na ulicach (vide: słynny sylwester w Kolonii) – to wszystko było pochodną liberalnego zacietrzewienia, przez które zachodnie elity z troską pochyliły się nad abstrakcyjną figurą „uchodźcy", nie dostrzegając, że narażają swoją własną wspólnotę polityczną.

OPOZYCJA WOBEC PAŃSTWA

Wkrótce okazało się, że plucie na polskiego żołnierza i popadanie w coraz większe zdziecinnienie to dopiero początek ekscesów. Poseł Sterczewski, urządzający rajd między wojskowymi, aby się przedostać do imigrantów, nie tylko naraził na śmieszność mandat posła, lecz także będąc reprezentantem polskiego parlamentu, podważył politykę zagraniczną własnego państwa. Opozycja totalna już od lat działa podług zasady „ulica i zagranica", jednak do tej pory ograniczała się do pielgrzymek do Brukseli. Teraz bodaj po raz pierwszy wypowiedziała lojalność polskim władzom w obliczu jawnego zagrożenia wschodniej granicy państwa. W obronnie Sterczewskiego stanęli Rafał Trzaskowski, Szymon Hołownia, a także Renata Kim z „Newsweeka" czy Michał Rusinek z „Wyborczej".

Słynny już rajd posła miał miejsce dawno po tym, jak stało się jasne, że nie mamy do czynienia z żadnymi „uchodźcami", tylko z ludźmi sprowadzanymi przez białoruski reżim w ramach „broni demograficznej" wykorzystywanej do destabilizacji państw Zachodu. Co więcej, słynny happening Sterczewskiego miał miejsce już po tym, jak szef kancelarii premiera Michał Dworczyk stwierdził, że Białoruś wypowiedziała Polsce „wojnę hybrydową". Takich słów nie słyszeliśmy od 30 lat, co jedynie potwierdza, że geopolityczna pauza, z której obficie korzystaliśmy po upadku ZSRS, się skończyła.

Piotr Zgorzelski z PSL przekazał niedawno, że Paweł Łatuszka, były ambasador w Polsce, twierdzi, iż „Łukaszenko podjął decyzję o użyciu broni w sytuacji, kiedy na granicy białoruskiej mogłyby nastąpić sprawy zbyt mocno eskalowane". Z kolei Anatol Kotow, białoruski opozycjonista (do zeszłego roku wysoko postawiony urzędnik Administracji Prezydenta Republiki Białorusi), ocenia, że władze w Mińsku chcą, by na granicy doszło do zamieszek, a najlepiej – do otwarcia ognia przez polskich żołnierzy. „Celem Łukaszenki jest doprowadzenie do konfliktu granicznego z Polską" – przekazał w rozmowie z Onetem. A to wszystko w przededniu największych w historii manewrów rosyjsko-białoruskich. Jednak i bez tego kontekstu oczywiste jest, że działania Sterczewskiego i jego wesołej drużyny lżącej Straż Graniczną wprost wpisują się w politykę Mińska (i Moskwy).

Nawet jednak popisy posła KO bledną przy sprawie Bartosza Kramka, który z grupą kilkunastu aktywistów niszczył zasieki na granicy z Białorusią, co było już jawną dywersją i aktywnością antypaństwową. Co więcej, Kramek wcześniej otwarcie nawoływał do takich działań na łamach „Gazety Wyborczej", która bez żadnego zażenowania drukowała jego antypaństwowy manifest. „Zaprotestujmy – czynnie i zdecydowanie, w duchu obywatelskiego nieposłuszeństwa. Barierki są tylko w głowach" – przekonywał. Później zresztą ta sama „Gazeta" broniła tych działań piórem Pawła Kasprzaka z Obywateli RP.

KURS NA NIBYLANDIĘ

Popisy na granicy, nawet jeżeli budzą rozbawienie, w rzeczywistości są dramatycznym zobrazowaniem całkowitego upadku klasy politycznej. Polska opozycja to zbieranina Piotrusiów Panów – wiecznych dzieci, które obrały kurs na polityczną Nibylandię. Zakładając dobrodusznie, że te wszystkie osoby działają w naiwnym porywie serca, a nie na zlecenie obcych służb, widać wyraźnie, że ich rozumienie polityki jest godne ucznia szkoły podstawowej – świat jest zły, bariery są tylko w głowach, wpuśćmy tych ludzi i później martwmy się, kim są. Tak myślą dzieci, a nie elita odpowiedzialna za losy 40 mln obywateli.

Doktor Dariusz Gawin stwierdził niegdyś, że Polska znajduje się w „przeświecie ontologicznym", czyli w przeciwieństwie do wielu zachodnich społeczeństw doświadczyła groźby nieistnienia; jako wspólnota stanęliśmy w obliczu grozy biologicznej eksterminacji. Żyjąc ostatnie 30 lat w geopolitycznej pauzie, zapomnieliśmy, że polityka nie sprowadza się do podatków i wdrażania unijnych dyrektyw, tylko częstokroć dotyczy spraw życia i śmierci. Taki Sterczewski czy Hartwich są tymczasem po prostu dorosłymi dziećmi wiedzionymi abstrakcyjnymi ideałami humanitaryzmu, potrzebą zabłyśnięcia czy antypisowską emocją. Łukaszenka i Putin (ale również von der Leyen czy Timmermans) mogą siedzieć i zacierać ręce, patrząc na niezrozumienie przez polskie elity pojęcia racji stanu. „Rozgrywka z nimi to nie żadna polityka, to wychowanie dzieci, biorąc rzecz en masse".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 39ee1bda30

Trójmorze – potencjał do wykorzystania

Prezydent Andrzej Duda na piątym szczycie Inicjatywy Trójmorza w 2020 r. w Tallinie

FOT. IGOR SMIRNOW/KPRP

Paweł Pawłowski

Przejściowe trudności związane ze zmianą stosunku Stanów Zjednoczonych do Inicjatywy Trójmorza nie powinny przekreślać tego przedsięwzięcia. To dobry czas, by obok wspólnych inwestycji infrastrukturalnych rozwinąć również współpracę na poziomie instytucji społeczeństwa obywatelskiego. Długofalowe skutki takich działań są trudne do przecenienia

Kiedy w 2021 r. prof. Marek Chodakiewicz z Institute of World Politics w Waszyngtonie wydał swoją książkę „Intermarium: The Land between the Black and Baltic Seas", Ameryka nie była jeszcze gotowa, by zrozumieć i wdrożyć proponowane w niej działania. Dla pochodzącego z Polski historyka jasne były obopólne korzyści polityczne i gospodarcze płynące z integracji państw regionu pod amerykańskim patronatem. Po rosyjskiej agresji na Ukrainę perspektywa Waszyngtonu i postrzeganie Międzymorza uległy zmianie. Już w 2015 r. została zawiązana Inicjatywa Trójmorza skupiająca 12 państw członkowskich UE położonych pomiędzy morzami Bałtyckim, Czarnym i Adriatyckim.

Chociaż kraje Inicjatywy Trójmorza łączą wspólne doświadczenia historyczne oraz interesy w sferze gospodarki i bezpieczeństwa, to jednocześnie dzieli je brak efektywnych połączeń infrastrukturalnych, w szczególności w układzie Północ-Południe. Ponure dekady dominacji Związku Sowieckiego spowodowały, że infrastruktura łącząca ze sobą centra regionu ma charakter deficytowy. Również po przemianach i akcesji do UE przeważały inwestycje w poprawę połączeń w układzie Wschód-Zachód. Zaległości są ogromne – budowa infrastruktury, która łączyłaby ośrodki regionu na poziomie zbliżonym do reszty Unii, jest szacowana na koszt rzędu 600 mld euro.

ŚMIAŁE ZAŁOŻENIA

Korzyści płynące z rozwoju infrastruktury energetycznej, transportowej i cyfrowej w regionie są oczywiste. Wzrost wymiany handlowej, wzmocnienie relacji społecznych, gospodarczych i kulturalnych w regionie niosą w sobie ogromny potencjał rozwojowy i mogą stanowić ważny impuls do jeszcze szybszego wzrostu. Przy czym już obecne tempo znacząco przewyższa poziom notowany w zachodniej i południowej części kontynentu. Lepsza integracja Trójmorza to także większa świadomość istniejących współzależności, wspólnoty interesów i wyższej pozycji negocjacyjnej wobec silniejszych partnerów. Wreszcie poprawa połączeń i lepsza integracja regionu mają niebagatelne znaczenie dla bezpieczeństwa.

Problem stanowią środki na realizację tak śmiałych założeń. Powołany w 2019 r. Fundusz Trójmorza, w którym Polska odgrywa czołową rolę, mimo deklaracji dziewięciu państw oraz inwestora prywatnego dysponuje jedynie niecałym 1 mld euro. Jednakże nawet gdyby dzięki inwestorom prywatnym i realizacji obietnic Mike'a Pompeo udało się uzbierać zakładane 5 mld euro, to wciąż są to środki nieprzystające do skali potrzeb. Nie można rzecz jasna zakładać, że Fundusz ma stanowić jedyne źródło finansowana inwestycji infrastrukturalnych w regionie.

Trwająca realizacja strategicznie istotnego gazociągu Baltic Pipe czy interkonektora łączącego Rumunię z Bułgarią pozwalającego na przesył gazu z Azerbejdżanu pokazują, że integracja Trójmorza w układzie Północ-Południe postępuje. Podobnie jest w przypadku rozwoju infrastruktury transportowej, przy czym należy wymienić chociażby drogi Via Carpatia, Via Baltica czy ogłoszony przez ministra Andrzeja Adamczyka w Sofii projekt Rail Carpatia. To tylko pojedyncze, choć istotne przykłady. O atrakcyjności potencjału rozwojowego Inicjatywy doskonale świadczy jasno zadeklarowana przez prezydent Grecji chęć zaangażowania również tego kraju we współpracę w ramach Trójmorza.

OKRES PRZEMIAN

Jednocześnie po szeciu latach od powołania Inicjatywa Trójmorza wchodzi w okres przemian wywołanych zmianą w Białym Domu. Donald Trump przywiązywał dużą wagę do regionu i współpracy w ramach formatu. Z jednej strony wyraźna była świadomość roli, jaką Trójmorze odgrywa w globalnej rywali-

eprasa.pl 39ee1bda30

zacji pomiędzy USA a ChRL, a z drugiej wola wsparcia amerykańskiego biznesu w perspektywicznym obszarze Europy. Oczywiście nie bez znaczenia była chęć równoważenia trudnych relacji z zachodnią częścią kontynentu.

Prezydentura Joe Bidena stanowi drastyczną zmianę w tym względzie i przywodzi na myśl nieudane zabiegi Baracka Obamy. W jeszcze bardziej wyrazisty sposób Waszyngton pokazuje, że Europa to dla niego przede wszystkim Niemcy, a relacje z pozostałymi państwami kontynentu mają jedynie charakter pochodny. Ma to kluczowe znaczenie przede wszystkim w kontekście Europy Środkowej i Wschodniej. Z jednej strony niedawno podpisane porozumienie Merkel-Biden w sprawie Nord Stream 2 poważnie podważyło bezpieczeństwo energetyczne państw regionu, z drugiej strony ponownie zasygnalizowane zostało, że Stany Zjednoczone porzucają swoją rolę patrona Inicjatywy Trójmorza na rzecz Niemiec. Stanowi to potwierdzenie kierunku, który został zarysowany podczas szczytu Trójmorza w Sofii. Jak to określił sam prezydent RFN Frank-Walter Steinmeier: „Niemcy zbliżają się do Trójmorza". Inicjatywa zdaniem prezydenta Niemiec ma być ściślej związana z politykami unijnymi, szczególnie w zakresie „zielonej energii" oraz – co również istotne w tym kontekście – ma opierać się na „podstawowych wartościach UE".

Odmienność Międzymorza, które osiąga świetne wyniki gospodarcze, a z drugiej strony gwarantuje wolność i poszanowanie wartości, na których zbudowano bezprecedensowy sukces cywilizacji łacińskiej, to potencjał wciąż czekający na właściwe spożytkowanie

Powstaje zatem pytanie, czy nie jesteśmy świadkami próby zamiany Inicjatywy Trójmorza w stary i dobrze znany format Mitteleuropy, która ma służyć przede wszystkim realizacji celów Berlina, niezależnie od tego, w jak szczytne słowa zostałoby to ubrane. Stanowiłoby to zaprzeczenie i przekreślenie idei, która leżała u podstaw Inicjatywy.

Tym bardziej należy zwrócić uwagę na często niedoceniany aspekt, o którym wspomniał w Sofii prezydent Łotwy – Trójmorze jest ideą: polityczną, społeczną i gospodarczą. Egils Levits zapowiedział również, że jednym z priorytetów rozpoczynającej się łotewskiej prezydencji będzie budowa przestrzeni współpracy społeczeństwa obywatelskiego regionu. To bardzo słuszna i potrzebna inicjatywa. Dla rzeczywistej integracji Trójmorza konieczna jest szeroka współpraca think tanków i innego rodzaju organizacji. W ten sposób budowane jest wzajemne zrozumienie i zaufanie. Ogromne znaczenie mają inicjatywy o charakterze edukacyjnym na różnym poziomie. Wręcz strategicznie istotne jest kształcenie elit regionu zdolnych do podmiotowego myślenia o interesach Trójmorza. Istnieją w tym względzie poważne deficyty. Współpraca na poziomie społeczeństwa obywatelskiego nie powinna się jednak ograniczać do formatu Trójmorza i obejmować także państwa Międzymorza, które stoją przed podobnymi wyzwaniami – przede wszystkim Ukrainę czy kraje bałkańskie.

W tym kontekście warto zwrócić uwagę na Collegium Intermarium – powstałą w tym roku uczelnię wyższą w Warszawie, która stawia sobie za cel kształcenie elit Międzymorza w oparciu o tradycyjną triadę prawdy, dobra i piękna. Od początku istnienia silny jest komponent międzynarodowy, co najlepiej odzwierciedla imponująca kadra akademicka pochodząca z czterech kontynentów, a w szczególności z Międzymorza. Nowa inicjatywa trafia w punkt, o czym najlepiej świadczy zainteresowanie czołowych światowych mediów konferencją inaugurującą działalność uczelni, podczas której wypowiadali się czołowi przedstawiciele życia publicznego i akademickiego z obu stron Atlantyku. Collegium Intermarium czerpie z niewykorzystanego potencjału regionu, który wyróżnia się na tle reszty Zachodu jako „przestrzeń ładu i wolności".

MYŚLĄC INACZEJ

Ideologiczne szaleństwo, które ogarnia Zachód, wciąż budzi pewien sceptycyzm w krajach, które zostały dotknięte przez komunizm. W dalszym ciągu respektowane są wolność słowa, sumienia i wolność religijna. Wciąż szeroko rozpowszechnione są duma narodowa i szacunek dla przeszłych pokoleń, co jaskrawo kontrastuje z negacją własnej tożsamości, jaką można obserwować w innych częściach Zachodu. Te czynniki, przy względnym dobrobycie i spokoju społecznym, podnoszą atrakcyjność Międzymorza.

Odmienność Międzymorza, które jednocześnie osiąga świetne wyniki gospodarcze, a z drugiej strony gwarantuje wolność i poszanowanie dla wartości, na których zbudowano bezprecedensowy sukces cywilizacji łacińskiej, to potencjał wciąż czekający na właściwe spożytkowanie. To jest właśnie obszar, który powinien stać się przedmiotem współpracy państw i społeczeństw Trójmorza i szerzej – Intermarium.

Inicjatywa Trójmorza spowodowała, że myślimy w inny sposób o regionie. Państwa Inicjatywy coraz lepiej rozumieją, że łączy je znacząca wspólnota interesów i ogromny potencjał rozwojowy. Niezależnie od przejściowych trudności związanych ze zmianą zaangażowania USA oraz z coraz wyraźniejszymi ambicjami Niemiec państwa regionu powinny dbać, by obok projektów infrastrukturalnych rozwijać także współpracę na poziomie społeczeństw – szczególnie w kontekście instytucji społeczeństwa obywatelskiego, edukacji i szkolnictwa wyższego, co już zaczyna mieć miejsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 39ee1bda30

Autosabotaż
na sowieckiej dumie

Paweł Gierech

Mija 80 lat od zapomnianej tragedii Zaporoża, zatopionego decyzją Stalina

Jeden z ostatnich żyjących świadków, Oleksij Docenko, w 2009 r. przed kamerą ukraińskiego kanału 1+1 zeznał, że Dniepr tego dnia zaczerwienił się od krwi. Wspominał: „Ludzie krzyczeli o pomoc. Krowy muczały, świnie kwiczały. Ludzie wspinali się na drzewa". Taki był efekt supertajnej operacji NKWD wysadzenia na rozkaz Stalina dumy Związku Sowieckiego, ogromnej Dnieprzańskiej Elektrowni Wodnej (Dnieproges).

To był największy, najbardziej spektakularny i najbardziej popularny ze wszystkich wielkich projektów pierwszej „pięciolatki". Choć pierwszy projekt zalania słynnych progów Dniepru, uczynienia rzeki żeglowną i wykorzystania jej wód do produkcji energii pojawił się jeszcze za czasów carskich (1905), to wówczas na przeszkodzie stanął brak zgody wielkich właścicieli ziemskich tych obszarów. Projekt wrócił po rewolucji, w ramach GOELRO, Narodowego Planu Elektryfikacji Rosji, przyjętego podczas VIII Zjazdu Rad w grudniu 1920 r., zgodnie z leninowskim hasłem: „Komunizm to władza radziecka plus elektryfikacja całego kraju". Pisarz H.G. Wells po ówczesnej wizycie w Rosji i osobistej rozmowie z sowieckim przywódcą napisał: „Lenin, który jak dobry ortodoksyjny marksista potępia wszystkich »utopijnych«, w końcu uległ utopii, utopii elektryków. Wkłada cały swój ciężar w plan rozwoju wielkich elektrowni w Rosji, aby zaopatrywać całe prowincje w światło, transport i energię przemysłową. [...] Czy można sobie wyobrazić bardziej odważny projekt na rozległej, płaskiej krainie lasów i niepiśmiennych chłopów [...], bez dostępnych umiejętności technicznych, z ledwo zipiącym handlem i przemysłem?" („Russia in the Shadow", 1921, tł. autora).

BEZ WZGLĘDU NA KOSZTY

Projekt zlecono doświadczonemu inżynierowi Iwanowi Aleksandrowowi, który oparł się na konstrukcjach wielkich elektrowni wodnych z USA i Kanady. Pod koniec 1927 r. ruszyły pierwsze prace. Osiem ogromnych 72-megawatowych turbin początkowo zamierzano zamówić w Niemczech lub Anglii, ale pomógł... wybuch wielkiego kryzysu. Zamówienie chętnie przyjęli Amerykanie, których oferta przewidywała dostarczenie potrzebnych maszyn i budowę całego kompleksu. Zgodnie z decyzją Stalina oficjalnie budowano swoimi siłami, ale „pod nadzorem amerykańskich konsultantów", sowicie opłacanych. 17 września 1932 r. sześciu obywateli USA, na czele z płk. inż. H. Cooperem, otrzymało ordery Czerwonego Sztandaru Pracy „za szczególnie owocną pracę".

Stalin nie liczył się z kosztami. Oficjalne doniesienia mówiły o wydaniu na budowę 230 mln rubli, ale już wtedy wieść gminna głosiła, że w rzeczywistości wielokrotnie więcej. Aby pokryć koszty tej i innych wielkich budów GOELRO, bez informowania krajowej opinii publicznej, za granicę wyprzedawano zbiory sztuki z Ermitażu oraz ogromne ilości zboża, nie bacząc na potrzeby własnego rynku, co w latach 1932–1933 (a więc w roku otwarcia Dnieprogesu i następnym) przyczyniło

eprasa.pl 39ee1bda30

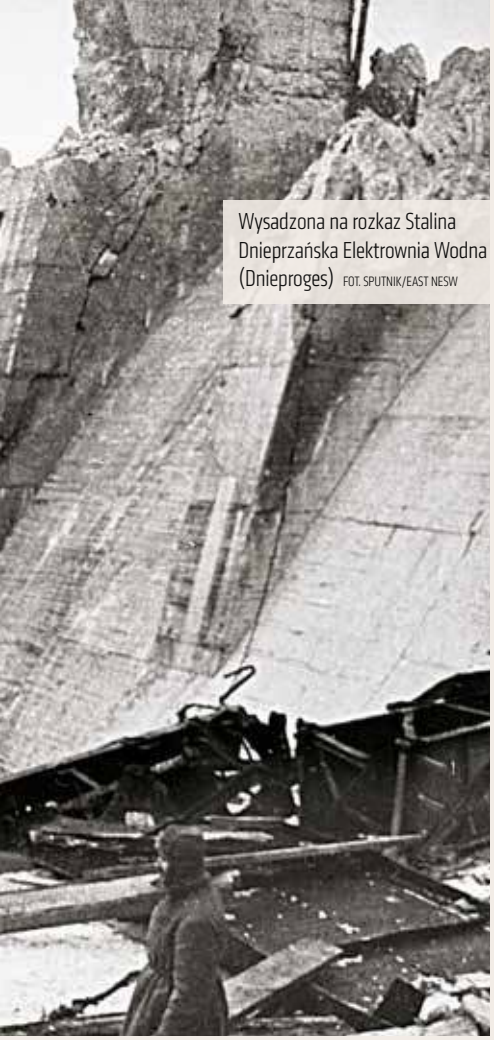

Wysadzona na rozkaz Stalina Dnieprzańska Elektrownia Wodna (Dnieproges) FOT. SPUTNIK/EAST NEWS

się do wielkiego głodu, który na samej Ukrainie przyniósł co najmniej 3–4 mln ofiar (w tym tamtejszych Polaków), a na pozostałym terytorium ZSRS – drugie tyle. Mimo to elektrownia oraz wyrosłe w okolicy wzorcowe miasto komunistyczne Zaporoże, ośrodek przemysłu ciężkiego, były dumą sowieckiego społeczeństwa. Zapora stała się celem wycieczek. Wśród imion dziewczynek w tych czasach pojawiło się nowe – Elektryfikacja.

22 czerwca 1941 r. hitlerowskie Niemcy napadły na dotychczasowego sojusznika. Nieprzygotowana do obrony Armia Czerwona cofała się, często w nieładzie. Początkowo nie napotykając większego oporu, wojska niemieckie parły szybko na wschód. W lipcu niemiecka Armia „Południe" dotarła pod Kijów, a na południu wraz z sojuszniczymi wojskami rumuńskimi zajęła Besarabię, Mołdawię i kontynuowała natarcie w kierunku Odessy i Dniepru. Na Kremlu podjęto decyzje o stosowaniu taktyki spalonej ziemi i przenoszeniu niezdobytych dotąd przez Niemców zakładów przemysłu ciężkiego i zbrojeniowego, zgrupowanych właśnie na zachodzie ZSRS, daleko w głąb kraju, na Ural. W tej sytuacji zapotrzebowanie na prąd z Dnieprogesu drastycznie malało, a jednocześnie sama elektrownia mogłaby być łakomym kąskiem dla Niemców. Jej los został przesądzony.

WIELE OFIAR

Na początku sierpnia lotnictwo Armii Czerwonej dostało rozkaz dostarczenia do Zaporoża materiałów wybuchowych. 15 sierpnia specjalny samolot dostarczył na miejsce ppłk. Borysa Epowa, sapera znanego z wysadzenia w 1931 r. największej prawosławnej świątyni na świecie – moskiewskiego soboru Chrystusa Króla. Wraz z dwoma asystentami i przydzielonym mu batalionem pod ochroną pułku NKWD rozmieścił ładunki. W międzyczasie unieruchomiono turbiny, celowo doprowadzając do ich przegrzania i samozniszczenia. Wieczorem 18 sierpnia, kiedy na prawym brzegu rzeki pojawiły się oddziały niemieckie, a pułk NKWD wycofał się na lewy brzeg, zgodnie z ustaleniami wywołano detonację. Wybuch zrobił w zaporze wyrwę długości 165 m, znacznie większą niż planowano, i spowodował natychmiastowe powstanie wielometrowej fali spiętrzonych wód uwolnionego Zbiornika Dnieprzańskiego. Rozszalały żywioł na swojej drodze zmiótł nie tylko nieliczne jeszcze oddziały niemieckie (według własnych szacunków Wehrmacht stracił 1,5 tys. żołnierzy), lecz także mnóstwo swoich – żołnierzy i cywilów, w tym mieszkańców niżej położonych dzielnic Zaporoża i wielu naddnieprzańskich wsi oraz licznych uciekinierów z terenów zajętych przez wroga. Różne opracowania mówią o 30–120 tys. ofiar poległych w ciągu godziny.

Jeden z ważniejszych korespondentów amerykańskiej prasy w Europie, H.R. Knickerbocker – laureat Nagrody Pulitzera, autor wywiadów m.in. z Mussolinim i z Keke Geladze, matką Stalina – pisał wówczas: „Rosjanie udowodnili teraz przez zniszczenie wielkiej tamy [...], że naprawdę chcą wypalić ziemię przed Hitlerem, nawet jeśli to oznacza destrukcję ich najcenniejszej własności [...]. Dnieprostroj [nazwa elektrowni w czasie budowy – przyp. P.G.] był niemalże obiektem czci dla Sowietów. Jego zniszczenie demonstruje wolę oporu, która przekracza wszelkie nasze wyobrażenia. [...] Tama na Dnieprze w momencie budowy była największą na świecie i jako taka zajmowała w wyobraźni i uczuciach sowieckiego narodu miejsce trudne dla nas do wyobrażenia [...]. Rozkaz Stalina, by ją wysadzić, znaczył dla Rosjan emocjonalnie więcej, niż dla nas znaczyłby rozkaz Roosevelta, by zniszczyć Kanał Panamski" („Is Tomorrow Hitler's? 200 Questions on the Battle of Mankind", 1941, tł. autora).

ŚCIŚLE TAJNE

To porównanie byłoby trafne, gdyby decyzja o poświęceniu elektrowni była jawna. Tymczasem stało się zupełnie inaczej. Ofiar było m.in. dlatego tak wiele, że o niczym nie wiedzieli ani zagrożeni cywile, ani nawet dowódcy wojsk operujących w okolicy. Osłona NKWD była tak szczelna, że sam Epow został ze swoimi asystentami doprowadzony do gen. Zaporożca, szefa wydziału politycznego Frontu Południowego, oskarżony o sabotaż i zdradę ojczyzny, odebrano mu broń i oddano w ręce oficerów kontrwywiadu wojskowego Smiersz, również niepoinformowanego o jego zadaniu. Przesłuchiwano go przez 10 dni, aż po interwencji Stalina został przeproszony, jak pisze we wspomnieniach, „doprowadzony do porządku" (po torturach) i zwolniony. 2 września wrócił samolotem do Moskwy.

Potem do śmierci Słońca Narodów jego rozkaz pozostawał tajny – utrzymywano, że Dnieproges zniszczył niemiecki nalot. Chruszczowowska odwilż przyniosła przyznanie faktu, że dumę ZSRS poświęcono w akcie własnego sabotażu, dokonanego, by uniemożliwić Niemcom przeprawę oraz potopić najeźdźców. Dopiero czasy Gorbaczowa i głasnosti dały szansę na przypomnienie własnych ofiar. Do dziś, choć to jedna z bardziej spektakularnych tragedii drugiej wojny światowej i jedna z większych katastrof hydrologicznych na świecie, pozostaje mało znana nie tylko u nas, lecz także nawet w Rosji i na Ukrainie.

Hydroelektrownia została odbudowana najpierw w 1942 r. przez Niemców, którzy załatali tamę i wmontowali własne turbiny, a potem, po ponownym uszkodzeniu przez sowieckie bombowce w 1943 r., powtórnie przywrócona do sprawności w 1950 r., z wykorzystaniem nowych generatorów, dostarczonych przez Amerykanów z General Electric. W latach 1969–1980 rozbudowano ją, dodając drugi blok energetyczny. Jest używana do dzisiaj. W 2016 r., zgodnie z przyjętymi rok wcześniej na Ukrainie ustawami dekomunizacyjnymi, usunięto z niej wszystkie symbole komunistyczne, a z jej nazwy usunięto człon „im. Włodzimierza Ilicza Lenina".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 39ee1bda30

FOT. JAN MOREK/PAP

Więcej wideo niż wideł

Z Wojciechem Przylipiakiem, dziennikarzem, kolekcjonerem i blogerem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Przełom ustrojowy w Polsce to czas pionierskich reklam telewizyjnych. Pierwszy był Prusakolep?

WOJCIECH PRZYLIPIAK: Prusakolep to jeszcze echa lat 80. Rynek telewizyjny zmienił się, kiedy pojawiły się pierwsze stacje prywatne, takie jak gdańska Sky Orunia, o której działalności opowiadają w mojej książce jej pracownice. To fantastyczny obraz amatorskiego, szalonego podejścia do telewizji. Pierwsze reklamy tamtej dekady były siermiężne, trochę w stylu gagu Wojciecha Manna i Krzysztofa Materny z kultowego „Za chwilę dalszy ciąg programu". Mann zamawiał reklamę, żeby „longo się obracało", a „pyknąć to w takim czasie, żeby mi »Dziennik« przerwali na to". W reklamach zaczęli grać znakomici aktorzy, Marek Kondrat zachwalał stoły bilardowe, Bogusław Linda polecał papierosy, Bernard Ładysz rekomendował bank. Hitem były reklamy z chwytliwymi hasłami, takimi jak „Ociec, prać?" (proszek) albo „Z pewną taką nieśmiałością" (podpaski).

To wtedy ulubionym gatunkiem telewidzów znad Wisły stała się telenowela?

W dużej mierze tak. Najpierw, w 1988 r., w telewizji pojawił się „tasiemiec" pt. „W labiryncie". Pionierska polska telenowela, w której zagrali m.in.: Jan Jankowski, Sławomira Łozińska, Piotr Skarga, Dariusz Kordek, Irena Karel, Leon Niemczyk, Wiesław Drzewicz i Sylwia Wysocka. Niemal dekadę później zadebiutował nadawany do dziś „Klan". Zwyciężył w konkursie TVP. Startowali w nim też „Złotopolscy" (i doczekali się realizacji) oraz „Zaklęta" (bez kontynuacji). Oglądając dziś pierwsze odcinki „Klanu", można zobaczyć, jak wtedy mieszkali Polacy z różnych warstw społecznych, z jakimi mierzyli się problemami. Wśród ważnych seriali tamtego okresu na pewno warto też wspomnieć „Ekstradycję" Wojciecha Wójcika. Szczególnie pierwszy sezon serii z supergliną Olgierdem Halskim (świetny Marek Kondrat) dobrze pokazuje problemy z przestępczością ówczesnej Polski. Ściąganie haraczy przez mafię, narkotyki, wojny gangów.

Panem domowego ogniska stawał się ten, kto przejął pilota. Zwłaszcza jeżeli dysponował telewizją satelitarną lub chociaż „kablówką"...

Telewizja satelitarna to również znak rozpoznawczy tamtego czasu. Pozwalała wyjrzeć poza nasz szary świat. Namiastkę tego, co można było obejrzeć z satelity, ukazał nadawany w TVP pod koniec lat 80. program „Bliżej świata". Na przełomie dekad balkony i dachy zaczęły okupować talerze do odbierania telewizji satelitarnej. Oczywiście sporą popularnością cieszyły się zagraniczne kanały nadające nocą kino dla dorosłych. Takie filmy puszczano też we wspomnianej już przeze mnie Sky Orunia, telewizji, którą na swoim osiedlu założył pasjonat naprawiający telewizory. Programy nadawano z jego pokoju albo z podwórka, pracownicy byli amatorami, codziennie zdarzały się wpadki, ale jednak niemal w całym Gdańsku cieszyła się ona ogromną popularnością. Podobne prywatne stacje działały w większości dużych miast.

eprasa.pl 39ee1bda30

Więcej wideo niż wideł, mawiano o polskiej wsi kilka lat po powrocie kapitalizmu. Kasety VHS zdominowały też życie mieszkańców naszych miast?

To na pewno jeden z symboli okresu transformacji ustrojowej. Mieszkania tych, którzy pierwsi mieli na osiedlu magnetowid, często zamieniały się w sąsiedzkie świetlice. Zrazu przywożono ten sprzęt z zagranicy albo kupowano w peweksach czy baltonach. Pojawiły się też modele produkowane w Polsce: Kasprzak, Diora. W roku 1994, według danych Głównego Urzędu Statystycznego, magnetowidami dysponowała już prawie połowa polskich gospodarstw domowych. Umiejscawiano je przy telewizorze – w centralnym miejscu dużego pokoju, obok stojących w szeregu kaset wideo. Oczywiście po nowości chodziło się do ich wypożyczalni. W książce zamieściłem opowieść właścicieli takiego przybytku z tamtej epoki. Bardzo szybko się dorobili, bo to był wtedy złoty interes. Emitowane na szklanych ekranach filmy często nagrywano na kasety, podobnie jak wszelkiego rodzaju uroczystości rodzinne, studniówki itp. Pod koniec lat 80. magnetowidy masowo trafiały do domów kultury, a nawet kin. W moim rodzinnym Słupsku, w kinie Milenium, utworzono specjalną salę – Anna – gdzie urządzano seanse wideo pod hasłem „Wideorama". Pokazy z nielegalnych kaset wideo organizowała też w swojej świetlicy miejscowa komenda policji!

„Muzyka z chodnika" – tak zwano prekursorów disco polo?

Polska muzyka w ogóle przechodziła wtedy złoty okres. Płyty poprockowych artystów sprzedawały się w 300 tys. egzemplarzy (uwzględniając wyłącznie legalne kopie). Narodziły się polski hip-hop i oczywiście disco polo. Choć de facto działało poza mainstreamem, nie licząc słynnego polsatowskiego programu „Disco Relax", gale piosenki chodnikowej, biesiadnej przyciągały do Sali Kongresowej w PKiN tłumy. Stadnie bawiono się też w dyskotekach na wsiach i w małych miasteczkach. Część z wykonawców, którzy wówczas artystycznie raczkowali, występuje do dziś. Tyle że disco polo funkcjonuje już w głównym nurcie rozrywki.

À propos nagrań. Słuchaliśmy ich w walkmanach? Kwitło „piractwo"?

Kaseta i piractwo – to kolejne wizytówki tamtej epoki. Piractwo było wszechobecne w każdej dziedzinie popkultury. Dopiero ustawa antypiracka z 1994 r., ale przede wszystkim rosnąca świadomość ludzi zaczęły to zmieniać. Na początku lat 90. przegrać album artysty na własną kasetę można było nawet w miejskiej bibliotece. Nikt wtedy nawet nie pomyślał, że to zabronione. Pomijając fakt, że oryginalne nośniki były po prostu wielokrotnie droższe od piratów.

Kaseta magnetofonowa dominowała w pierwszej połowie lat 90. Potem stopniowo wypierały ją płyty CD. Stąd rządził też walkman, a dopiero pod koniec dekady zastąpił go discman. Każdy z młodych ludzi chciał mieć przy pasku japoński z reguły sprzęt i własną składankę z ulubionymi numerami na kasecie. W książce przytaczam historię artystów, którzy na tym nośniku wydawali swoje płyty, ale też sprzedawców kaset. Opanowały one stragany na bazarach od Bałtyku do Tatr. Na Jarmarku Europa w Warszawie oczywiście także.

Zmiany w kulturze masowej szczególnie uwidaczniały się w repertuarach kin czy ofercie wydawniczej.

Kino polskie przeżywało ciężki czas ze względu na brak odpowiedniego finansowania i regulacji prawnych. Nowa ustawa o kinematografii weszła w życie dopiero w 2005 r. W kinach nie brakowało jednak swojskich hitów jak „Kiler" czy „Młode wilki". Chociaż zdarzały się też koszmarki, choćby „Wirus" z drewnianą aktorsko Pauliną Młynarską albo „Miasto prywatne" z Bogusławem Lindą i Maciejem Kozłowskim, pokazujące jednak wyimek ówczesnej rzeczywistości przestępczej.

Rynek wydawniczy też był bardzo dynamiczny. Zjawiali się wydawcy „znikąd". Nierzadko efemeryczni. Triumfy święciły harlequiny oraz proza sensacyjno-szpiegowska z takimi autorami jak Robert Ludlum, Frederik Forsyth, Jack Higgins, Ken Follett, John Grisham czy Alistair MacLean na czele. Na pewno bardzo zachłysnęliśmy się wtedy literaturą zagraniczną. A także książkami zakazanymi w Polsce Ludowej.

A czym przeciętny Polak kierował się w kwestiach, powiedzmy, tekstylnych?

Chcieliśmy wyglądać jak nasi rówieśnicy z Zachodu. A więc wszystko, co tamtejsze, także w ubiorze, wydawało nam się lepsze. Pamiętam swoje pierwsze kolorowe spodnie dresowe oraz buty Nike, które przywiozłem z Finlandii w 1988 r. Na podwórku wszyscy mi ich zazdrościli. W nowej rzeczywistości bardzo ciężko było się odnaleźć wielu krajowym przedsiębiorstwom konfekcyjnym. Rodziły się nowe marki, chociaż rynek wypełniły głównie ciuchy zagraniczne.

Z czego wynikała wzrastająca popularność konsumpcji „na mieście"?

Dotarłem do pracowników pierwszego McDonalda w Polsce. Do restauracji ich sieci chodziło się zdobyć jakiś gadżet, na randki, zrobić zdjęcie (oczywiście jeszcze nie telefonem). Dla klientów stanowiła kwintesencję kapitalizmu. Na otwarcie pierwszej w Warszawie placówki tego konsumpcyjnego giganta przybyły osobistości, a w mediach wydarzenie porównywano do wizyty prezydenta USA! Ale i Polacy usiłowali się dorobić na gastronomii. Powstawały rodzime biznesy fastfoodowe. Stały się szybką i często bolesną szkołą kapitalizmu.

Wprowadzane na rynek komputery i telefony komórkowe traktowano nieufnie?

Nie tyle nieufnie, ile po prostu większości z nas nie było na nie stać. Szczególnie dotyczy to komórek. Wczesne modele ważyły niemal tyle samo co cegła i miały zbliżone gabaryty. Kosztowały nawet kilka tysięcy dolarów! Charakteryzował je ograniczony zasięg, a za połączenie płacono krocie. Stąd mogli sobie na nie pozwolić jedynie bardzo majętni.

Komputery zaistniały już pod koniec PRL. W latach 90. towarzyszyła im dyskietka. Akcesoriami informatycznymi handlowano na giełdach, powstawały krajowe studia piszące gry komputerowe – chociażby niesamowitą superprodukcję pt. „Solidarność". W legalnej formie nigdy nie znalazła się w sprzedaży, lecz piracką wersję nadal można ściągnąć z Internetu. Pomysł ciągle robi wrażenie. Lata 90. nazywam okresem analogowym. Internet był dopiero noworodkiem, lecz wkrótce wchłonął całą popkulturę, która w większości przekształciła się w cyfrową.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wojciech Przylipiak – dziennikarz, kolekcjoner. Prowadzi bloga BufetPRL.com poświęconego minionej epoce. Miłośnik płyt winylowych. Autor książek „Czas wolny w PRL" oraz najnowszej: „Sex, disco i kasety video. Polska lat 90.".

eprasa.pl 39ee1bda30

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Komendant „Wariat”

Salomon Morel – jak wiadomo – był komendantem obozów w Świętochłowicach i Jaworznie. Zasłynął wówczas jako wyjątkowy sadysta. Znęcał się i okrutnie pastwił nad więźniami. To są wszystko sprawy dobrze znane. Mniej znane są natomiast inne epizody z kariery Morela w aparacie więziennictwa komunistycznej Polski.

Lukę tę wypełnia ciekawy tekst Anny Malinowskiej w nowym numerze „CzasyPisma”, magazynu IPN poświęconego historii Śląska. Po rozwiązaniu obozu Zgoda w Świętochłowicach Morel został skierowany do Opola, gdzie zajął stanowisko naczelnika więzienia. Czytając o jego tamtejszych dokonaniach, trudno oprzeć się wrażeniu, że był to człowiek o skłonnościach psychopatycznych.

„Rządy w Opolu zaczął twardą ręką – pisze Malinowska. – Wyzywał i poniewierał strażników, posuwał się nawet do rękoczynów”.

Morel lał swoich podwładnych po gębie, kopał ich, wyzywał od skur..-synów i chamów. Tych, którzy mu się przeciwstawiali, wyrzucał z posady. W więzieniu na fikcyjnym stanowisku zatrudnił swoją konkubinę, Wiesławę Sibielak. Pobierała ona pensje i „różne dodatki”, a nie stawiała się w pracy.

W efekcie Morel dostał „surową naganę” i został przeniesiony do pracy w więzieniu w Katowicach. Tam – w wypastowanych oficerkach – przemierzał korytarze i terroryzował więźniarki. Morel miał wówczas pseudonim Wariat. W ankiecie personalnej tak to tłumaczył: „Nazywano mnie wariatem, ponieważ byłem bardzo wesoły i wszystkich bawiłem”.

Mimo że jego przełożeni doskonale zdawali sobie sprawę z jego poczynań, Morel w 1946 r. otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Potem kolejne odznaczenia. Władzy ludowej nie przeszkadzały jego bestialskie metody. Wprost przeciwnie – uznała, że był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Żaden system totalitarny nie może się obyć bez podobnych zbirów.

W artykule znalazło się mnóstwo ciekawych szczegółów z życiorysu Morela. Choćby takich, że w trakcie okupacji rodziców Morela na posterunek zapędzili polscy chłopi, a na miejscu zastrzelił ich granatowy policjant. Albo takich, że Morel na Śląsku stał się fanatycznym kibicem… Ruchu Chorzów. ©℗

★★★★★★

RED. ADAM DZIUROK
„CZASYPISMO” 1 (19)/2021
IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Czego chciał uniknąć Śmigły?

Kontynuując rozważania z zeszłego tygodnia, warto zauważyć, że nasz narodowy charakter nakazuje walczyć do końca, a w przypadku klęski wskazana jest śmierć dowódcy na polu bitwy. Zapomina się jednak, że rolą Naczelnego Wodza jest troska o państwo i swoich podwładnych, a dzieje Europy i Polski notowały już przypadki opuszczenia kraju przez głównodowodzącego na czele armii i nikt nie podnosił zarzutu zdrady. Po klęsce Napoleona w Rosji z terenu Księstwa Warszawskiego wycofał się z podległymi wojskami książę Józef Poniatowski, by dalej walczyć u boku Bonapartego. Z kolei w 1915 r. armia serbska wraz ze swoim Naczelnym Wodzem, księciem regentem Aleksandrem Karadziordziewiciem, opuściła rodzinny kraj, by przez Albanię dotrzeć do Grecji. W całej Europie uznano to za najzupełniej naturalne – serbski wódz ratował w ten sposób swoje oddziały, na których czele trzy lata później powrócił do kraju. Rolą Naczelnego Wodza jest faktycznie walka do końca, ale także u boku sprzymierzeńców.

Tak też postępował Śmigły, gdyż dodatkowo obawiał się, że wiadomość o sowieckiej agresji spowoduje, iż polskie wojska pójdą w rozsypkę. Miał rację, gdyż walczący dotychczas żołnierze masowo porzucali broń i rozchodzili się do domów. Powszechnie uznawano, że wojna została przegrana i nie ma już o co walczyć, a tym bardziej ginąć. Z tego też powodu straciło impet polskie uderzenie pod Tomaszowem Lubelskim, rozsypała się obrona Gdyni, a płk Stanisław Dąbek, opuszczony przez własnych żołnierzy, 19 września 1939 r. popełnił samobójstwo na Kępie Oksywskiej.

Z kolei gen. Sosnkowskiemu wyprowadzającemu swoje oddziały z niemieckiego okrążenia doręczono odezwę „zrzuconą przez samoloty krążące nad Lwowem i jego okolicami”. Jej treść była jednoznaczna: Niemcy wzywali Polaków do kapitulacji, gdyż „sprzymierzone armie sowieckie zbliżały się od wschodu pod mury miasta”. Po południu trwał jeszcze „skupiony ogień naszych ciężkich i lekkich haubic”, dzięki czemu Polakom udało „zniszczyć niemieckie pozycje, zagradzając drogę do Lwowa”. Niestety, wieczorem przy generale pozostało już tylko „tysiąc mniej więcej bagnetów”, a o północy jego wojska liczyły „niewiele więcej ponad 500 ludzi”. Kilka godzin później polscy dowódcy weszli do jakiegoś domostwa, by zastanowić się nad dalszym marszem, a gdy wyszli, okazało się, że „w miejscu, gdzie przed wejściem do chaty zostawili kolumnę, nikogo już nie było”. Gdy zapadał zmierzch, z wojsk gen. Sosnkowskiego pozostały cztery osoby. Tego właśnie chciał uniknąć Śmigły. ©℗

eprasa.pl 39ee1bda30

PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA
IDEOLOGIA LGBT

DODATEK SPECJALNY – część 9

Ideologia LGBT

Gender – projekt nowego człowieka?

- Rodzina, czyli ostatni bastion kontrrewolucji
- Nowomowa gender
- Tęczowe eksperymenty na dzieciach

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 39ee1bda30

WSTĘP

Rewolucja obliczona na lata

TOMASZ D. KOLANEK

Coraz częściej dochodzę do wniosku, że trwająca od wielu lat rewolucja LGBT to tylko pewien etap dużo większego przewrotu cywilizacyjnego, jaki dokonuje się na naszych oczach. Jaki jednak będzie ostateczny finał „tęczowego" spektaklu? Obowiązkowy homoseksualizm? Depopulacja? Transhumanizm? Tego prawdopodobnie nie wie nikt, włącznie z samymi rewolucjonistami. Powód jest prosty – w rewolucji nigdy nie ma czegoś takiego jak ostateczny cel. Tak było podczas rewolucji Marcina Lutra, tak było podczas rewolucji francuskiej, tak było we wszystkich odmianach – od sowieckiej do kambodżańskiej – rewolucji komunistycznej. Tak niestety jest i teraz.

Na przełomie XVII i XVIII w. Joseph de Maistre pisał, iż „historia uczy nas, że rewolucje rozpoczęte przez najmądrzejszych ludzi zawsze kończyli szaleńcy". Tak było chociażby w 1789 r., kiedy to „obóz rozsądku i umiarkowania", jak przedstawiali się początkowo jakobini, zażądał „tylko" monarchii konstytucyjnej, modernizacji systemu podatkowego, zniesienia cenzury etc. Bardzo szybko rozsądek i umiarkowanie zostały wyparte przez radykalizm, a wszystkie piękne hasła o wolności wyrzucono do kosza. Jedynym pewnikiem był fakt, że „obywatelka gilotyna przytuli każdego", z samym ojcem rewolucji Maximilienem de Robespierre'em.

Dlaczego o tym piszę? Ponieważ ten mechanizm wciąż działa. „Obywatelka gilotyna" na szczęście odeszła w zapomnienie, ale sam schemat rewolucji, czyli od „rozsądku i umiarkowania" do coraz bardziej postępującego radykalizmu, nadal obowiązuje w trwającej wojnie płci.

Ludzie, którzy za swój cel obrali budowę „nowego, wspaniałego świata" ze snów Karola Marksa, nie mówili przecież na początku o 250 płciach. Nie! Oni powoli, stopniowo, ale bardzo głośno mówili najpierw, że przedstawicielki płci pięknej są zniewalane i dyskryminowane, a jedynym ratunkiem dla nich jest feminizm, który początkowo ograniczał się do dwóch postulatów: porzucenia przez kobiety macierzyństwa i podjęcia przez nie pracy zarobkowej albo wręcz zmuszenia ich do niej. Wiele kobiet uwierzyło w tę narrację, aż w końcu stała się ona de facto obowiązująca, po czym ewoluowała w coraz bardziej radykalne formy.

Po „wyzwoleniu kobiet" rozpoczął się atak na małżeństwo i rodzinę. Działo się to w myśl tego, co ogłosił „komunista we fraku" – Fryderyk Engels. Jego zdaniem rodzina, a w szczególności małżeństwo były miejscem wszelkiego wyzysku i ucisku kobiety. W związku z tym pod hasłem rzekomego „wyzwolenia kobiet" rozpoczęto proces przepoczwarzania „rodzin tradycyjnych" w „rodziny nowoczesne", w których dziecko traktuje się jako „coś" złego, „coś" niechcianego i „coś" narzuconego; sensem życia jest robienie kariery, a dochowanie wierności traktuje się jak zabobon i przejaw ciemnogrodu.

Przesadzam? Nie! Piszę bowiem te słowa w momencie, kiedy w mediach lewicowo-liberalnych pozytywnie nastawionych do subkultury LGBT ma miejsce wysyp artykułów, które opowiadają o „rodzicach, którzy żałują, że mają dzieci", a jest takich w Polsce podobno całkiem sporo. Część z nich przyznaje na przykład, że decyzja o potomstwie została podjęta zbyt wcześnie; że nie wiedzieli, iż w rzeczywistości nie są gotowi na dziecko; że dziecko pokrzyżowało ich plany związane z pracą, wakacjami bądź inną sferą życia. Czy czują Państwo ten paradoks? Kiedyś media opisywały dramaty małżonków, którzy robią, co w ich mocy, żeby mieć dziecko, a mimo to nie udaje im się zajść w ciążę. Obecnie wajcha została przestawiona i jako dramat przedstawia się posiadanie dziecka…

Wróćmy jednak do kwestii rewolucji. Nie będzie żadnym wielkim odkryciem stwierdzenie, że kolejnym etapem tego wielkiego przewrotu antropogenicznego jest trwający atak na tożsamość człowieka, czyli rewolucja LGBT będąca spełnieniem marzeń Altiero Spinellego. Ten guru dzisiejszej lewicy pisał wprost w „Manifeście z Ventotene", że należy zlikwidować historyczne narody, bo te generują same problemy. Najlepszym sposobem na ich usunięcie jest rozbicie więzi społecznych, polaryzacja i atomizacja obywateli.

Najgorsze w tym wszystkim jest jednak to, że ludzie, którzy dali się uwieść „tęczowej propagandzie", bardzo często nie zdają sobie sprawy, że tak naprawdę w każdej chwili mogą stać się „wrogami rewolucji". Taki los już spotkał część tych, którzy byli przekonani, że w całym tym zamieszaniu chodzi tylko o to, żeby homoseksualiści „mogli odwiedzać się w szpitalach" albo „dziedziczyć po sobie". Niedawno wrogiem rewolucji był przez chwilę sam Jan Hartman, który nie wykazał się odpowiednim radykalizmem w sprawie „Margota". Skoro Hartman o mały włos nie został wypluty przez młyny rewolucji, to dlaczego podobny los nie miałby spotkać innych, którzy niedostatecznie popierają hasła i dążenia rewolucjonistów LGBT?

My jednak nie bądźmy wówczas jak rewolucjoniści. Wyciągnijmy do nich rękę, pomóżmy im, porozmawiajmy, pokażmy prawdę, a nie generujmy tylko emocje. Jak to konkretnie zrobić? Odpowiedzi znajdą Państwo w specjalnym dodatku tygodnika „Do Rzeczy". Życzymy owocnej lektury! ©℗

eprasa.pl 39ee1bda30

Awangarda, urbanistyka i rewolucja antropologiczna

Grzegorz Kucharczyk

Każda rewolucja to – jak pisał kard. Wyszyński – „zorganizowane barbarzyństwo". Potwierdza to historia kolejnych przewrotów rewolucyjnych, w tym tego spod znaku LGBT

W opublikowanej w 1938 r. książce „Inteligencja w straży przedniej komunizmu" ks. dr Stefan Wyszyński zauważył, że „rewolucja nigdy nie jest zjawiskiem nieoczekiwanym, czymś nieprzewidzianym, nagłym; jej zbliżanie się można poznać po pewnych znakach ją poprzedzających. Rewolucja jest zorganizowanym barbarzyństwem, do którego tak łatwo się nie schodzi, jeśli przedtem długotrwała praca rozkładowa nie dokona ewolucji wewnętrznej w dół. Ten proces może być powstrzymany tylko wtedy, gdy siłom rozkładowym przeciwstawi się całe społeczeństwo mocą swego zdrowego ducha". Chociaż zacytowane słowa przyszłego prymasa Polski bezpośrednio odnosiły się do rewolucji komunistycznej, to przecież opisane rozpoznanie procesu rewolucyjnego jest uniwersalne i odnosi się do różnych prądów intelektualnych i politycznych wymierzonych w podstawy cywilizacji słusznie nazywanej „produktem ubocznym ewangelizacyjnej pracy Kościoła"; w tym także do rewolucji pod tęczowopodobną flagą.

„AURA PRZYZWOITOŚCI" REWOLUCYJNYCH HASEŁ

Ksiądz Wyszyński pisał o „znakach poprzedzających" rewolucję. Trzeba w tym kontekście przywołać spostrzeżenie Gilberta K. Chestertona, który zauważył, że „ilekroć ktoś rozpoczyna wojnę przeciw temu, co normalni ludzie uznają za przyzwoite, pierwszy krok polega na tym, żeby ukuć hasło, roztaczające aurę przyzwoitości". Nastawiony rewolucyjnie ks. Marcin Luter bunt przeciw Kościołowi nazywał „służbą na rzecz czystej Ewangelii". W imię tego hasła odrzucił Mszę Świętą i wszystkie pozostałe (z wyjątkiem chrztu) sakramenty, ocenzurował Pismo Święte, a w swoim osobistym życiu czystość praktykował w związku z byłą zakonnicą Katarzyną von Bora.

Zmierzający do rewolucyjnego przemeblowania świata oświeceniowi „filozofowie" i przywódcy przewrotu, który rozpoczął się w 1789 r., posługiwali się hasłami o „wieku świateł", „rządach cnoty", „republice jako żarliwej wspólnocie". W imię tych haseł dokonano pierwszego w dziejach nowożytnej Europy ludobójstwa (Wandea), prowadzono agresywne wojny na zewnątrz (towarzyszyło temu kolejne wzniosłe hasło: „Pokój chatom, wojna pałacom") i dewastowano materialne dziedzictwo Francji królewskiej i katolickiej (pod hasłem walki z „zabobonem i fanatyzmem").

Twórcy rewolucyjnych „wojen o kulturę" (kulturkampf) w XIX w. posługiwali się z kolei hasłem „Wolny Kościół w wolnym państwie". W praktyce oznaczało to natychmiastową konfiskatę kościelnych nieruchomości, wypchnięcie Kościoła z publicznego systemu edukacji, dyskryminację szkolnictwa katolickiego, usuwanie „niesłusznych" zakonów, próby sterowania przez laickie państwo systemem formacji seminaryjnej. „Wolny Kościół w wolnym państwie" oznaczał tzw. inwentaryzowanie zawartości tabernakulów przez francuską policję w latach 1907–1908 w ramach implementacji uchwalonej w 1905 r. modelowej ustawy o „rozdziale Kościoła od państwa".

Twórcy XX-wiecznych totalitarnych państw „nowego typu" (bolszewicki Związek Sowiecki czy narodowosocjalistyczna Rzesza Niemiecka), które były zinstytucjonalizowanymi formami rewolucji, mówili o „wyzwoleniu proletariatu", „przebudzeniu narodu", a wszystko to z „naukową" pewnością. W ten sposób rozpoczynano drogę na Kołymę i do Auschwitz.

W przypadku rewolucji LGBT mamy do czynienia z całym konglomeratem „haseł roztaczających aurę przyzwoitości". Słyszymy więc o „równouprawnieniu", „równości", „różnorodności". Chodzi przecież o to, żeby „lubić ludzi", „szanować inność", być „po prostu fajnym i nowoczesnym". Biada zaś cukiernikom, którzy nie będą chcieli przygotować tortu na weselne przyjęcie po „ślubie" pary jednopłciowej, albo florystom, którzy odmówią przygotowania bukietu ślubnego na podobną uroczystość. Nowy sens słowa „tolerancja" i „inkluzywność" poznają na swojej skórze również katolickie agencje adopcyjne, które nie będą chciały uczestniczyć w procederze przekazywania dzieci

eprasa.pl 39ee1bda30

do adopcji dla „małżeństw jednopłciowych".

SŁOWA JAK WOSK I RYTUAŁY POGARDY

Zygmunt Krasiński, kreśląc w „Nie-Boskiej komedii" postać Pankracego, nowego typu rewolucjonisty, pisał, że „słowa dla niego jak wosk w ręku". Jakby przewidział czasy, gdy słowa „tolerancja" (a de facto afirmacja) czy „równouprawnienie" (czyli uprzywilejowanie) będą uzasadnieniem dla forsowania rewolucyjnej agendy.

Jak z „woskiem w ręku" obeszło się w czerwcu 2015 r. pięciu sędziów amerykańskiego Sądu Najwyższego z definicją małżeństwa. Zrównano je ze „wspólnym dążeniem do szczęścia" (prawo gwarantowane przez konstytucję każdemu amerykańskiemu obywatelowi). A na tej drodze – jak ujęto to w pisemnym orzeczeniu większości, która przesądziła sześć lat temu o zalegalizowaniu „małżeństw jednopłciowych" w USA na poziomie federalnym – mogą podążać ludzie bez względu na płeć. Jak zauważyli czterej inni sędziowie w swoich zdaniach odrębnych (m.in. śp. Antonin Scalia), oznacza to możliwość legalizacji w przyszłości bigamii lub zoofilii. Dlaczego bowiem można podążać do szczęścia tylko we dwoje albo bez swojego ulubionego psa lub kota?

Trafność spostrzeżenia ks. dr. Wyszyńskiego o rewolucji jako „zorganizowanym barbarzyństwie" potwierdza historia kolejnych przewrotów rewolucyjnych. W czasie reformacji protestanckiej antykatolickiemu wandalizmowi towarzyszyły misternie obmyślane i pieczołowicie realizowane „rytuały pogardy" wobec „papistowskich zabobonów", jak określano katolicką Mszę Świętą albo kult świętych, przede wszystkim kult maryjny. Podobnie było w okresie rewolucji francuskiej, gdy uczestnicy republikańskiej „żarliwej wspólnoty" przebierali osły w kapłańskie ornaty pochodzące ze zrabowanych kościołów, a następnie karmili te zwierzęta konsekrowanymi hostiami ze zniszczonych tabernakulów. W podobny sposób postępowali bolszewicy, którzy w swojej „zastygłej nienawiści" (T.S. Eliot) umieszczali chrześcijaństwo jako eksponat muzealny, dziwowisko do oglądania przez wycieczki szkolne. Z kolei w narodowosocjalistycznej Rzeszy Niemieckiej, zwłaszcza po 1937 r. (po opublikowaniu przez Piusa XI antyhitlerowskiej encykliki „Mit brennender Sorge"), prasa NSDAP prześcigała się w szkalowaniu katolickiego duchowieństwa i wyśmiewaniu katolickiego kultu.

FOT. ADOBE STOCK

Każdy obserwator przechodzących przez nasze miasta i zachodnie metropolie „marszów równości", coraz częściej nazywanych „marszami dumy", w czasie których bluźniercze parodie Mszy Świętej i najświętszych dla chrześcijan postaci są już rytuałem, dobrze wie, że w tym przypadku mówienie o „zorganizowanym barbarzyństwie" nie jest żadną przesadą.

INTELEKTUALNA „EWOLUCJA W DÓŁ"

Jak pisał w 1938 r. przyszły prymas Polski, tego typu ekscesy poprzedzone

eprasa.pl 39ee1bda30

są „długotrwałą pracą rozkładową", postępującą „ewolucją wewnętrzną w dół". W tym kontekście należy zwrócić uwagę na rolę idei. Wszak to idee mają długofalowe konsekwencje. Bez nominalizmu nie byłoby teologii i eklezjologii Marcina Lutra, bez pism Rousseau i Woltera nie byłoby rewolucji francuskiej, Karol Marks był intelektualnym ojcem przewrotu bolszewickiego, a pogański niemiecki volkizm (radykalny nacjonalizm) walnie przyczynił się do powstania narodowego socjalizmu.

W przypadku rewolucji LGBT można mówić o obowiązywaniu rewolucyjnego paradygmatu tzw. pokolenia 1968 r. ukształtowanego przez neomarksistowskich myślicieli „nowej lewicy". Chodzi o „projekt człowieka, który jest sam dla siebie punktem odniesienia, człowieka wykorzenionego, pozbawionego wszystkich więzi i form przynależności, nieuznającego żadnego długu wobec dziedzictwa, które otrzymał" (M. Bock-Cote).

Demokracja praktykowana w takich filozoficznych ramach jest „nieustannym wysiłkiem dekonstrukcji". Już kilkadziesiąt lat temu Herbert Marcuse – intelektualny guru „pokolenia '68" – pisał na kartach „Człowieka jednowymiarowego", że „pod konserwatywną podstawą ludową znajduje się substrat odmieńców i outsiderów". Oto nowy proletariat „nowej lewicy". W tym kontekście można określać „marsze równości" jako współczesną odmianę pochodów pierwszomajowych, czyli ulicznej wizualizacji rewolucyjnej awangardy wymierzonej w świat „dziadersów".

BO MOC TO DUCH

Każdy prąd intelektualny jest jednak emanacją głębszej jeszcze rzeczywistości duchowej. Ta zaś w naszych czasach jest naznaczona, jak zauważa francuska filozof Chantal Delsol, „uznaniem czucia za jedyne kryterium godności [człowieka]". Pojęcie grzechu znika, a zło utożsamiane jest ze złą dolą. Zło zostaje dziś sprowadzone do tego, co wywołuje odczuwalne cierpienie. Nie interesuje nas już zatem zło, lecz nieszczęście. […] Grzech nie istnieje już jako naruszenie jakiegoś moralnego dogmatu, a jedynie jako cierpienie zadawane innemu człowiekowi". Dodajmy, że „cierpienie" to może przybrać formę „odmawiania podążania za swoim szczęściem" w ramach tzw. małżeństwa jednopłciowego (por. nową definicję małżeństwa pięciu amerykańskich sędziów) albo szerzej – „atmosfery wykluczenia" wytwarzanej przez dominujące „maskulinistyczno-patriarchalne" wzorce kulturowe.

W ostatecznym rozrachunku chodzi więc o ducha. Odzyskanie jego „zdrowej mocy", pozostając przy rozpoznaniu ks. dr. Wyszyńskiego, jest najlepszym antidotum na rewolucyjne zagrożenie. Jeśli moc ducha szwankuje w Kościele, źródle cywilizacji atakowanej przez kolejne rewolucje, to architekci „nowego wspaniałego świata" mają przed sobą szerokie perspektywy. Nic tak nie sprzyja rewolucji jak próba konstrukcji chrześcijaństwa bez Krzyża, oderwania miłosierdzia od prawdy, przeciwstawienia „rygoryzmu doktryny" „duszpasterskiemu towarzyszeniu".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 39ee1bda30

Rafał Dorosiński

Żądanie określania związków jednopłciowych mianem małżeństwa jest objawem kryzysu tej instytucji. Potrzebujemy więc wzmocnienia małżeństw, czyli dobrej polityki rodzinnej

Rodzina – ostatni bastion kontrrewolucji?

eprasa.pl 39ee1bda30

FOT. ADOBE STOCK

Działając na rzecz obrony rodziny przed ofensywą ideologii LGBT, nie powinniśmy zapominać, że sukcesy aktywistów LGBT nie byłyby możliwe bez wcześniejszego kryzysu małżeństwa. Sami zresztą nam o tym przypominają, na co już w 2010 r. zwrócił uwagę Europejski Trybunał Praw Człowieka w ważnym wyroku dotyczącym instytucjonalizacji związków jednopłciowych (sprawa Schalk and Kopf przeciwko Austrii), pisząc: „Strona powodowa dowodzi, że […] w konsekwencji zasadniczych zmian, jakim uległa instytucja małżeństwa, nie ma już żadnego powodu, by parom jednopłciowym odmawiać do niej dostępu". O tym, jakie to zmiany, pisał chociażby Andrew Sullivan, jeden z protoplastów ruchu sześciobarwnej flagi, wskazując: „Heteroseksualny świat przelotnych związków bez zobowiązań, ze wskaźnikiem rozwodów na poziomie 50 proc. był tym, co poprzedziło homoseksualne małżeństwo". Żądanie określania związków jednopłciowych mianem małżeństwa jest więc nie tyle (albo nie tylko) przyczyną, co objawem kryzysu tej instytucji.

Płynie z tego następujący wniosek: pierwszym i podstawowym sposobem obrony przed dalszym dekonstruowaniem małżeństwa jest ograniczenie negatywnych trendów erodujących rodzinę, takich jak plaga rozwodów, rosnąca liczba urodzeń pozamałżeńskich czy spadające wskaźniki zawieranych małżeństw. Wszystko to wymaga podjęcia kompleksowych działań głęboko reformujących prawo i politykę społeczną. Drugim jest oczywiście o(d)pór wobec nacisków międzynarodowych instytucji oraz grup lobbingowych LGBT i ich krajowych filii.

Centralnym wyzwaniem w pierwszym z powyższych obszarów jest nakreślenie i wdrożenie skutecznej polityki rodzinnej. Powinna ona opierać się na trzech filarach, obejmując, po pierwsze, ochronę małżeństwa, po drugie, politykę społeczną i gospodarczą nakierowaną na dobro rodziny oraz po trzecie, prawa rodziców i dobro dzieci.

Rozpad małżeństwa m.in. negatywnie wpływa na wskaźniki dzietności (kobiety chętniej rodzą dzieci, gdy mają męża, niż wtedy, gdy mieszkają z konkubentem, co wynika m.in. z wyraźnej różnicy w stabilności obu typów związków), wzrost patologii społecznych czy problemów ze zdrowiem rozwiedzionych małżonków oraz trudności w rozwoju ich dzieci. Niestety, ochrona małżeństwa to w polskiej polityce domena bardziej retoryki niż faktycznego działania. Być może wynika to z defetyzmu i przekonania o nieuchronności negatywnych trendów dotykających małżeństwo. Nic bardziej mylnego. Kondycję małżeństwa determinuje konkretna polityka społeczna. Pokazuje to przykład Węgier i innych państw, w których dzięki zmianom prawnym w ostatnich latach znacznie wzrosła liczba zawieranych małżeństw i spadła liczba rozwodów.

POMOC, ALE DLA MAŁŻEŃSTW

W Polsce niestety prawo nie tylko nie zachęca do zawarcia związku małżeńskiego, lecz także w wielu przypadkach wręcz je dyskryminuje, dając przywileje konkubinatom. Przykładem niech będzie brak weryfikacji oświadczeń o samotnym wychowywaniu dziecka składanych przy rekrutacji do przedszkoli czy brak możliwości wspólnego rozliczenia podatków małżonków z dzieckiem. Do tego polskie prawo oferuje jedną z najprostszych w Europie procedur rozwodowych. A przecież ogromnej części rozwodów można uniknąć, umożliwiając małżonkom podjęcie refleksji. Aż 30 proc. rozwodników jest zdania, że ich małżeństwo można było uratować. Stąd wskazane byłoby przywrócenie obowiązkowego posiedzenia pojednawczego, które funkcjonowało w polskim porządku prawnym do 2005 r. Dzięki temu rozwiązaniu małżonkowie mieli możliwość przemyślenia decyzji i pojednania się na neutralnym gruncie. Zamiast niego wprowadzono możliwość skorzystania z nieobowiązkowych, a do tego odpłatnych mediacji, które w konsekwencji są rzadko stosowane. Co więcej, Polska jest jednym z nielicznych krajów w Europie, gdzie nie istnieje obowiązkowy okres separacji poprzedzający rozwód. W bardzo wielu państwach naszego kontynentu trwa on kilka miesięcy, a w niektórych nawet kilka lat. Często towarzyszy mu przekazanie rzetelnych informacji na temat skutków rozpadu małżeństwa. Tu także wskazana byłaby inicjatywa polskiego ustawodawcy.

Z kolei wzrost liczby zawieranych małżeństw, jak uczą doświadczenia zagraniczne, jest konsekwencją faktycznego utożsamienia polityki prorodzinnej z promałżeńską. Na Węgrzech wprowadzono m.in. ulgę podatkową dla małżeństw i nieoprocentowany kredyt na kwotę 37 tys. dol., częściowo spłacany ze środków publicznych w przypadku urodzenia dzieci, a po urodzeniu trojga dzieci spłacany przez państwo w całości. Równolegle prowadzona była przez rząd i organizacje społeczne szeroka kampania promująca małżeństwo. W Polsce niestety właściwie żaden z instrumentów prorodzinnych wprowadzonych w ostatnich latach nie został w jakikolwiek sposób powiązany ze stanem

eprasa.pl 39ee1bda30

cywilnym. W efekcie nad Wisłą liczba zawieranych małżeństw spada, a Węgry, choć jeszcze kilka lat temu znajdowały się pod tym względem w ogonie Europy, weszły do pierwszej trójki państw, w których na tysiąc mieszkańców przypada najwięcej małżeństw!

BON WYCHOWAWCZY

Przejdźmy do polityki społecznej i gospodarczej. Tu w pierwszej kolejności potrzeba docenienia pracy wykonywanej przez rodziców. Koszty i czas poświęcone na wychowanie dzieci wciąż są bowiem traktowane w systemie podatkowym i emerytalnym jako bierność zawodowa. Odrębną sprawą jest opieka nad dziećmi między pierwszym a trzecim rokiem życia. Obecnie wspierany jest rozwój praktycznie wyłącznie żłobków. Tymczasem pożądane byłoby stworzenie realnej możliwości wyboru formy opieki nad dzieckiem poprzez osobne dofinansowanie, np. poprzez bon wychowawczy, form opieki innych niż kolektywne (tzn. opieki sprawowanej np. osobiście przez matkę, przez babcię lub opiekunkę). W przeciwnym wypadku to kalkulacja finansowa rozstrzyga o posłaniu dziecka do żłobka, a nie faktyczne preferencje rodziców.

Z kolei w ramach trzeciego filaru – praw rodziców i dobra dzieci – ideolodzy LGBT za kluczowy teren swojej działalności uznali szkolnictwo. Ich taktykę najlepiej oddają nagrane przez dziennikarza śledczego słowa jednej z seksedukatorek, która powiedziała o technice dotarcia do dzieci: „Może powiem brzydko, ale trzeba trochę podstępem". W praktyce oznacza to m.in. przemycanie kontrowersyjnych treści w ramach zajęć o niewinnie brzmiących nazwach, takich jak zajęcia czy warsztaty antydyskryminacyjne. Tymczasem fundamentalnym elementem „edukacji antydyskryminacyjnej" jest ideologia gender – jak informuje publikacja Towarzystwa Edukacji Antydyskryminacyjnej, warunkiem uzyskania statusu certyfikowanego trenera edukacji antydyskryminacyjnej jest ukończenie „warsztatu lub treningu genderowego". Inny „podstęp" polega na wykorzystaniu zajęć mających służyć „edukacji zdrowotnej", takich jak, przykładowo, „Zdrovve Love" forsowany w Gdańsku, do instruowania dzieci o „prawach seksualnych", „transseksualizmie", „transpłciowości", „płci społeczno-kulturowej", „rolach płciowych" czy „cispłciowości", co z ochroną zdrowia nie ma przecież nic wspólnego. Konieczne jest więc wzmocnienie możliwości korzystania przez rodziców z ich konstytucyjnego prawa do wychowania dzieci. Inicjatywa zmiany przepisów prawa oświatowego podjęta przez ministra edukacji Przemysława Czarnka wydaje się dobrym punktem wyjścia do dyskusji na ten temat.

Jak widać, kluczowe regulacje prawne, na których opiera się polityka rodzinna Polski, wymagają głębokich reform. Ich przeprowadzenie jest konieczne, jeśli chcemy być w stanie oprzeć się w dłuższej perspektywie ostrzałowi kłamstw i nacisków z zewnątrz.

DAĆ ODPÓR PRESJI

A jest ich przecież coraz więcej. Zaczynając już na poziomie podstawowych sądów o naturze człowieka, próbuje się nas przekonywać, że „nie ma znaczenia, kto wychowuje dziecko, ważne, by było bezpieczne i kochane", podczas gdy dziecko właśnie w rodzinie opartej na małżeństwie jego biologicznych rodziców ma największe szanse być bezpiecznym i kochanym. Mówiąc najkrócej, małżeństwo kobiety i mężczyzny stanowi niezastępowalny wzorzec relacji owocujący najlepszym psychofizycznym i emocjonalnym zdrowiem dziecka i jego najpełniejszym rozwojem.

W ślad za zniekształcaniem podstawowych pojęć, takich jak małżeństwo czy rodzicielstwo, idzie zniesławianie jako „homofobicznych" krajów zbyt opieszale realizujących żądania radykalnego lobby. Tego rodzaju oskarżenia, jak wykazał raport Ordo Iuris „Sytuacja społeczna i prawna osób o skłonnościach homoseksualnych lub doświadczających zaburzeń tożsamości płciowej w Polsce", nie mają jednak żadnego oparcia w faktach.

Za kłamstwem podąża presja międzynarodowa. Naciski międzynarodowych instytucji okazują się chyba największym niebezpieczeństwem dla polskiego porządku prawnego afirmującego prawdziwą naturę małżeństwa. Wymienić tu trzeba z jednej strony Komisję Europejską wydającą takie dokumenty jak „Lista działań w sprawie praw osób LGBT" czy „Strategia równości LGBT". Z drugiej Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu, coraz częściej przychylający się do oczekiwań radykalnych grup należących do Międzynarodowego Stowarzyszenia Lesbijek i Gejów (ILGA) – organizacji współfinansowanej przez Komisję Europejską.

W efekcie w Strasburgu wydawane są wyroki zmuszające państwa do rejestrowania homoseksualnych konkubinatów i uznania tych, które zostały zarejestrowane za granicą. Jako uzasadnienie Trybunał często wskazuje ponoć niewystarczającą jednoznaczność krajowych przepisów i wyroków sądowych. Dlatego aktywiści LGBT robią wszystko, by wprowadzić do polskiego porządku prawnego jak najwięcej wyłomów i na drodze sądowych precedensów doprowadzić do uznania w Polsce skutków zawartych w innych krajach układów jednopłciowych. Najpierw próbowali wprowadzić możliwość wpisywania do aktu urodzenia jako rodziców dwóch kobiet lub dwóch mężczyzn. Naczelny Sąd Administracyjny w wyroku z 2 grudnia 2019 r. uznał, że roszczenia aktywistów LGBT są sprzeczne z prawem oraz zmierzają do utrwalania fałszywych informacji o pochodzeniu dziecka, które zostałoby pozbawione prawa do wiedzy o swym rzeczywistym pochodzeniu. Sąd wskazał także, że żadne dziecko nie będzie wskutek odmowy transkrypcji aktu urodzenia pozbawione prawa do uzyskania polskiego obywatelstwa, numeru PESEL czy paszportu. Gdy sześciobarwni działacze przegrali bitwę o fałszowanie aktów urodzenia, otworzyli nowy front, żądając wpisania nieprawdy w dowodach osobistych. Wpisanie jako rodziców osób tej samej płci de facto oznaczać będzie przyznanie im kompetencji rodzicielskich.

Aby do tego nie dopuścić, Sejm powinien dokonać odpowiedniej zmiany prawa. Do wykorzystania jest gotowy projekt przygotowany przez ekspertów Ordo Iuris, który definitywnie uniemożliwi przepisywanie do polskich ksiąg danych pozostających w sprzeczności z polskim prawem i z podstawową wiedzą biologiczną.

Za tego rodzaju względnie prostą zmianą przepisów powinna jednak iść dobra polityka rodzinna, która nie obejdzie się bez odważnych decyzji głęboko reformujących prawo i politykę społeczną. Miejmy nadzieję, że rządzący nie ulegną pokusie poprzestania na hasłach prorodzinności okraszonych wieloma drobnymi, acz luźno związanymi z rodziną udogodnieniami.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest adwokatem, dyrektorem Centrum Analiz Prawnych Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris.

eprasa.pl 39ee1bda30

Nowomowa gender

Krystian Kratiuk

Gej, genderqueer, nieheteronormatywny, homofobia, cisgenderowy – to tylko niektóre ze słów jeszcze niedawno nieistniejących lub znaczących coś innego. Dziś jedni niosą je na sztandarach, inni zaś boją się użyć ich w negatywnym kontekście, by nie zepsuć sobie kariery politycznej, nie wylecieć z pracy albo mediów społecznościowych. Rewolucje językowe nie są jednak niczym nowym – towarzyszą bowiem każdej większej rewolcie przeciwko staremu porządkowi

Trwa kolejna fala wielkiej, antychrześcijańskiej rewolucji. Rewolucji wymierzonej w podstawy cywilizacji niegdyś przecież budowanej przez Kościół katolicki, a ufundowanej na – nigdy dość powtarzania – rzymskim prawie, greckiej filozofii i chrześcijańskiej moralności. Od pół tysiąca lat próbuje się osiągnięcia tej cywilizacji podeptać, na różne sposoby. Wszystkie odsłony tej wielkiej rewolucji łączą pewne stałe elementy, a wśród nich zawsze pojawia się usilna próba zmiany języka.

ALE TO JUŻ BYŁO

Zaczęło się od rewolucji Lutra, który postanowił zmienić ówczesną Europę na swój wzór i podobieństwo. To on wprowadził do masowego użytku swoich czasów takie słowa jak „papista", mające pejoratywnie określać ludzi o innym niż on sam poglądzie na kryzys Kościoła. Słowo to funkcjonuje do dziś, nadal w negatywnym kontekście, i to nie tylko wśród protestantów, lecz także wśród ateistów, w których to przemieniła się spora część duchowych potomków buntownika z Wittenbergi.

Kolejna była rewolucja francuska. Częściowo udany plan przemiany świata stworzony przez protoplastów nazistów (to bowiem rewolucjoniści z Francji pierwsi robili mydło z ludzi i ubrania ze skóry zdartej z wroga) zakładał rewoltę totalną. To wtedy po raz pierwszy na tak wielką skalę zaczęto zmieniać nazwy placów i ulic (w samym Paryżu zmieniono nazwy, bagatela, 1,4 tys. przypadków), gdy np. plac Ludwika XV przemieniono na plac Zgody. Wprowadzono też nowy… kalendarz (stary kojarzył się z burżuazyjnym porządkiem), a nazwy miesięcy brzmiały na przykład: winobranie, gęsta mgła, śnieżny, deszczowy, łąka, kiełek czy owoce. Każdy dzień roku też miał własną, nową nazwę! Jakby tego było mało, jako że ze starym światem kojarzyły się też zwyczajne imiona, rewolucjoniści rozpoczęli modę na nadawanie nowo narodzonym dzieciom imion takich jak Prawo Człowieka czy Trójkolor (chłopcy) albo Wolność, Republika czy Równość (dziewczynki).

Później przyszły rewolucja bolszewicka i komunizm. To wszystko wciąż trwa w pamięci dziś żyjących: proletariat, walka klas, kraj rad, wróg ludu. Masowe czyszczenie przestrzeni publicznej z „reliktów poprzednich systemów" wzorem poprzednich rewolucji stosowano również na polskich ulicach. Każde słowo używane przez komunistów znaczyło coś odwrotnego niż pierwotnie: pokój oznaczał wojnę i prześladowania, wolność – upodlające zniewolenie, miłość socjalistycznej ojczyzny – międzynarodowy konglomerat i przesiedlenia, równość – prymitywne uprzywilejowanie czerwonej nomenklatury, a jedność i braterstwo – konieczność donoszenia na siebie nawzajem.

Dziś trwa kolejna rewolucja – seksualna. Datę jej wybuchu określa się umownie na przełom lat 1968 i 1969 – łączy się ją więc z zamieszkami po wydarzeniach na Sorbonie, ale też, coraz częściej, z „powstaniem w Stonewall". To drugie wydarzenie jest mniej znane, a chodzi zwyczajnie o – jak trafnie określił to Andrzej Solak na łamach PCh24.pl – bandycką napaść homoseksualistów na policjantów z „obyczajówki", przeprowadzających rewizję w mafijnej spelunce.

NIENOWA REWOLUCJA

Od tego czasu minęło ponad pół wieku, ale rewolucja się nie skończyła – przeciwnie, święci triumfy i przepoczwarza się w całym niemal zachodnim świecie w coraz bardziej groteskowe, ale i coraz bardziej wstrząsające formy. I – nie może być inaczej – używa specyficznej nowomowy, mającej przeorać cały zastany przez rewolucjonistów świat.

Zaczęło się od „wolnej miłości" utożsamiającej stosunki płciowe z miłością właśnie, potem na szeroką skalę zaakceptowano i wypromowano słowo „gej", początkowo oznaczające w języku angielskim osobę wesołą, pociesznią, potem zaś używane w kontekście burdelu czy „domu uciech" (ang. gay house). Przez wiele stuleci słowo to pozostawało w żaden sposób nieskoligacone z homoseksualnością. Kariera słowa „gej" na światową skalę, w znaczeniu używanym dzisiaj niemal powszechnie, zaczęła się właśnie w momencie, w którym koryfeusze seksrewolucji zdali sobie sprawę, jak ważna jest troska o słowa, ich przyjemne brzmienie czy znaczenie. O ile przyjemniej jest być bowiem nazywanym słowem kojarzonym z wesołością niż określanym słowami,

eprasa.pl 39ee1bda30

którymi dotychczas opisywano samcołożników!

Tak więc na razie wolno (a nawet powinno się) nazywać homoseksualistę gejem, ale postępowe środowiska w USA wzięły już na tapetę samo słowo… „homoseksualista". Okazuje się bowiem, że jest ono obraźliwe. Na większości anglojęzycznych stron promujących rewolucję LGBT (kolejny, bardzo popularny neologizm) czytamy, że „ze względu na historię kliniczną słowa »homoseksualista« jest ono agresywnie używane przez antygejowskich ekstremistów, aby sugerować, że geje są w jakiś sposób chorzy lub psychicznie/emocjonalnie zaburzeni" (patrz: www.glaad.org). Warto dodać, że według homoaktywistów nie wolno też używać takich fraz jak „związek homoseksualny" (należy używać „związek"), „preferencje seksualne" (należy „orientacja"), „homoseksualny" lub „gejowski styl życia" (należy „gejowskie życie"), „zdeklarowany homoseksualista" (należy „otwarcie gej"), a nawet „specjalne prawa" (należy „równe prawa").

Tego typu wyliczanki znajdziemy w tysiącach miejsc w Internecie – warto dodać, że wśród słów, których rzekomo używać nie wolno, między „dewiacją", „dysfunkcją" czy „zboczeniem", znajduje się też słowo „nieuporządkowanie" – którego to używa aktualny Katechizm Kościoła katolickiego w odniesieniu do homoseksualistów właśnie.

FAŁSZYWE ZNACZENIE SŁÓW

W Polsce jeszcze tego szaleństwa nie doświadczamy na co dzień, ale nie od dziś wiadomo, że każda rewolucja, w zależności od miejsca, w którym się rozwija, ma swą własną „mądrość etapu". Wiemy już jednak, że tak jak w rewolucji francuskiej nie było wolności dla wrogów rzekomej wolności, wśród komunistów nie było równości dla wrogów rzekomej równości, tak i wśród homoaktywistów nie ma tolerancji dla wrogów rzekomej tolerancji.

Ta niekonsekwencja przychodzi im o tyle łatwo, o ile rozumieją słowo „tolerancja" zupełnie na opak, niż świadczyłoby o tym jego książkowe znaczenie. Słownik języka polskiego wskazuje bowiem, że „tolerancja" to „poszanowanie czyichś poglądów, wierzeń, upodobań, różniących się od własnych". Problem tylko w tym, że w dobie powszechnej tolerancji własnych poglądów na temat homoseksualistów, tradycyjnego stylu życia czy kształtu małżeństwa mieć nie wolno – dowodów na to dostarczono już nadto w poprzednich wydaniach niniejszego dodatku do tygodnika „Do Rzeczy". Dość powiedzieć, że to właśnie od ludzi tolerancyjnych (w nowym, wypaczonym sensie rozumienia tego słowa) słyszymy na przykład, że „miłość nie wyklucza", ale w kraju nie powinno być miejsca dla księży, a katolicy wspierający prawo antyaborcyjne powinni wyp…..lać.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 39ee1bda30

Ci sami ludzie wprowadzają nad Wisłą, szczególnie wśród młodzieży, homonowomowę, aplikując wzorce z zagranicy. I tak np. mamy już dziś do czynienia z okrutnym „misgenderowaniem" (mówieniem np. w formie męskiej do mężczyzny identyfikującego się jako kobieta), „niebinarnością" (zbiorcze określenie spektrum „tożsamości płciowych", które nie są wyłącznie męskie lub kobiece), „transpłciowością" (określenie osób, których „tożsamość płciowa", „ekspresja płciowa" i/lub zachowania różnią się od tych kulturowo związanych z płcią, do której zostały przypisane w momencie urodzenia), „queerowością" (określenie do opisywania „społeczności LGBT" i jej członków) oraz z „cispłciowością" (spójność pomiędzy czyjąś płcią przypisaną przy narodzinach a ich „tożsamością płciową"; „cismężczyźni" i „ciskobiety" to „osoby nietranspłciowe"), czyli po staremu „normalnością". Definicje z nawiasów zaczerpnąłem z Wikipedii – miejsca solidnej, mozolnej i wytężonej pracy homoaktywistów, co tylko podkreśla, jak bardzo na serio przejęli się walką o słowa i ich znaczenie.

ZDELEGALIZOWAĆ PRZESZŁOŚĆ

Wszystko to podawane jest nam oczywiście podlane sosem „najnowszych odkryć naukowych", dokładnie tak samo jak na naukę i wiarę w rozum przeciw zabobonom powoływali się rewolucjoniści francuscy czy bolszewicy implikujący wszak społeczeństwom komunizm naukowy (oparty przecież na pracach „wybitnych uczonych").

Mimo tego część społeczności Zachodu wciąż nie chce poddać się tej nowomowie, choć rzeczywiście w przestrzeni publicznej niemal nikt dziś nie używa już słów „zboczeniec", „dewiant" czy choćby staropolskiego „samcołożnik". Wpływa na to nie tylko intensywna praca homolobby (do której wsparcia pozyskano ogromne pieniądze największych korporacji), lecz także wprowadzany systematycznie terror „homofobii", „transfobii" czy innej „mowy nienawiści" – kolejnych neologizmów wynalezionych przez aktualną rewolucję, porównywanych może tylko z Orwellowską „myślozbrodnią".

Plan jest prosty i sprawdzony w poprzednich rewolucjach – należy zaorać przeszłość, tym razem na poziomie dużo bardziej podstawowym niż w dotychczasowych rewoltach. W Polsce mamy jeszcze szansę się temu przeciwstawić, zanim na masową skalę zaczną wybuchać takie skandale jak w Wielkiej Brytanii, gdzie kierownik pociągu, najwyraźniej ukąszony którąś z wymyślonych w ostatnich latach fobii, musiał przepraszać pasażerów i uspokajać wywołaną przez nich awanturę po tym, jak na powitanie zwrócił się do nich tradycyjnym zwrotem: „Ladies and Gentelman".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl 39ee1bda30

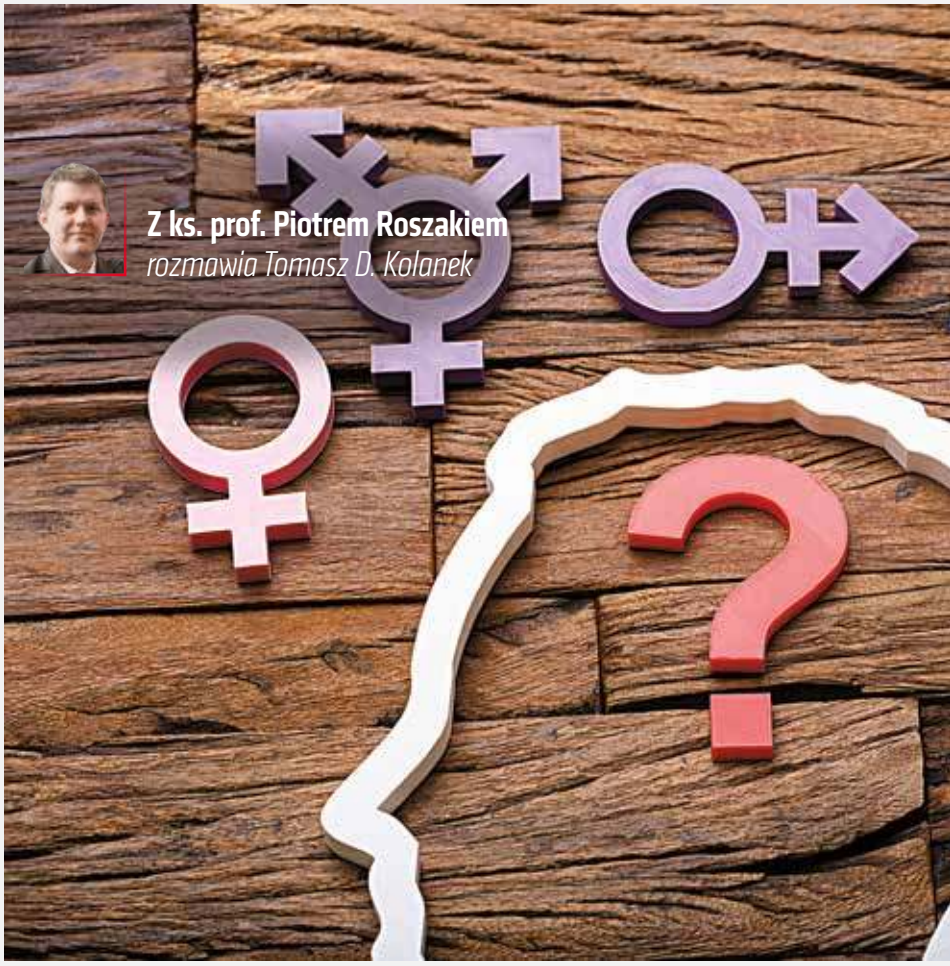

Z ks. prof. Piotrem Roszakiem
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Od równości płci do inżynierii społecznej

TOMASZ D. KOLANEK: Jak Kościół katolicki definiuje inżynierię społeczną?

KS. PIOTR ROSZAK: Kościół katolicki nie ma w swoim słowniku takiego pojęcia, bo sprowadzałoby go to do roli podmiotu, który chce dokonać przeobrażenia społecznego dla swoich potrzeb i korzyści. W Kościele mówimy o nawróceniu i o tym, że spotkanie z Chrystusem Zmartwychwstałym dokonuje przemiany w „nowego człowieka". To takie przeobrażenie, w którym z jednej strony szanuje się wolność człowieka, a jednocześnie pokazuje mu się cel, dla którego żyje i podejmuje wysiłki. Warto zauważyć kolejność: najpierw odkrycie prawdy, kim naprawdę jest człowiek i kim może oraz powinien się stać, następnie zmienianie siebie wedle tej prawdy, a to z kolei pociąga za sobą zmianę całego środowiska życiowego człowieka, przemianę kultury i autentyczny postęp.

Z perspektywy dziejów widzimy ogrom pracy cywilizacyjnej, która została wykonana przez Kościół dzięki zaszczepieniu Ewangelii w konkretnych kulturach. Ta zmiana nie jest jednak żadną próbą sztucznego majstrowania w życiu i z życiem człowieka, żeby je ustawić tak, aby przynosiło profity doczesne. NIE! Głównym celem Kościoła jest zabieganie o zbawienie każdego człowieka, które można osiągnąć, realizując najważniejsze z przykazań – przykazanie miłości: „Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem". To jest największe i pierwsze przykazanie. Drugie podobne do niego to: „Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego" (Mt 22, 37–39).

Krótko mówiąc – pojęcie inżynierii społecznej jest na antypodach katolickiego rozumienia świata budowanego na Ewangelii, bo w punkcie wyjścia stawia arbitralnie narzucony cel doczesny, któremu muszą się wszyscy bezwzględnie podporządkować, a nie odkrywanie prawdy i życie według niej. Inżynierom społecznym nie chodzi o to, kim jest człowiek, tylko o to, kim ma się stać, oczywiście wedle ich pomysłów. Są gotowi na eksperymentowanie – oczywiście nie na sobie – aby realizować swoje teorie i podporządkować relacje społeczne swoim partykularnym celom, a nie przyczyniać się do uszlachetniania człowieczeństwa.

Mamy więc walkę o nawrócenie, zbawienie i świat zbudowany na Ewangelii. To proponuje nam Kościół katolicki. A co jest po drugiej stronie, w świecie bez Boga, bez Ewangelii, bez Kościoła, w świecie inżynierii społecznej?

Druga strona próbuje przede wszystkim dokonać ideologicznego przeobrażenia świata i człowieka, które ma polegać na odpowiedniej modyfikacji ludzkiego życia, żeby odpowiadało ono koncepcjom wymyślonym przez lewicowych ideologów – zwolenników Hegla, Nietzschego, Marksa, Freuda i innych.

Jest to bardzo niebezpieczne działanie, ponieważ tak naprawdę ideolodzy, o których rozmawiamy, nie mówią wprost, dokąd wdrażane przez nich zmiany mają prowadzić. Powtarzają jedynie mgliste i puste slogany, że to wszystko dla dobra i szczęścia człowieka, ale tego człowieka rozumie się już w sposób redukcyjny, wedle potrzeby chwili. Poza tego typu hasłami w stylu: „Moje ciało, moja sprawa", „Miłość nie wyklucza", „Stop nienawiści i przemocy", „Ratujmy Matkę Ziemię" etc. nie usłyszymy od nich żadnych konkretów.

Tego typu ideologizacja na pierwszy rzut oka wydaje się być skazana na porażkę, ale zbiera ona, niestety, całkiem spore żniwo, ponieważ jest realizowana za pomocą odpowiednio dobranych technik manipulowania człowiekiem. To właśnie dzięki przeróżnym sztuczkom, które wykorzystuje inżynieria społeczna, wielu ludzi daje sobie narzucić określoną ideologię, na podstawie której wmawia się im, „jak powinno być". A powinno być

eprasa.pl 39ee1bda30

FOT. ADOBE STOCK

łatwo, wygodnie i miło. Żeby tak było, człowiek musi porzucić swoją wolność na rzecz tych wszystkich, którzy chcą i mogą za niego myśleć i decydować. Co gorsza, w takim świecie wszystkie wątpliwości i pytania są traktowane jako wstecznictwo, ciemnogród, nienawiść etc. Rzecz ciekawa – w tym świecie wszystko już wiadomo, wystarczy powtarzać pewne idee. Jest to zawsze świat spełniony i zrealizowany mocą człowieka.

Nie jest to zresztą nic nowego, ponieważ w każdej utopijnej wizji, z jaką mieliśmy do czynienia w najnowszej historii świata – oświecenie, marksizm, komunizm, polpotyzm etc. – ludzie byli mamieni „przyszłością idealną", która była na wyciągnięcie ręki. Jedynymi warunkami były realizacja rewolucyjnych postulatów i wyrzeczenie się wolności.

Takie podejście jest radykalnie antychrześcijańskie, gdyż rozpoczyna się tu od zniszczenia: dawnego świata, dawnego porządku, dawnej kultury, dawnych wartości i mocą człowieka stworzenie wszystkiego na nowo. Chrześcijaństwo nie zaczyna od zniszczenia, lecz od przemiany. Ideologowie obiecują bowiem, że zmiana, nieważne, czy na lepsze czy na gorsze, dokona się szybko i na skróty poprzez zburzenie wszystkiego, co było do tej pory, w efekcie czego człowiek zostanie wyzwolony z rzekomych alienacji, w których ten się znajduje. Proponują zburzyć katedry, symbol porządku i harmonii w wymiarze wertykalnym i horyzontalnym, ale w zamian – jak ostrzegał Le Guillou – nie stawiają nawet kaplicy.

Czym jest transhumanizm?

Transhumanizm to – mówiąc najogólniej – próba przekształcenia czy też budowy nowego społeczeństwa, w której celem jest ulepszenie człowieka i uwolnienie go od wszelkich ograniczeń, a zwłaszcza jego własnej cielesności. Jest to de facto mutacja ciągle tego samego wirusa – wirusa marksizmu z jego dialektyczną mentalnością. Marksiści bowiem także próbowali „wyzwolić człowieka" i wszyscy wiemy, jak to się skończyło dla świata.

Transhumaniści poszli kilka kroków dalej niż ich poprzednicy. Oni nie mówią już o chłopach czy robotnikach, których trzeba wyzwolić spod władzy „krwawych kapitalistów i burżujów". Oni mówią, że trzeba wyzwolić każdego człowieka z jego własnej cielesności, która jest źródłem cierpienia i niedoskonałości, nawet za cenę pozbawienia go tej cielesności. Pierwszym krokiem jest pokazanie, że się ona nie liczy i można ją dowolnie zmieniać w zależności od dnia tygodnia. Ciało według ideologów transhumanizmu jest czymś złym, płciowość również i dlatego ich zdaniem należy je zlikwidować.

I niby to da człowiekowi szczęście?

Według ideologów – tak.

A jak to wszystko się ma do „podstawowych praw człowieka", o których tak często mówią ideologowie LGBT czy transhumanizmu? Przecież podstawowe prawo człowieka to żadne „prawo do szczęścia", tylko „prawo do dążenia do szczęścia". Czy dobrze rozumiem, że według ideologów trzeba to zmienić i wszystkich ma uszczęśliwiać to samo, czyli to, co oni uważają za szczęście?

I tutaj dotykamy sedna. Chrześcijaństwo od początku mówi, że człowiek dąży do szczęścia, a szczęściem jest Chrystus i tylko on może prawdziwie spełnić człowieka, nie dlatego, że uczyni z niego kogoś innego, ale dlatego, że zrealizuje w pełni to, czego człowiek szuka po omacku. Chrześcijaństwo akcentuje konieczność spełnienia człowieka.

Po drugiej stronie mamy natomiast ideologiczne obiecanki, które nie szukają odpowiedzi na pytanie, czym jest szczęście, ale zatrzymują się na „poczuciu" szczęścia, wmawiając człowiekowi, że będzie szczęśliwy, jeśli poczuje się wyzwolony od samego siebie i zdefiniuje swoją tożsamość od nowa. Tu mamy do czynienia z ludzkim stworzeniem człowieka na nowo.

Warto zauważyć, że ta transhumanistyczna ofensywa, której elementem jest ideologia gender/LGBT, chce dokonać likwidacji wszelkich różnic między ludźmi zarówno w wymiarze zewnętrznym, do czego wykorzystują m.in. trwające obecnie takie wyzwania jak np. kryzys migracyjny, jak i w wymiarze wewnętrznym, biologicznym, płciowym poprzez to, że ludzie pozbędą się elementów różnicujących ich od siebie. Ideologom nie chodzi więc o to, żeby ludzie się porozumieli i pośród różnic odkrywali bogactwo ludzkiego życia, czuli odpowiedzialność za siebie i innych, tak jak to jest np. w małżeństwie. Nie! Ideologom chodzi o całkowite ujednolicenie i umasowienie człowieka.

Jedyna zmiana, jaka jest przez nich dopuszczalna, to zmiana tzw. skłonności seksualnej. Tylko takie coś jest przedstawiane przez nich jako wyraz wolności i autonomii człowieka. No i oczywiście aborcja jako prawo do decydowania o swoim ciele… Aborcja to jednak temat na inną dyskusję…

Jeśli chodzi o zmianę tzw. skłonności seksualnej, to proszę zauważyć, że obecnie ideolodzy naciskają, aby dokonywali jej tylko heteroseksualne kobiety i heteroseksualni mężczyźni. Jeśli zaś chodzi o homoseksualistów, to mogą oni, przepraszam za wyrażenie, wybrać inną literą alfabetu gender, ale nie mogą stać się heteroseksualistami. Przesadzam? Jeśli tak, to proszę mi wytłumaczyć, dlaczego w wielu krajach zakazuje się terapii reparatywnej i dyskryminuje ludzi, którzy chcą pomóc homoseksualistom, tak jak to ma miejsce np. w Wielkiej Brytanii?

Jak w związku z tym rozumieć szczęście, które chcą dać nam ideologowie?

Problem polega na tym, że tak, jak powiedziałem wcześniej, oni nie niosą człowiekowi szczęścia, tylko stawiają na totalny emotywizm, czyli postawę, w której liczy się jedynie odczuwanie.

Proszę zwrócić uwagę, że to, co ktoś czuje, stało się dziś naczelnym kryterium

eprasa.pl 39ee1bda30

bardzo wielu ludzkich zachowań społecznych. Jest to jednak niszczące cywilizacyjnie, ponieważ nie buduje kultury trwałości, zakorzenienia, ale promuje jednorazowość i akcyjność.

W związku z powyższym, jeśli za jedyne kryterium przyjmiemy emocje, to szczęście będzie jedynie krótkotrwałym nasyceniem czegoś, co jest ulotne, i niczym więcej. Trudno jednak wówczas budować coś trwałego, od rodziny do państwa.

Dlatego właśnie w chrześcijaństwie mowa była o szczęściu jako woli trwania przy dobru i rozwijania się w oparciu o nie. Dobro może kosztować, może być wymagające, ale to ono jest obietnicą pełnego szczęścia, a nie powierzchownego, chwilowego odczucia...

Z kolei szczęście, które proponują ideolodzy, ma się ograniczać do przyjemności w stylu: „Jest mi przyjemnie, więc jestem szczęśliwy". To jest ścieżka donikąd.

Szczęście, miłość, przyjaźń, siostrzeństwo etc. to tylko niektóre z wielu pięknych słów, które ideolodzy gender/LGBT mają na swoich sztandarach. Czy można postawić tezę, że te pojęcia zostały przez tychże ideologów zreinterpretowane i nadali oni im nowe znaczenie?

Jak najbardziej! Miłość, szczęście etc. padły ofiarą ideologizacji. Rzuca się jakimś hasłem o miłości i obiecuje proste rozwiązania, które zapewnią człowiekowi maksimum „pozytywnych emocji" i jeszcze więcej przyjemności. W tym nadawaniu nowych znaczeń często absolutyzuje się to, co względne, profanum zamieniając w sacrum, przez co staje się ono demoniczne, jak ostrzegał Bierdiajew.

Proszę zauważyć, że każda ideologia, idąc na skróty, nie stawia na długotrwały rozwój, tylko chce dokonać przeobrażenia w sposób radykalny, odcinając wszystkich, którzy są jej przeciwni. Kryzys pojęć, o którym mówimy, czy redefinicja pojęć określonych przed wiekami na drodze długich i głębokich debat filozoficzno-teologicznych, ciągną za sobą kolejne kryzysy.

Cofnijmy się na moment do późnego średniowiecza. Pozwoli nam to zrozumieć sytuację, w jakiej się obecnie znajdujemy. W Europie dominował wówczas w kręgach intelektualnych tzw. woluntaryzm, czyli przekonanie, że samo „chcenie" jest ostatecznym kryterium i oparciem dla zasad społecznych i moralnych. Na gruncie teologicznym oznaczało to odwrócenie się od klasycznego przekonania w chrześcijaństwie, że jeśli Bóg czegoś chce, to za Jego wolą stoją pewne racje, które determinują i tłumaczą to, co robi, np. dobro. Woluntaryści powiedzieli jednak, że wola Pana Boga jest niezależna od dobra, liczy się sam akt wybierania i taki właśnie swego rodzaju kaprys, a nie racje i Boża logika, miały ich zdaniem determinować działania Stwórcy.

Obecnie mamy do czynienia z tym samym podejściem w życiu społecznym: „Ja tak chcę i koniec, tak ma być" i nikt nie ma prawa zapytać, dlaczego ktoś tak chce.

Właśnie dlatego ideolodzy podpinają się pod przywołanymi przez pana pojęciami i nimi manipulują. Miłość i szczęście to wartości trwałe, a nie chwilowe, dlatego nie można ich unicestwić. Można je jednak podrobić i to niestety się dzieje. Przypomina mi się wątek z filmu „Vinci", w którym złodzieje „Damy z łasiczką" wiedzą, że nie można tak po prostu ukraść tego obrazu z krakowskiego muzeum, bo wszyscy natychmiast się zorientują, co się stało, ale można podmienić obraz na doskonałą kopię… Właściciele będą myśleli, że są w posiadaniu oryginału, a będą mieli jedynie podróbkę…

Dlatego, niepostrzeżenie, a tak przynajmniej ma być w założeniu ideologów, dochodzi do przeobrażeń semantycznych, które ciągną za sobą kolejne, i gdy ktoś zwróci na to uwagę, to podnosi się krzyk. Krzyk nie argumentów, tylko skrajnych emocji.

Jaki w związku z tym jest ostateczny cel rewolucji LGBT? Jakiego człowieka chce ona stworzyć? Co będzie jej finałem? Obowiązkowy homoseksualizm? Obowiązkowy transgenderyzm? A może nie ma ona celu, bo celem samym w sobie jest wywołany już przez księdza profesora transhumanizm?

Powiem wprost: nie wiem. Ideolodzy LGBT nieraz już pokazywali, że chcą więcej i więcej, i nic ich nie powstrzyma w realizacji tego, co sobie zaplanowali. Na razie możemy mówić jedynie o tym, co im najbardziej przeszkadza.

Ich zdaniem pierwszym i najważniejszym zagrożeniem jest Bóg i religijność człowieka. Tak jak Lew Trocki organizował w ZSRS pokazowy proces, w czasie którego skazywał Pana Boga na śmierć, tak współcześni rewolucjoniści profanują Jego wizerunki, wkładając w rękę Chrystusa tęczową flagę, a przy tym wyszydzają ludzi wierzących, aby zniechęcić ich do wyznawania swojej wiary. Takiej agresji wobec głównie chrześcijan, zarówno na poziomie języka, jak i postaw, zapewne nikt się nie spodziewał, ale to fakt.

Drugim zagrożeniem jest płciowość i cielesność człowieka, wobec czego tworzy się katalog 253 płci, zgodnie z którym „mężczyzna w ciele mężczyzny, który czuje się mężczyzną" nie może być nazywany mężczyzną, tylko „genderkimśtam". Wszystko po to, żeby zniszczyć wszelkie różnice między ludźmi.

Chciałbym zwrócić również uwagę, że wszystkie dotychczasowe pomysły utopijne ostatecznie rozbijały się o realia życia człowieka, m.in. o cielesność. Pozbawienie człowieka cielesności to myślenie o charakterze gnostyckim, które wiąże się z obietnicą szczęścia nie dla wybranych, tylko dla wybranych-oświeconych, którzy będą chętni przyjąć wszystko, co niesie ta dziwna rewolucja.

Tak więc pozbawienie różnic, dominacja uczuć i emocji to elementy, które pod płaszczykiem wolności mają na celu uczynienie z człowieka de facto niewolnika, a takim będzie można już bardzo łatwo manipulować, wszystko wmówić i odebrać możliwość stanowienia o sobie samym.

Czy jednak na tym się skończy? Obawiam się, że nie… Od dłuższego czasu zastanawiam się nad znalezieniem logiki w tym wszystkim i boję się, że następnym celem może być próba zniszczenia przyszłych pokoleń, czyli działanie na rzecz depopulacji świata.

Proszę zauważyć, że jednym z naczelnych mechanizmów napędzających dzisiaj różnego typu projekty, zarówno bardzo – wydawałoby się – odległe, takie jak ruch aborcyjny, ruch genderowy, ruch ekologii głębokiej, ruch zoopersonalizmu, transhumanizm etc., mają przynajmniej jeden wspólny mianownik, którym jest czynnik depopulacyjny.

Brzmi to absurdalnie? Być może, ale czy jeszcze do niedawna nie nazywano absurdem koncepcji 253 płci?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

ks. prof. Piotr Roszak
– ksiądz, doktor habilitowany nauk teologicznych, wykładowca akademicki, autor licznych publikacji naukowych.

eprasa.pl 39ee1bda30

Z Gabriele Kuby, niemiecką socjolog, autorką książek poświęconych ideologii gender
rozmawia Paweł Chmielewski

Tęczowe eksperymenty na dzieciach

PAWEŁ CHMIELEWSKI: Genderyzm jest przez jego zwolenników prezentowany społeczeństwu jako światopogląd naukowy. Miałby bazować na najnowszych ustaleniach badaczy. Pani przedstawia jednak genderyzm jako ideologię. Dlaczego?

GABRIELE KUBY: Jakie są kluczowe twierdzenia teorii gender? Po pierwsze, że płeć biologiczna ludzi nie ma znaczenia dla ich tożsamości. Po drugie, że można w nieskończoność wybierać pomiędzy płcią męską a żeńską, ciągle je zmieniać. Po trzecie, że istnieje tylko jedno kryterium moralne dla zachowań seksualnych: zasada konsensusu. Wszystko jest dozwolone, jeżeli partner seksualny się na to zgadza. To nie ma nic wspólnego z nauką, ale z ideologią – a zatem z fałszywą świadomością – już wszystko. Każda komórka każdego człowieka jest albo męska (chromosom XY), albo żeńska (chromosom XX). Gdy kobieta robi z siebie mężczyznę, pozostaje kobietą, która przez całe życie będzie potrzebować męskich hormonów i która świadomie okalecza swoje ciało. Odwrotnie, gdy mężczyzna robi z siebie kobietę, a uprawia na przykład sport dla kobiet, konkurentki nie mają z nim żadnych szans, bo jako mężczyzna góruje nad nimi fizycznie. Z kolei zniesienie wszystkich granic moralnych w seksualności oznacza rozłączenie jedności człowieka złożonej z ciała, ducha i duszy. Żaden człowiek nie będzie szczęśliwy, jeżeli stłumi pragnienie trwałej miłości. Żadne małżeństwo i żadna rodzina nie przetrwa bez wierności między małżonkami.

Ideologia gender mocno dotyka dzieci, najmłodsi już od lat padają ofiarą rewolucji seksualnej. W swojej najnowszej książce „Die verlassene Generation", która w Polsce ukazuje się nakładem wydawnictwa AA, zwraca pani uwagę na fenomen ich cierpienia. Powołuje się pani na badania, które wskazują na fatalny stan fizyczny i psychiczny dzieci w Niemczech. W innych krajach jest oczywiście podobnie. Dlaczego rewolucja seksualna ma taki zły wpływ na dzieci?

Badania mówią jasno: dorastające pokolenie jest w dużej części zdiagnozowane jako fizycznie lub/oraz psychicznie chore. Następuje przesunięcie symptomów chorobowych od ostrych do chronicznych. W 13 rozdziałach opisuję, co wpływa na choroby dzieci i młodzieży. Przeciętna kobieta stosuje antykoncepcję przez 15 lat. Jeżeli dziecko jest niechciane, to dokonuje się aborcji. Jeżeli dziecko jest chciane, a mamy do czynienia z parą bezpłodną albo jednopłciową, to kupuje się brakujący materiał genetyczny i sztucznie produkuje dziecko, być może także w wynajętej do tego macicy. Później dziecko możliwe jak najszybciej trafia do publicznej opieki; w przedszkolu i szkole jest przymusowo seksualizowane. Jest wystawione na wpływ Internetu i smartfonów. Wreszcie duża część dzieci musi zmierzyć się z rozwodem swoich rodziców. Dlaczego zatem mielibyśmy się dziwić, że dzieci mają się źle? Problem w tym, że to one są naszą przyszłością. Skąd mają czerpać orientację i siłę, by stawać się odpowiedzialnymi rodzicami i utrzymać istnienie wolnościowego, demokratycznego państwa?

Mówi pani o przymusowej seksualizacji w szkołach i przedszkolach. W Polsce jest takich incydentów coraz więcej. Do szkół, niestety, przenikają tzw. seksedukatorzy. Lewicowi politycy nierzadko to wspierają. Przykładowo prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski w 2019 r. podpisał dokument, który propaguje wytyczne edukacyjne WHO. Wytyczne te zawierają elementy po prostu ohydne, ale Trzaskowski zbywał krytykę, twierdząc, że „to nic takiego" i nikt nie zrobi dzieciom nic złego. Czy takie zapewnienia mają racjonalną podstawę?

Już w 2013 r. podczas konferencji w Polskiej Akademii Nauk podjęto pierwszą próbę narzucenia Polsce edukacji seksualnej. Zaprezentowano wówczas „Standardy edukacji seksualnej w Europie", które zostały wydane przez nieautoryzowaną instancję WHO oraz przez niemieckie Federalne Biuro ds. Edukacji Zdrowotnej (BZgA). Byłam wtedy w Warszawie, by wesprzeć protesty przeciwko temu. Wówczas program seksualizacji dzieci został jeszcze odrzucony.

Jednak rewolucjoniści seksualni patrzą w przyszłość i mają dalekosiężną strategię, która jest wcielana na całym świecie przez ONZ i UE. Wystarczy spojrzeć na dokument „International technical guidance on sexuality education" dedykowany dzieciom i młodzieży pomiędzy 5. a 18. rokiem życia, a wydany wspólnie przez UNICEF, UNAIDS, ONZ Kobiety i WHO. Dwadzieścia razy cytuje się tam Internatonal Planned Parenthood Federation (IPPF), największego na świecie usługodawcę aborcyjnego. Według tego dokumentu małe dzieci mają być wprowadzane w masturbację; każda

eprasa.pl 39ee1bda30

aktywność seksualna jest w porządku; niepożądane skutki, takie jak choroby płciowe lub ciąża (wymieniane zawsze jednym ciągiem), mogą być odsuwane na bok dzięki antykoncepcji lub względnie poprzez aborcję.

Prezydent Warszawy powinien edukować ludzi i wzywać ich do oporu, bo seksualizacja dzieci czyni je długotrwale niezdolnymi do małżeństwa i rodziny. W Polsce wciąż istnieje jednak opór przeciwko rewolucji seksualnej. Tak samo jest na Węgrzech. Węgierski parlament w czerwcu 2021 r. zdecydował, że w szkołach nie można prowadzić propagandy LGBT ani propagandy pornograficznej. Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen z CDU (!) określiła to jako „haniebne". Dlatego KE rozpoczęła teraz postępowanie o naruszenie prawa przeciwko obu krajom. To wskazuje, że jesteśmy poddani odgórnej rewolucji, która niszczy chrześcijańskie fundamenty Europy i prowadzi do nowego totalitaryzmu.

Zwraca pani uwagę na dokumenty międzynarodowe. Rzeczywiście, bez wsparcia światowych organizacji promowanie rozwiązłości byłoby pewnie utrudnione. Pokazuje to pani doskonale w książce „Globalna rewolucja seksualna. Likwidacja wolności w imię wolności", która w tym roku ma w Polsce swoje ponowne wydanie. Wydaje się jednak, że osiągnięcie przez rewolucję aż takich sukcesów na polu deprawacji seksualnej społeczeństw byłoby niemożliwe także bez współczesnego „rozwoju" technologicznego na polu antykoncepcji. Jaki jest związek między rewolucją seksualną a rozpowszechnieniem sztucznych środków powstrzymujących zajście w ciążę?

Mówiąc o „rozwoju technologicznym", ma pan na myśli, jak sądzę, pigułkę. Społeczeństwo poddane seksualizacji, w którym seks i płodność są systematycznie rozdzielane, potrzebuje antykoncepcji i aborcji. Encyklika „Humanae vitae" Pawła VI z 1968 r. wywołała wewnątrz Kościoła i poza nim prawdziwą burzę gniewu [encyklika podtrzymała zakaz stosowania antykoncepcji – przyp. red.]. Był to tymczasem profetyczny dokument. Wszystkie ostrzeżenia papieża okazały się trafne. Sześćdziesiąt lat po wejściu pigułki do obrotu nie da się już ukryć informacji, że jej stosowanie wiąże się z poważnymi skutkami ubocznymi. Nie ma praktycznie takiej ciężkiej choroby, której prawdopodobieństwa nie zwiększałoby jej przyjmowanie. To na przykład rak piersi, rak szyjki macicy,

FOT. ARCHIWUM GABRIELE KUBY

eprasa.pl 39ee1bda30

zakrzepy, zawał. Ponadto kobiety – co ironiczne – tracą ochotę na seks. Aborcja jest „planem B" antykoncepcji. Niedawno Parlament Europejski przyjął raport Matica, w którym aborcja jest ogłaszana „prawem człowieka". Dokąd zabrnęliśmy od czasów Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka z 1948 r.? Od chrześcijaństwa do barbarzyństwa!

Mówimy o skutkach rewolucji seksualnej dla kondycji dzieci i dla rozwoju społeczeństw. W mediach mówi się o tym niewiele. Także w Polsce niemal nikt nie podejmuje tematu patologii rozwodów, pornografii czy antykoncepcji. W Niemczech jest podobnie. Dlaczego?

Rewolucję seksualną pchają do przodu elity świata polityki i wielkich finansów. Zinfiltrowano wszystkie obszary społeczeństwa, a szczególnie uniwersytety i media. Jest żałosne, że dzisiaj prezenter niemieckiej telewizji robi sztuczną przerwę przy „gwiazdce gender" [niem. Gendersternchen, dodanie „*" do rzeczownika ma oznaczać umowność wskazywanej przez ten rzeczownik płci – przyp. red.].

Większość dziennikarzy zrezygnowała z etosu dziennikarskiego na rzecz poprawnych informacji kontrolowanych przez władzę i zniżyła się do roli służalców tej władzy. Dzięki Internetowi istnieje dziś jeszcze dostęp do alternatywnych informacji, ale „cancel culture" jest coraz bardziej totalitarna. Jeżeli Twitter może skasować konto amerykańskiego prezydenta, to wiemy, kto ma władzę – niepodlegający żadnej kontroli prywatni właściciele Big Tech.

Globalna rewolucja seksualna w wielu krajach przyjmuje dzisiaj wyraziście antykatolicki charakter. Dławi się powszechnie wolność słowa i religii. Pomimo tego nie brakuje jednak takich środowisk katolickich, które chcą połączyć wiarę z ideologią gender. Czy to jest możliwe?

Ideologia gender jest współczesnym prądem filozoficzno-religijnego gnostycyzmu, który ma swoją wielowiekową historię. Ten prąd duchowy jest nacechowany rebelią przeciwko Bogu Stwórcy. Świat, materia i ciało są w nim postrzegane jako coś złego. Człowiek musi się z nich wyzwolić dzięki wiedzy (po grecku – gnosis). Filozoficzni koryfeusze i aktywiści rewolucji seksualnej przynależą do tej tradycji. To są bez wyjątku ateistyczni myśliciele, którzy ideologię marksistowską/komunistyczną ubierają w nowe szaty, dopasowując je do współczesności. Wielu z nich to homoseksualiści. To, że Kościół nie przeciwstawił się w zdecydowany sposób ideologii gender, jest historycznym zaniechaniem.

Wielkim problemem dla katolików jest dzisiaj kryzys nadużyć seksualnych w Kościele katolickim. Opublikowała pani książkę na ten temat pod niemieckim tytułem „Missbrauch. Euer Herz lasse sich nicht verwirren!". Jest faktem, że większość nadużyć w Kościele duchowni popełniają na młodych chłopcach. Czy ma to coś wspólnego z rewolucją seksualną?

Tak, oczywiście. Jednym ze skutków Soboru Watykańskiego II było przeniknięcie do teologii i seminariów kapłańskich trucizny „wyzwolenia seksualnego", które czyni z człowieka niewolnika seksualnego popędu. Papież Benedykt XVI przedstawił te procesy w niewielkim piśmie z 2019 r. [po polsku opublikowanym w całości na portalu PCh24.pl pt. „Benedykt XVI o przyczynach kryzysu Kościoła" – przyp. red.]. Jednym z najlepszym ekspertów w tym obszarze jest polski ksiądz prof. Dariusz Oko, który opisał ten problem w książce „Lawendowa mafia" z 2020 r. Rozmiar homoseksualnej infiltracji Kościoła jest niepojęty. To jednak, że całe społeczeństwo jest przesiąknięte nadużyciami seksualnymi, jest w mediach przemilczane. W każdym razie obecnie podejmuje się w Kościele katolickim poważne wysiłki, by oczyścić się z tego bagna.

Na koniec pytanie o właściwą rolę Kościoła w przeciwdziałaniu rewolucji seksualnej i ideologii gender. Sobór Watykański II nie potępił komunizmu ani marksizmu. Być może nadszedł czas, by Kościół katolicki potępił neomarksizm i podjął zdecydowaną ofensywę przeciwko tym, którzy w jego szeregach flirtują z tą ideologią?

Tak, to powinno stać się już dawno. Kościół katolicki na Zachodzie jest jednak słaby i skompromitowany. Możemy jedynie trzymać się obietnicy Jezusa: Bramy piekielne go nie przemogą (Mt 16, 18). W Afryce i Azji ruch na rzecz przełomu jest silny. Jeżeli jest ktoś, kto doprowadzi swoje dzieło do końca, to jest nim Bóg. Dajmy Mu przestrzeń w naszym własnym życiu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Gabriele Kuby** – studiowała socjologię w Berlinie i Konstancji. Jest autorką książek i międzynarodowym wykładowcą. Jej książka „Globalna rewolucja seksualna. Likwidacja wolności w imię wolności" została przetłumaczona na 15 języków. Papież Benedykt XVI określa Gabriele Kuby jako „odważną bojowniczkę przeciw ideologiom, które w ostateczności celują w zniszczenie człowieka".*

eprasa.pl 39ee1bda30

Prorodzinne organizacje protestowały w Paryżu przeciw organizacji targów „Pragnienie dziecka”

FOT. ISA HARSIN/SIPA/EAST NEWS

Francja zalegalizuje surogację?

Olivier Bault

Oficjalnie usługa in vitro dla homoseksualnych par jest we Francji nielegalna. Legalne są już za to targi, podczas których promowane są takie usługi w sąsiednich krajach. Czy to przyzwyczajanie Francuzów do kolejnego przesunięcia granic?

Niedawno w Paryżu (4 i 5 września) odbyły się międzynarodowe targi „Pragnienie dziecka” (Désir d’enfant) poświęcone kwestiom bezpłodności, surogacji, sztucznego zapłodnienia i innych usług powiązanych z in vitro. Impreza zorganizowana została po raz drugi, mimo że już w zeszłym roku jej zakazu domagały się organizacje prawników takie jak Juristes Pour L’Enfance (Prawnicy na rzecz Dzieciństwa), prorodzinna organizacja Manif Pour Tous (organizator wielkich manifestacji przeciw homomałżeństwom w latach 2012–2013) oraz Stowarzyszenie Rodzin Katolickich. Organizatorom targów zarzucano promowanie nielegalnych we Francji praktyk związanych z macierzyństwem zastępczym i in vitro. W październiku ubiegłego roku złożono nawet skargę do prokuratora w Paryżu. Do dziś nie została rozpatrzona. Choć po tej skardze posypały się następne. Listy, w których prawnicy i działacze domagali się zakazu organizacji imprezy, wysłane zostały w czerwcu i w lipcu do ministerstwa sprawiedliwości, prefektury, policji i merostwa Paryża. Żaden z nich nie doczekał się odpowiedzi.

MILCZĄCA AKCEPTACJA

Zdaniem prawników i działaczy konserwatywnych stowarzyszeń państwo francuskie poprzez swoje milczenie i brak działań wspiera nieakceptowalną praktykę wykorzystywania ciał kobiet oraz handel dziećmi. Przez cały weekend członkowie organizacji Manif Pour Tous protestowali w tej sprawie. Manifestanci trzymali transparenty z hasłami: „Godność kobiet nie ma granic”, „Zero tolerancji dla łamania praw kobiet”, „Ciąża to nie biznes”, „Człowiek nie jest towarem” czy „Ciała kobiet nie są na sprzedaż”.

W czerwcu parlament francuski przyznał prawo parom lesbijskim do korzystania z darmowego in vitro oraz możliwość uzyskania praw rodzicielskich w stosunku do urodzonego w ten sposób dziecka dwóm wychowującym go kobietom. Targi „Pragnienie dziecka” dedykowane są bez wątpienia w pierwszej kolejności właśnie parom jednopłciowym. Wystawiają się na nich kliniki in vitro z szeroką ofertą przeróżnych technik tworzenia dzieci na zamówienie, banki nasienia, a także agencje macierzyństwa zastępczego, prawnicy wyspecjalizowani w legalizowaniu zagranicznych adopcji, psychologowie wspierający „pary poddające się leczeniu niepłodności”. Organizatorzy targów dobrze wiedzą, że promowanie większości tych produktów nie jest, przynajmniej na razie, prawnie dopuszczone we Francji. Zasłaniają się przy tym zręcznymi formułkami zachęcającymi do korzystania z usług poza terytorium Francji i w zawoalowany sposób dają do zrozumienia, że możli-

eprasa.pl 39ee1bda30

wa będzie późniejsza ich legalizacja we Francji.

IN VITRO DLA „DWÓCH MATEK"

W tegorocznej ofercie targów na pierwsze miejsce wysuwają się hiszpańskie kliniki in vitro, proponujące m.in. sztuczne zapłodnienie bez ograniczeń wiekowych oraz technologię in vitro „dwóch matek" po to, by także w parach lesbijskich, jak czytamy w ulotce, „obie partnerki uczestniczyły w ciąży. Jedna z kobiet będzie matką genetyczną, druga matką zastępczą lub noszącą ciążę".

Zabieg polega na pobraniu jajeczek jednej z kobiet, zapłodnieniu ich in vitro plemnikami dawcy, a uzyskane w ten sposób embriony wszczepiane są do macicy drugiej partnerki. Przy okazji, jako że w Hiszpanii dawcy nasienia są anonimowi, dziecko nie będzie miało możliwości w przyszłości ustalenia swojej tożsamości i odszukania biologicznego ojca.

Inne konkurencyjne kliniki proponują możliwość wyboru płci dziecka poczętego pozaustrojowo dzięki diagnostyce preimplantacyjnej. Ośmioro uczestników targów „Pragnienie dziecka" oferuje usługi surogacji, dziś zakazanej we Francji. Inne „kliniki leczenia niepłodności" dają także możliwość wyboru dawcy plemników lub oocytów zgodnie z oczekiwaniami co do przyszłych cech fizycznych czy osobowościowych dziecka. Co ciekawe, wystawcy mówią także o możliwości wyboru rasy dziecka, choć termin „rasa" w 2018 r. został oficjalnie wykreślony z francuskiej konstytucji i oficjalnego języka, gdyż zdaniem francuskich elit i wprowadzonego przez nich nowego dogmatu rasy ludzkie nie istnieją.

NOWY WIELKI BIZNES

Zgodnie z ofertą zaprezentowaną rok wcześniej przez przedstawicieli ukraińskiej firmy Feskov wynajęcie matki zastępczej ma kosztować na Ukrainie co najmniej 30 tys. euro, a cena ta rośnie w zależności od opcji wyboru cech „produktu", profilu matki itd. Na nagraniu z targów „Pragnienie dziecka" z 2020 r., opublikowanym przez Manif Pour Tous, słychać, jak przedstawicielka Feskov tłumaczy, że po urodzeniu dziecko zostaje trzy dni w szpitalu, co daje czas na wykrywanie ewentualnych wad. Jeśli takowe występują, to klienci mogą zrezygnować z tego konkretnego dziecka, a agencja Feskov zapewnia im kolejną procedurę bez ponoszenia dodatkowej opłaty. Nie mówi natomiast, co się wtedy dzieje z „wadliwym" dzieckiem.

W USA cena usługi surogacji wynosi minimum 100 tys. dol. Wartość światowego rynku usług wspomaganej prokreacji szacowana jest na 25 mld dol. i uważa się, że do roku 2026 osiągnie poziom 45 mld dol. Sama surogacja według badania Global Market Insights w 2018 r. w Stanach Zjednoczonych warta była 6 mld dol. i przewiduje się, że po chwilowej bessie w 2020 r. spowodowanej pandemią osiągnie poziom 34 mld dol. w 2027 r. Rynek europejski stanowi ponad 42 proc. globalnego rynku tego rodzaju usług.

Mimo że większość usług sprzedawanych na paryskich targach surogacji i in vitro jest w samej Francji nielegalna, władze oraz media od lat nie tylko nie angażują się w zwalczanie zakazanych praktyk, lecz także wręcz aktywnie uczestniczą w ich promowaniu.

Oficjalnie mówi się, że surogacja jest bioetyczną „czerwoną linią", której Francja nigdy nie przekroczy, ale praktyka i zachowanie decydentów pokazują, iż rzekomo nieprzekraczalna granica będzie w niedalekiej przyszłości przesuwana, a tego rodzaju targi są właśnie antycypacją kolejnych postulatów środowisk LGBT i próbą „ucieczki do przodu".

W ubiegłym roku organizacja Kolektyw na rzecz Szacunku dla Osoby Ludzkiej (CoRP) złożyła pozew przeciw telewizji publicznej France Télévisions, oskarżając ją o aktywne promowanie usług surogacji. Składający się z naukowców, akademików i filozofów zespół napisał w skardze, że „od kilku lat France Télévisions zdecydowała się przyjąć linię redakcyjną przychylną praktyce macierzyństwa zastępczego. Produkcja, reżyseria i emisja programów celowo wyklucza wszelkie głosy sprzeciwu [wobec surogacji], udzielając głosu jedynie osobom zainteresowanym promowaniem tej praktyki. Wielokrotnie zwracaliśmy uwagę kierownictwu poszczególnych programów [telewizji publicznej] i alarmowaliśmy Radę Mediów CSA, ale nigdy nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi. Dlatego teraz podejmujemy działania prawne". Tymczasem dwa miesiące po wniesieniu pozwu, w październiku 2020 r., telewizja publiczna w programie pod znamiennym tytułem „To oni przesuwają granice", w odcinku poświęconym „nowym typom rodzicielstwa", promowała ideę surogacji na przykładzie zaproszonych gości, którzy entuzjastycznie wypowiadali się o swoim doświadczeniu przy całkowitej przychylności prowadzących. Niejacy Jean-Raphael i Samuel opowiadali w nim o zakupie dziecka w Kanadzie za 165 tys. euro w pakiecie „all-inclusive".

W 2019 r. francuski sąd kasacyjny wydał w sprawie surogacji przełomowy wyrok, niejako legalizujący ten proceder, o ile doszło do niego za granicą. Postanowił, że dwaj mężczyźni żyjący w homoseksualnym związku mogą być uznani za ojców dziecka, jeśli usługa macierzyństwa zastępczego została wykonana w kraju, gdzie jest ona legalna, a do uznania za drugiego ojca dziecka mężczyzny niebędącego dawcą nasienia wystarczy jego wola w momencie skorzystania z usługi bez konieczności przeprowadzania procesu adopcyjnego.

Parlament przywrócił jednak obowiązek adopcji dla drugiego, niebiologicznego rodzica w przypadku zagranicznej surogacji, pragnąc uspokoić społeczne nastroje w momencie przegłosowywania bardzo krytykowanej ustawy bioetycznej, otwierającej m.in. dostęp do bezpłatnego in vitro dla par lesbijskich. Rząd chciał być w tym momencie postrzegany jako przeciwnik legalizacji zastępczego macierzyństwa.

Tymczasem legalizacja adopcji przez konkubinaty jednopłciowe i wymuszanie uznawania tego typu rodzicielstwa we wszystkich krajach Unii Europejskiej znalazła orędownika w Komisji Europejskiej. Ursula von der Leyen powiedziała: „Jeśli jesteś rodzicem w jednym kraju, jesteś rodzicem w każdym kraju", i ogłosiła rozpoczęcie prac nad rozporządzeniem w sprawie uznawania rodzicielstwa między państwami członkowskimi, podczas gdy na podstawie traktatów unijnych prawo rodzinne materialne należy do wyłącznej kompetencji państw członkowskich.

Jednak i bez udziału Komisji można być pewnym, że kolejna granica, którą ma być rzekomo surogacja, zostanie wkrótce przekroczona we Francji. Jak zauważył popularny we Francji komentator Éric Zemmour, surogacja będzie musiała zostać zalegalizowana w imię „perwersyjnej równości", bo skoro dwie lesbijki mogą mieć razem dziecko, to takie samo prawo musi zostać przyznane przecież homoseksualnym mężczyznom. Bioetycy z organizacji Prawnicy na rzecz Dzieciństwa również nie mają złudzeń: „[...] deklaracje ministerstwa sprawiedliwości są martwą literą i służą jedynie uśpieniu czujności zbyt łatwowiernych Francuzów".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

2 30 – 1295 IDX 2202211 3378/2202211

eprasa.pl 39ee1bda30

Nowe odkrycia hiszpańskich feministek

FOT. SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

Małgorzata Wołczyk

Postęp w Hiszpanii jest już na takim etapie, że publicznie można twierdzić, iż porno służy wychowaniu dzieci, a synowie mogą obmacywać matki jak mężowie

Wszyscy mamy już dosyć czytania o szaleństwach tęczowych ideologów. W końcu to finał wakacji, człowiek chciałby odpocząć od rewolucjonistów, zanim znów lemparcice wyskoczą na jakimś odcinku walki o „prawa człowieka". Kiedyś Fauerbach wydumał, że „człowiek jest tym, co je". Dziś zaś nowe zastępy materialistów chcą udowodnić, że człowiek jest tym, z kim współżyje: „osobą LGBTI+". Przyjrzyjmy się jednak sprawom na wesoło, żeby ocalić dobry humor w końcówce wakacji.

Przyznać trzeba, że kraj tak konserwatywny jak nasz nie zapewnia tylu szokujących wrażeń i przygód, ile oferuje progresistowska Hiszpania. Precyzując: nikt u nas nie patrzy podejrzliwie na piękną żonę prezydenta Dudy, zastanawiając się, czy aby na pewno jest kobietą. Ileż ciekawsze życie zmuszeni są wieść Hiszpanie, którzy wciąż się kłócą, czy ich pierwsza dama jest Begoñą Gómez czy też – jak się powszechnie podejrzewa – el Begoño. Jej bardzo męskie rysy twarzy oraz brak zdjęć z dzieciństwa i młodości rodzą mnóstwo spekulacji. Poszukiwacze prawdy, narażając się na cenzurę w mediach społecznościowych, co i raz wydobywają jakieś zdjęcia, wskazując na solidne jabłko Adama na szyi tejże Begoñi. Jedno, co nie budzi wątpliwości, to fakt, że teść premiera był do niedawna właścicielem dwóch saun gejowskich w Madrycie i złośliwcy mówią, że właśnie tam przyszły premier poznał swoją żonę. My oczywiście nie wierzymy w te wstrętne plotki! U nas panie prezydentowe i premierowe są poza podejrzeniem, więc – jako się rzekło – wieje nudą.

SEKSIZM ZNAKÓW DROGOWYCH

Nie ma też u nas żadnej zwariowanej minister ds. równouprawnienia na wzór Irene Montero, która w pandemii martwiłaby się głównie o nieograniczony dostęp do aborcji, o deprecjonujący kobietę skandaliczny seksizm znaków drogowych, o zagwarantowanie prawa do darmowej antykoncepcji i darmowych zabiegów zmiany płci dla młodzieży od 16 lat. Nikt u nas nie walczy jak ona o to, aby wyeliminować różowy kolor z przemysłu zabawkowego (bo jest opresyjny wobec dziewczynek) i o to, by język debaty społecznej nie dyskryminował mniejszości i zaoferował specjalne zaimki osobowe dla niebinarnych. Teraz łatwiej zrozumieć, dlaczego nad naszym zapóźnieniem tak usilnie pracują zwłaszcza eurokraci hiszpańscy. Może jednak grając na zwłokę, wygramy z nimi w innych dyscyplinach. Wszak ministerstwo ds. równouprawnienia już opracowuje podręcznik do matematyki w perspektywie gender, choć przyznaje, że jest do „negocjacji".

Z programu szkolnego zniknąć mają mnożenie na przemian, najmniejszy wspólny mianownik, cyfry rzymskie (w kraju, który wydał trzech cesarzy rzymskich i był przez pięć wieków prowincją Rzymu) i wiele innych zagadnień. Jak informują autorzy, chodzi o „nową filozofię edukacyjną, aby nikogo nie pozostawić w tyle. Rząd chce zredukować wysoki wskaźnik niepo-

eprasa.pl 39ee1bda30

wodzeń szkolnych poprzez zapewnienie jak największej liczby zdających uczniów". Wiele podstawowych treści znika też z podstaw nauczania języka hiszpańskiego i literatury, a w zamian, jak zauważa dziennik ABC, „ministerstwo edukacji wykazuje wyraźne upodobanie do wszystkiego, co ma związek z czarownicami". Proponuje też rozpocząć naukę od czytania tekstów literackich, których bohaterkami są czarownice, aby zbadać „rzeczywistość czarownic w całej historii i powody, dla których były tak niesprawiedliwie prześladowane i składane w ofierze".

ZAPAŚĆ UMYSŁOWA

Jest więc szansa, że najpierw przez dwie dekady będą nas okładać młotem poprawności politycznej, a na koniec będą prosić, żeby pojawili się już nie tylko polscy informatycy, lecz także inżynierowie i literaturoznawcy. Musimy po prostu przeczekać nawałnicę, aż Europa pełna będzie funkcjonalnych analfabetów, choć za to pełnych gejowskiej dumy. Wtedy może okazać się, że skansen zwany Polską jako jedyny zakonserwował kadry naukowe dla Europy.

O tym, jaka jest zapaść umysłowa na zachodnich uniwersytetach, dobrze wiemy, ale mimo wszystko czytanie niektórych doniesień wbija w fotel coraz głębiej. Oto na słynnym Uniwersytecie Complutense w Madrycie doradcy z ministerstwa równości, paru nauczycieli akademickich i artyści z kręgu partii Podemos zorganizowali pokaz na temat nowych eksperymentów ludzkiej seksualności. Prelekcja nosiła tytuł „Pragnienie, więzy i urojenia: drogi ucieczki z zachodniego kanonu" i dotyczyła głównie osiągania orgazmów przez pocieranie się o meble. Prelekcja była dostępna na YT, ale komentarze nie pozostawiały wątpliwości co do tego, po której stronie ekranu znajdują się jeszcze zdrowi ludzie: „I ci ludzie uczą na uniwersytecie??? Dokąd zmierza Hiszpania???", „Jeśli nie lubisz zachodniego kanonu (w którym żyjesz), to dlaczego nie uciekniesz na Kubę, do Korei Północnej czy Wenezueli?".

Właściwie co tydzień można dowiedzieć się z prasy o jakichś nowych przebłyskach lewackiego geniuszu, którym terroryzowani są biedni Hiszpanie. „Wyłącz telewizor, włącz łechtaczkę!" – to hasło z przewodnika dla dziewcząt i chłopców w podmadryckim mieście Getafe, jednym z najbardziej uprzemysłowionych i najgęściej zaludnionych. „Aby wszyscy chłopcy i dziewczynki z Getafe, a także nastolatki miały satysfakcjonujące stosunki seksualne i wyraźnie egalitarne" – tak broniła pomysłu socjalistyczna pani burmistrz. Nowe przewodniki będą obowiązywały w ramach edukacji seksualnej w tamtejszych szkołach i instytutach. Porady seksualne koncentrują się na „samoopiece", „odkryciu seksu w wielkim stylu" (m.in. przed lustrem) i masturbacji przed snem. Brzmi nieprawdopodobnie? Ależ to bardzo europejskie podejście, bez pruderii i zahamowań. I oczywiście, jak zechcą nam wmówić, wszystko to było zapisane w traktatach, dokumentach i zgodziliśmy się, wstępując do Unii, że przyjmiemy wyznanie lewackiej wiary i nauczymy nasze dzieci onanizować się na dobranoc. Oczywiście jedyna partia, która buntuje się przeciwko tym wszystkim zapędom, to tak wyśmiewana przez naszą „Wyborczą", a zwłaszcza „Rzeczpospolitą" partia VOX. Jedyna partia, która walczy o tzw. pin parental, czyli wgląd rodziców w program nauczania edukacji seksualnej i możliwość odmowy uczestniczenia dziecka w tych zajęciach. I trwają w uporze, choć ichnia minister edukacji Isabel Celaa już dwa lata temu zapowiedziała, że „dzieci już nie należą do rodziców".

REEDUKACJA MĘŻCZYZN

Dlatego najbardziej progresistowski (i muzułmański jednocześnie) region Hiszpanii – Katalonia – bierze się również do wychowania nowego (starego) człowieka w słusznym duchu, choć – powiedzmy sobie otwarcie – na celowniku są zawsze mężczyźni. Od października Barcelona otwiera ośrodek reedukacji dla mężczyzn zwany Centrum Nowych Męskości. Pomysł cieszy się ogromnym poparciem burmistrz Ady Colau (najbardziej progresistowska lewaczka na całym półwyspie) i współpracujących z nią włodarzy od „globalnej sprawiedliwości, feminizmów i LGBTQ".

Jak czytamy: „Celem jest szkolenie pracowników miejskich i reedukacja młodych ludzi, choć szkoła będzie otwarta również dla dorosłych, a nawet dojrzałych mężczyzn, którzy chcą przekierować swoje instynkty lub nabyte nawyki". Według Colau chodzi o zmianę paradygmatu, zgodnie z którym mężczyźni muszą być „twardzi, a nawet agresywni", i przede wszystkim powstrzymanie ich zapędów do gwałtu. Hiszpańscy progresiści są w tym wyjątkowo zgodni i od północnych zakątków kraju aż do przyczółków z widokiem na Afrykę jednego są pewni, bo – jak głosi wielki banner na ratuszu w Kadyksie – „Wskutek przemocy maczystowskiej ginie więcej kobiet niż razem wzięte ofiary wojen, raka i wypadków drogowych". Nawet dziecko w to nie uwierzy, ale lewacy wierzą święcie w to dictum. Ta kryminalizacja mężczyzn nie jest niczym nowym, Hiszpanie przywykli, że oskarża się ich o całe zło tego świata.

OSTATNIE TABU

Innym pomysłem wychowawczym Katalonii jest też zakaz sprzedaży alkoholu w sklepach całodobowych i na stacjach benzynowych po godz. 20, choć dzięki protestom ludzi udało się miłosiernie przesunąć godzinę na 22. Chodzi o to, aby ludzie nie upijali się w ulicznych popijawach i nie roznosili covidowej zarazy. To wszystko jednak blednie w obliczu łamania ostatniego tabu, jakie zostało w kulturze postchrześcijańskiej, a odnoszącego się do seksu rodziców z dziećmi. Oto Celia Blanco – pisarka, feministka biseksualna i znana dziennikarka „El País" – w wywiadzie dla „El Español" wnosi całkowicie nowy powiew głupoty woniejącej już siarką. Feministka uważa, że oglądanie porno sprzyja edukacji dzieci, choć niestety zawsze włącza się jakieś „stowarzyszenie oburzonych rodziców", którym nie podoba się swobodny dostęp dzieci do pornografii. Tymczasem jest to fenomen, który należy oswoić i przyjąć jako narzędzie do ich edukowania. Od swojej pani psycholog dowiedziała się, że wiele matek przeżywa podobne doświadczenia jak ona, gdy pragnący ich nastoletni synowie wkładają im rękę w majtki. „Mój syn mnie maca tak, jak mój mąż. Jestem szczęśliwa z przełamywania tabu i mówienia o tym" – mówi znana pisarka i niewielu to oburza. Wywiad ukazał się pod tytułem „Zbyt niewiele matek mówi o macających nas synach, których pociągamy seksualnie". I tylko jak zwykle „katole i faszyści" hiszpańscy złapali się za głowę i zatoczyli z obrzydzenia.

No i sami widzicie – jesteśmy w ogonie postępu. Nasze ciemne umysły nie pojmują dobrodziejstw oferowanych przez ideologów. Jak już dawno temu ostrzegał Herbert: „W każdej dojrzałej cywilizacji zejścia do piekieł są mnogie. Liczniejsze nawet niż budki z piwem". Nie wiedział wtedy, że dla zmylenia przeciwnika będą oznaczone tęczowymi flagami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 39ee1bda30

FOT. ADOBE STOCK

NIEMCY NA WĘGIEL

Europejski lider zielonej rewolucji i inwestowania w energie odnawialne w tym roku zasilał swój kraj głównie energią... z węgla. To nie żart. To dane niemieckiego Federalnego Urzędu Statystycznego. W 2020 r. cieszono się w Niemczech, że po raz pierwszy farmy wiatrowe wyprodukowały więcej energii niż elektrownie węglowe. W tym roku po prostu wiatr wiał słabiej. I cała rewolucja jak krew w piach. A Niemcy nadal do końca 2022 r. zamierzają zamknąć swoje elektrownie jądrowe.

UNIJNE „MAŁŻEŃSTWA" JEDNOPŁCIOWE

Parlament Europejski przyjął nową rezolucję. Postuluje w niej, że „małżeństwa" jednopłciowe i związki partnerskie powinny być uznawane w całej Unii Europejskiej. Rezolucja proponuje, by „małżeństwo" osób jednej płci zawarte w krajach, które to dopuszczają, było automatycznie uznawane w każdym innym kraju UE. Przy okazji rezolucji wspomniano, że „społeczności LGBTQI" doświadczają dyskryminacji w Polsce i na Węgrzech.

POSUWANIE KOŚCIOŁA DO PRZODU

Borys Kollar, lider konserwatywnego słowackiego ruchu Jesteśmy Rodziną, spotkał się z Franciszkiem. Po spotkaniu z papieżem ogłosił, że dla Ojca Świętego nie ma znaczenia, czy dziecko pochodzi z pełnej rodziny czy niepełnej. I dodał, że podziękował Franciszkowi za to, iż w ten sposób „posuwa Kościół do przodu". Kollar ma 11 dzieci z 10 kobietami i z żadną z partnerek nie jest związany na stałe.

HOLENDER, JAKA ZABAWA!

W mieście Urk w Niderlandach grupa młodych ludzi przemaszerowała przez centrum przebrana w nazistowskie mundury i zainscenizowała likwidację żydowskiego więźnia oznakowanego żółtą gwiazdą Dawida na piersi. Okazało się, że w ten sposób młodzi ludzie protestowali przeciw obostrzeniom związanym z koronawirusem. Mieszkańcom ten protest się nie spodobał. Podczas drugiej wojny światowej z Urk Niemcy deportowali do obozu w Sobiborze 80 Żydów.

BALONIKOWY BLACKOUT

W Dreźnie nagle wszyscy zostali odcięci od prądu. Awaria trwała dwie godziny. Policja, która prowadziła śledztwo w sprawie przyczyn awarii, ujawniła, że prawdopodobnie doszło do niej przez... balonik. Jego resztki znaleziono przy stacji zasilania. Wygląda na to, że po prostu odleciał z jakiejś imprezy. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Czarna twarz białych

Liberalny polityk Gavin Newsom pozostanie gubernatorem stanu Kalifornia. Jego przeciwnicy przegrali w referendum, które miało doprowadzić do jego odwołania ze względu na m.in. wysokie podatki, bezdomność oraz skandal, który wybuchł, gdy Newsom wziął udział w imprezie urodzinowej, choć jego własna administracja z powodu pandemii zabroniła tego typu spotkań.

Białego demokratę poparli m.in. prezydent Joe Biden, Barack Obama oraz socjalista Bernie Sanders. Do odwołania gubernatora nawoływał konserwatywny publicysta Larry Elder, któremu lewicowa i równościowa wspólnota tęczowej miłości dorobiła gębę okropnego prawicowca. Gdy 69-letni Elder – doktor prawa odznaczony Złotym Medalem Kongresu za bohaterstwo na frontach w drugiej wojnie światowej i znany choćby z tego, że był jednym z pierwszych czarnoskórych żołnierzy w Korpusie Piechoty Morskiej USA – stał się jednym z kandydatów walczących o fotel gubernatora Kalifornii, błyskawicznie został nazwany „czarną twarzą białej supremacji". Dlaczego? Otóż Elder jest zwolennikiem zakazu aborcji i przeciwnikiem ideologii gender. Nie chce też, by nazywano go Afroamerykaninem, bo ani on, ani jego krewni nigdy nawet w Afryce nie byli. W przeciwieństwie do innych czarnoskórych akurat Eldera można więc było bezkarnie atakować w biały dzień, bez obawy o reakcję policji, stanowych władz, a tym bardziej bez strachu o protesty neomarksistowskiej organizacji Black Lives Matter. Lewicowi aktywiści milczeli, gdy kandydat prawicy został w obecności mediów obrzucony jajkami przez białą kobietę w masce goryla i publicznie zwyzywany od „kawałka g..na". Nikt nie krzyczał o systemowym rasizmie ani przestępstwie nienawiści. Wygląda więc na to, że białych w USA można bić, nawet jak są czarni. ©℗

eprasa.pl 39ee1bda30

Jesień w Telewizji Republika

REPUBLIKA

Piotr Lisiewicz zaprasza

WYWIAD Z CHULIGANEM

Niedziela
godzina 22:00

#włączprawdę

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

Natalia Partyka laureatką ShEO Awards 2021. „Dużo dostałam i chciałabym dać wiele innym”

eprasa.pl 39ee1bda30

Natalia Partyka podczas gali ShEO Awards 2021 Format

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

Podczas gali ShEO Awards 2021 nagrodzono Natalię Partykę, która otrzymała statuetkę za wybitne wyniki sportowe oraz wkład w rozwój polskiego sportu. W rozmowie z nami utytułowana tenisistka stołowa opowiedziała o swoich startach, planach na przyszłość i zdradziła, czy według niej sukcesy kobiet są w naszym kraju należycie doceniane

Za nami kolejna, druga już edycja ShEO Awards. Podczas gali statuetki trafiły do rąk kobiet sukcesu, liderek oraz działaczek osiągających sukcesy w różnych dziedzinach. Wśród wyróżnionych pań znalazła się Natalia Partyka, którą doceniliśmy za wybitne wyniki sportowe, szlachetną postawę, wyjątkową promocję ojczyzny oraz wkład w rozwój polskiego sportu. Przypomnijmy, Natalia Partyka jest sześciokrotną mistrzynią paraolimpijską oraz jedyną tenisistką stołową na świecie, która startuje zarówno na igrzyskach olimpijskich, jak i paraolimpijskich.

NATALIA PARTYKA: CHCIAŁABYM, ŻEBY NIE BYŁO PODZIAŁÓW

Sportsmenka zapytana o to, czy jej zdaniem sukcesy kobiet w polskim sporcie są należycie doceniane, podzieliła się swoimi spostrzeżeniami. – Myślę, że w większości dyscyplin jeszcze kilka lat temu sport męski był bardziej doceniany, sport kobiecy był czasami traktowany z przymrużeniem oka – podkreśliła.

Według mistrzyni paraolimpijskiej sytuacja w sporcie się zmienia, głównie za sprawą zawodniczek osiągających sukcesy na arenie międzynarodowych. – Ich wyniki są coraz bardziej doceniane, co mnie bardzo cieszy. Mam nadzieję, że ja też swoją małą cegiełkę do tego wszystkiego dorzucam, bo bardzo bym chciała, żeby sport był jeden. Chciałabym, żeby nie było podziałów na sport męski i kobiecy, żeby wszystkie wyniki były odbierane z takim samym szacunkiem – dodała.

ZŁOTO NA WYJĄTKOWYCH IGRZYSKACH

Natalia Partyka po raz pierwszy na igrzyskach paraolimpijskich startowała, mając 11 lat. Już cztery lata po swoim debiucie w Sydney wywalczyła pierwsze złoto w Atenach. Następnie odnosiła sukcesy w Pekinie, Londynie, Rio de Janeiro i Tokio. Czy mając na koncie tyle występów, coś mogło ją zaskoczyć? Doświadczona zawodniczka przyznała, że tegoroczne igrzyska były wyjątkowe. – Przede wszystkim dlatego, że nie było na nich kibiców. Na pewno wszystkim zawodnikom brakuje kibiców, ponieważ oni zawsze tworzą wspaniałą atmosferę i napędzają do jeszcze większego wysiłku i lepszej gry – zaznaczyła.

W Japonii nasza laureatka wywalczyła dwa medale: brąz w turnieju indywidualnym i złoto w rywalizacji drużynowej. Drugi z wymienionych krążków po powrocie do Polski przeznaczyła na licytację. – Pieniądze z aukcji chcę przeznaczyć na swój fundusz stypendialny, którego celem jest wsparcie młodych, często utytułowanych sportowców, którzy mają troszeczkę trudniej, którzy borykają się z różnymi trudnościami w rozwoju kariery – powiedziała.

„MIAŁAM BARDZO DUŻO SZCZĘŚCIA"

Zapytana o to, czy w przeszłości sama doświadczyła podobnej pomocy, tenisistka odpowiedziała jednoznacznie. – Zawsze powtarzam, że miałam bardzo dużo szczęścia – podkreśliła. – Gdy jako siedmioletnia dziewczynka trafiłam na salę, nikt z pewnością nie dawał mi dużych szans powodzenia w tenisie stołowym. Nikt też jednak nie przekreślił mnie na samym początku. Po prostu pozwolono mi grać, a później ktoś dostrzegł we mnie potencjał i stworzono mi możliwości do rozwoju – opowiadała. Jak dodała, przez całą karierę była otaczana ludźmi, którzy w nią wierzyli i pomagali rozwijać się „w dobrym kierunku".

Mistrzyni paraolimpijska stworzyła Fundusz Natalii Partyki, którego celem, jak sama wspomniała, jest wsparcie młodych sportowców. – Mam wrażenie, że ja bardzo dużo dostałam i chciałabym też dać dużo innym. Chociaż w ten sposób mogę wykorzystać pozycję w sporcie, którą sobie wypracowałam – stwierdziła.

„SPORT TO CIĘŻKA, ALE BARDZO PIĘKNA DROGA"

A co Natalia Partyka powiedziałaby innym siedmiolatkom, którzy dopiero stawiają pierwsze kroki w sporcie, a też napotykają różne trudności? – Bardzo ważne jest to, żeby po prostu znaleźć coś, co się lubi i co się robi z przyjemnością. Fajnie, gdy sport jest naszą pasją – podkreśliła. – Miałam szczęście, że już na początku okazało się, że gra w tenisa stołowego sprawia mi dużo radości. Najważniejsze w przygodzie ze sportem jest to, by nie bać się marzyć i by wyznaczać sobie cele i ciężko pracować. Bo sport to ciężka, systematyczna, codzienna praca. To ciężka, ale też bardzo piękna droga – przekonywała.

Tenisistka przyznała zarazem, że jej przygoda ze sportem potrwa jeszcze co najmniej kilka lat. W 2023 r. zamierza wystąpić na igrzyskach paraolimpijskich we Francji. – Pojadę do Paryża, żeby odzyskać złoty medal utracony w Tokio w turnieju indywidualnym – podkreśliła. – Przede mną jeszcze wiele wyzwań i celów – podsumowała.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 39ee1bda30

Hybrydowa rewolucja

FOT. ADOBE STOCK

Jacek Przybylski

Większość Polaków po pandemii ani myśli o powrocie do biur. Z badań wynika, że kilkadziesiąt procent młodych pracowników chciałoby całkowitej pracy zdalnej. Duża grupa jest w stanie zgodzić się na model hybrydowy. Ponad połowa deklaruje zaś, że odejdzie z firmy, jeśli szef zażąda od nich powrotu do regularnego przesiadywania w biurze

Harówka codziennego życia w biurze już w XIX w. dawała się we znaki wielu zatrudnionym. Dopiero wiek XXI i pandemia COVID-19 zmusiły miliony pracodawców i pracowników do nagłego eksperymentu z pracą zdalną i wyzwoliły rzesze zatrudnionych z kajdan codziennych dojazdów do pracy i odsiadywania przy biurku zbędnych godzin.

AUTONOMIA PRACOWNIKA

Ogółem wśród różnych roczników największy odsetek chętnych do pracy zdalnej jest wśród osób mieszkających samotnie lub z jedną osobą (odpowiednio 34 i 32 proc.), wśród tych, którzy mieszkają w domu w trójkę lub czwórkę, chętnych do pracy w domu jest już tylko 26 proc., a wśród osób, które mieszkają z więcej niż czterema domownikami, odsetek chętnych do ciągłej pracy z domu spada do 21 proc.

Praca zdalna może się podobać, bo pracownicy zyskali większą autonomię, co przynajmniej teoretycznie powinno ułatwić godzenie życia zawodowego i prywatnego. W połowie września firma Poly opublikowała raport, który powstał na podstawie badania ponad 4 tys. pracowników hybrydowych z Wielkiej

eprasa.pl 39ee1bda30

Brytanii, Francji i Niemiec. Wynika z niego, że wielu pracowników hybrydowych korzysta z możliwości drzemki w ciągu dnia lub przedłuża czas snu, zostając dłużej w łóżku: prawie jedna piąta (17 proc.) deklaruje, że wstaje z łóżka z pięcioma minutami lub mniejszym zapasem czasowym, a aż 68 proc. budzi się maksymalnie 30 minut przed rozpoczęciem pracy. Na poprawę zdrowia i produktywności pracowników wpłynąć może również fakt, że niemal jedna czwarta ankietowanych pracowników (23 proc.) zaczęła ćwiczyć, np. uprawiać jogę, spacerować lub rozciągać się podczas konferencji lub wideorozmowy. 28 proc. respondentów z Wielkiej Brytanii i Francji oraz 14 proc. z Niemiec podczas wideokonferencji opiekowało się swoimi dziećmi.

Eksperyment pracy zdalnej wypadł zaskakująco dobrze. Zdaniem ekspertów na zawsze zmieniła się więc kultura biznesu oraz oczekiwania zatrudnionych, dla których bardzo ważne stało się nie tylko jak, lecz także gdzie i kiedy muszą pracować. Wiele potężnych światowych korporacji – jak np. Facebook – przedłużyło możliwość wykonywania obowiązków z domu poza wstępnie wyznaczony termin. We wspomnianym Facebooku pracownicy bez zgody wyłącznie na pracę zdalną będą musieli od października spędzać w biurze co najmniej połowę czasu pracy.

Mało który nowoczesny pracodawca ryzykuje jednak utratę największych talentów poprzez zmuszanie wszystkich do przesiadywania w siedzibie firmy. Z tegorocznego raportu „Work Reimagined Employee Survey" opracowanego przez EY wynika bowiem, że w biurze po pandemii chce pracować zaledwie co piąty ankietowany, a 54 proc. pytanych deklaruje, że jest gotowa odejść z firmy, jeśli szefowie nie zgodzą się na elastyczny model pracy.

26 proc. ankietowanych przez EY chciałoby pracować wyłącznie zdalnie, a 14 proc. zdalnie lub hybrydowo. Jak w połowie września zauważył portal bankier.pl, najczęściej całkowicie zdalnie chciałyby pracować osoby urodzone w latach 1984–1994. Wśród tzw. millennialsów aż 39 proc. pytanych jest gotowych całkowicie zrezygnować z biura lub zaglądać do niego tylko sporadycznie. W pokoleniu Z – pracownicy urodzeni po 1995 r. – 27 proc. ankietowanych najchętniej pracowałoby poza biurem przez cały tydzień.

Z różnych badań wynika również, że mniej więcej 80 proc. osób szukających pracy oczekuje, że już w ogłoszeniu pracodawca wyraźnie zaznaczy, czy daje możliwość wyboru modelu pracy.

POSTPANDEMICZNY KOMPROMIS

Wielu pracodawców, a zwłaszcza menedżerów starszej daty, nie potrafi sobie wyobrazić wyłącznie pracy zdalnej bez gabinetu z kawą podaną przez sekretarkę oraz bez możliwości nieustannego nadzorowania siedzących karnie przy swoich biurkach podwładnych.

I chociaż z wielu badań wynika, że przejście na pracę zdalną nie odbiło się negatywnie na wynikach pracy, to taki system wymaga od szefów dużego zaufania do pracowników. Z tym jest zaś nadal ogromny problem. Opublikowany w sierpniu raport Ricoh Europe pokazuje, że dwie trzecie szefów nadal nie ma zaufania do pracowników, którzy swoje zadania wykonują zdalnie. Zaledwie 35 proc. ankietowanych menedżerów jest zdania, że ich pracownicy zdalnie pracują tak samo ciężko jak w biurze, a 39 proc. jest przekonanych, że ich podwładni w domach nie pracują tak samo efektywnie jak w zakładach pracy. Menedżerowie narzekają również na to, że zdalny system pracy znacząco utrudnia wdrażanie do pracy nowych osób. Według psychologów wadą zdalnego systemu jest też znaczące spłycenie relacji między pracownikami.

Mimo braku zaufania do pracowników w przypadku większości szefów zaledwie 19 proc. pytanych rzeczywiście zauważyło spadek produktywności podczas pracy zdalnej. W przypadku zdecydowanej większości firm eksperyment powiódł się mimo oporów menedżerów. Ponad połowa ankietowanych zdecydowała się na zakup nowoczesnych technologii, które wspierają elastyczny model pracy, dzięki czemu ściągają lub utrzymują najbardziej wartościowych pracowników. – Jasne jest, że ograniczenie czasu dojazdów do pracy, większe poczucie elastyczności oraz zaufanie ze strony przełożonego są istotnymi czynnikami, które przyczyniają się do większej produktywności i innowacyjności. To nakłada na liderów obowiązek uczynienia ich hybrydowego modelu pracy tak skutecznym, jak to tylko możliwe – zauważył w raporcie szef Ricoh Europe David Mills, podkreślając jednocześnie, że jego zdaniem biura nigdy nie znikną. Nawet producent wielofunkcyjnych urządzeń do biur przyznaje jednak, że wprowadził u siebie hybrydowy model pracy, który pozwala zatrudnionym spędzać 50 proc. czasu na pracy zdalnej, a 50 proc. na pracy w biurze.

Pocovidową mutację rynku pracy potwierdza również opublikowane przed trzema tygodniami badanie wśród najemców budynków biurowych zarządzanych przez Cushman & Wakefield – amerykańską firmę świadczącą usługi doradcze na rynku nieruchomości komercyjnych. Wynika z niego, że tylko 25 proc. firm chce po pandemii wrócić do tradycyjnego modelu pracy stacjonarnej. 45 proc. przedsiębiorstw deklaruje, że docelowo wdroży hybrydowy model pracy, a 30 proc. nie podjęło jeszcze

eprasa.pl 39ee1bda30

ostatecznej decyzji w tej sprawie. W grę nie wchodzi jednak raczej całkowita rezygnacja z biura – ten scenariusz w badaniu Cushman & Wakefield przeprowadzonym na próbie 132 osób decyzyjnych w zakresie zarządzania przestrzenią biurową nie został wskazany przez żadnego respondenta.

Część firm ogranicza jednak posiadaną przestrzeń i wprowadza wspólne biurka, sale czy miejsca postojowe przed siedzibą, wykorzystując proste aplikacje do rezerwowania przez pracowników potrzebnej danego dnia przestrzeni. To łatwy sposób na zmniejszenie kosztów przez pracodawców.

Skoro najlepsi pracownicy ani myślą rezygnować z pracy zdalnej, a ich szefowie najchętniej widzieliby każdego etatowca przykutego kajdanami do biurka, w wielu firmach konieczny był kompromis zwany pracą hybrydową. Polega on na tym, że np. dwa dni pracuje się w biurze, a trzy w domu. Oczywiście w niektórych przedsiębiorstwach wystarczy, że pracownik pokaże się szefowi raz w miesiącu, a w innych w biurze trzeba pojawić się dwa, trzy lub nawet cztery razy w tygodniu. Elastyczny sposób pracy zwiększa jednak zadowolenie pracowników, z których wielu deklaruje, że przejście na wyłącznie zdalny model pracy zwiększa poczucie samotności i izolacji, a także utrudnia zachowanie równowagi między życiem zawodowym a prywatnym.

Eksperci podkreślają jednak, że menedżerowie powinni pamiętać, iż systemy pracy zdalnej oraz hybrydowej różnią się od siebie i wymagają dużej wiedzy i sprawności ze strony osób zarządzających firmami.

BIURKO NA RAJSKIEJ WYSPIE?

W polskich przepisach wciąż brakuje jasnej definicji pracy zdalnej. Ustawodawca dokładnie rok temu – we wrześniu 2020 r. – przedstawił projekt zmian w Kodeksie pracy wprowadzający pracę zdalną. Nowe prawo zakłada, że pracodawca będzie musiał pokryć m.in. koszty zużycia energii elektrycznej, dostępu do telefonu i Internetu etc. W zamian pracodawcom odeszło wiele obowiązków związanych z BHP.

Zgodnie z zapisami projektu pracownicy informację o wymiarze pracy zdalnej mieliby mieć wpisaną do umowy. Każdy zatrudniony zyskałby też możliwość złożenia wniosku o wykonywanie pracy zdalnej okazjonalnej (do 12 dni w roku). Pracodawca miałby też możliwość automatycznego delegowania zatrudnionego do pracy zdalnej w przypadku ogłoszenia stanu nadzwyczajnego, stanu zagrożenia epidemiologicznego czy stanu epidemii.

Zgodnie z projektem pracownik będzie zaś musiał poinformować pracodawcę o miejscu wykonywania pracy, aby ten mógł go skontrolować. Zgoda szefa na pracę z domu niekoniecznie będzie więc automatycznie oznaczała zgodę na wykonywanie obowiązków na tropikalnej wyspie.

Proponowane przepisy zakładają jednak, że wizytacja w miejscu pracy będzie mogła się odbyć jedynie w godzinach jej wykonywania i w terminie uzgodnionym wcześniej z pracownikiem. Ten ostatni zapis pojawił się w projekcie dopiero niedawno – brak tego zapisu naruszałby jednak art. 50 konstytucji o nienaruszalności mieszkania. Kolejną nowością w projekcie jest zapis o tym, że pracodawca nie może cofnąć pozwolenia na pracę zdalną zatrudnionemu wychowującemu dziecko w wieku do lat czterech lub sprawującemu opiekę nad niepełnosprawnym członkiem rodziny. Prace nad nowelizacjami trwają i raczej niemożliwe jest już, aby nowe przepisy zaczęły obowiązywać od 1 stycznia 2022 r.

SEKRETY PRACY ZDALNEJ

W połowie września firma Poly opublikowała raport, który powstał na podstawie badania ponad 4 tys. pracowników hybrydowych z Wielkiej Brytanii, Francji i Niemiec.

Praca zdalna dała też okazję do wielu zachowań, na które pracownicy raczej nie pozwoliliby sobie w biurze. Czternaścioro ankietowanych przyznało się do pokazywania środkowego palca lub przeklinania podczas spotkania on-line, a 9 proc. było świadkami, jak robi to kolega. 15 proc. pracowników z Wielkiej Brytanii, 14 proc. z Francji i 7 proc. w Niemczech było świadkami, jak współrozmówca dłubał w nosie podczas konferencji. 18 proc. respondentów z Wielkiej Brytanii, 16 proc. z Francji i 8 proc. z Niemiec widziało lub słyszało kłótnie współpracownika z partnerem lub członkiem rodziny podczas spotkania on-line. Co 10. pracownik przyznaje się do ucięcia drzemki podczas rozmowy lub wideokonferencji. Ponad jedna trzecia ankietowanych wyznaje zaś, że podczas spotkania on-line chodziła do toalety.

Przejście na pracę zdalną oraz hybrydową znacząco wpłynęło również na wygląd pracowników.

Ponadto 73 proc. ankietowanych spędza mniej czasu na pielęgnacji i przygotowywaniu się do pracy, a 72 proc. używa mniej produktów, takich jak kosmetyki do makijażu czy żel do włosów. Wielu badanych deklaruje również, że zaoszczędziło pieniądze, nie kupując eleganckich ubrań i kosmetyków.

Badanie pokazuje też, że na szczęście zdalnie da się na razie transmitować tylko obraz i dźwięk.

Aż połowa ankietowanych przyznaje się bowiem do rzadszego używania dezodorantu, 39 proc. rzadziej się myje, a 34 proc. wyznaje, że rzadziej myje nawet zęby.

Z badania firmy Poly wynika również, że niektórzy pracownicy powinni uważać na zacieranie się granic między życiem osobistym a wykonywaną w domu pracą. – Wszyscy potrzebujemy zachowania lepszej równowagi między pracą a życiem prywatnym, a praca hybrydowa to umożliwia. Członkowie zespołów muszą jednak uważać, aby nie wpaść w pułapkę tzw. syndromu domowego komfortu, czyli przesadnego rozluźnienia podczas spotkań i zapomnienia, gdzie się znajdują i na czym powinni się aktualnie skupić – podkreślił Paul Clark, senior vice president of EMEA sales w Poly, zauważając, że w badaniu 37 proc. pracowników przyznało się do pracy z kanapy, a prawie jedna czwarta (24 proc.) czuła się mniej skrępowana, oglądając w godzinach pracy serwisy streamingowe takie jak Netflix czy też przeglądając Internet w celach prywatnych. – Organizacje muszą zrozumieć różne typy osobowości i style pracy pracowników. Ich identyfikacja pomoże firmom zainwestować w odpowiednią technologię, aby zapewnić wszystkim najlepsze narzędzia i urządzenia, umożliwiając poczucie łączności i zaangażowania, kiedykolwiek i gdziekolwiek zdecydują się pracować. Ostatecznie to na pracodawcach ciąży odpowiedzialność podejścia do tych spraw z empatią wobec pracowników, zapewnienia im wskazówek dotyczących wydajnej pracy i prawidłowego korzystania z technologii, a przede wszystkim zdania sobie sprawy, że wszyscy jesteśmy tylko ludźmi – zaznaczył Paul Clark.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 39ee1bda30

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

PORUSZAJĄCA ROZMOWA Z WETERANEM KAMPANII 1939 R.

Wojciech Szatkowski – **Zdrada Goralenvolk**
Piotr Zychowicz – **Góralski legion Waffen-SS**
Tomasz Stańczyk – **Kręta droga Krzeptowskiego**
Marek Gałęzowski – **Niemieckie oblężenie Warszawy**
Sławomir Koper – **Tajemnica śmierci Józefa Poniatowskiego**
Jacek Bartosiak – **Wojna mocarstw w Kosmosie**
Martin Dugard – **Biały podbój czarnej Afryki**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 39ee1bda30

FOT. ADOBE STOCK

Papierowe półwiecze

Jakub Wozinski

Równo pół wieku temu prezydent Richard Nixon zerwał związek dolara ze złotem. Opłakane skutki tej decyzji odczuwa do dziś nie tylko światowa gospodarka, lecz także całe życie społeczne

Miliony Amerykanów, którzy 15 sierpnia 1971 r. zasiedli przed odbiornikami telewizyjnymi, aby zamiast bijącego rekordy popularności serialu „Bonanza" obejrzeć specjalne przemówienie prezydenta, z pewnością nie mogły przewidzieć, jak bardzo zmieni się świat w następstwie tego, co właśnie usłyszeli. Zasłaniając się atakami spekulantów na amerykańską walutę, Nixon poinformował, że podjął tymczasową decyzję o tym, aby wstrzymać wymienialność dolara na złoto po dotychczasowej cenie (35 dol. za uncję). Z dzisiejszej perspektywy warto docenić fakt, że prezydent USA czuł się w ogóle zobowiązany, aby poinformować o wszystkim społeczeństwo za pomocą telewizyjnej odezwy do narodu. Współcześnie decyzje mające niekiedy ogromny wpływ na nasz majątek podejmuje się najczęściej w zaciszu gabinetów i mało który z decydentów czuje potrzebę, aby wyjaśnić obywatelom racje, którymi się kierował.

TOPNIEJĄCA WARTOŚĆ

„Środki tymczasowe" w polityce mają niestety tę właściwość, że często stają się czymś permanentnym, i tak właśnie stało się w przypadku nowego dolara. Początkowo mało kto dowierzał, że waluta (a w zasadzie cały światowy system walutowy) może w ogóle poradzić sobie bez ugruntowania w fizycznym pieniądzu, jakim od wieku było złoto lub srebro. Potęga amerykańskiego imperium sprawiła jednak, że to, co pierwotnie niewyobrażalne, stało się czymś powszednim. Mało tego, w powszechnej percepcji to właśnie dawniej obowiązujące normy nakazujące powiązać walutę z posiadanymi zasobami kruszców stały się z czasem prawdziwą egzotyką i uchodzą za symbol dawno i słusznie minionej epoki.

System finansowy oparty na walutach oderwanych od złota istnieje już pół wieku, co prowadzi wiele osób do wniosku, że najwidoczniej nie jest on wcale taki zły. W ostateczności przez ostatnich kilka dekad ludzkość osiągnęła bezprecedensowy rozwój technologiczny. Świat przeszedł nie tylko tzw. trzecią rewolucję przemysłową związaną z upowszechnieniem się Internetu i technologii informatycznej, lecz także obecnie wkracza właśnie w kolejną, tym razem już czwartą rewolucję opartą na integracji osiągnięć z zakresu biotechnologii, informatyki i automatyki. Przez ostatnie pół wieku zauważalnie zredukowany został także

eprasa.pl 39ee1bda30

problem skrajnego ubóstwa, w którym jeszcze w latach 60. żyło nawet 80 proc. ludności świata, a obecnie zaledwie 10 proc. Być może więc Richard Nixon nie popełnił żadnego karygodnego błędu, lecz uwolnił ogromną energię drzemiącą w ludzkości, za sprawą której uda się zapewne niedługo rozpocząć systematyczny podbój kosmosu.

Skupiając się na materialnych osiągnięciach papierowego półwiecza, można niestety łatwo pominąć dużo mniej korzystne efekty porzucenia wszelkich związków ze złotem. Wystarczy przyjrzeć się samej cenie uncji złota, która z poziomu 35 dol. wzrosła aż do 1,8 tys. dol. Uwzględniając inflację, stwierdza się, że amerykańska waluta straciła 85 proc. swojej wartości. Jeszcze gorszy los spotkał zdecydowaną większość pozostałych walut świata, które w tym czasie nie dotrzymały tempa dolarowi. Niepokojące zmiany dotknęły także finansów publicznych. Jeszcze w 1971 r. amerykański dług publiczny wynosił 398 mld dol. i stanowił 34 proc. PKB, lecz obecnie wzrósł do 28 bln dol., co stanowi już ponad 130 proc. PKB. Podaż amerykańskiej waluty wzrosła zaś przez ostatnie 50 lat o ponad 2,1 tys. proc.

Porzucenie złota wprowadziło Stany Zjednoczone i całą ludzkość w epokę wielkich cyfr i rekordów, lecz niestety nie są to na ogół rekordy, które społeczeństwo faktycznie chciałoby bić. Wystarczy zauważyć, że średnia cena domu w USA wzrosła z ok. 25 tys. dol. w 1971 r. do ponad 350 tys. dol. obecnie, co nawet uwzględniając wzrost zarobków, sprawia, że życie przeciętnego zjadacza chleba stało się zdecydowanie droższe niż wcześniej. Ogromnie wzrosły także koszty edukacji wyższej – w przypadku najlepszych uniwersytetów roczna opłata wzrosła w opisywanym okresie nawet dwudziestokrotnie.

Zaprezentowane tu dane dotyczą oczywiście przede wszystkim Stanów Zjednoczonych, lecz ich efekty są widoczne na całym świecie. „Zamknięcie złotego okna" doprowadziło wszędzie do bardzo podobnych efektów w postaci narastającego nieustannie zadłużenia, osiągających niebotyczne rozmiary bilansów banków centralnych, wzrostu kosztów życia czy też powracających z coraz większą siłą kryzysów gospodarczych.

KOSZTY SPOŁECZNE

Zmiany w zakresie monetarnym nie pozostały bez efektów w obszarze niemal całego życia społecznego. Papierowe półwiecze, w którym przyszło nam żyć, wymusiło niestety także ogromne zmiany w sposobie naszego funkcjonowania jako członków rodzin oraz naszych gospodarstw domowych. Przesadą byłoby oczywiście doszukiwanie się praprzyczyny wszystkich niekorzystnych tendencji w decyzji Nixona, niemniej jednak można w niej dostrzec pewien bardzo istotny element, który współdecydował o tym, że cywilizacja zachodnia – a w ślad za nią cały świat – podążyła w tym, a nie innym kierunku.

Życie na koszt rosnącego zadłużenia przyczyniło się przede wszystkim do ogromnego wzrostu dekadencji i rozpadu świata tradycyjnych wartości. Do myślenia daje choćby fakt, że od początku lat 70. liczba zawieranych małżeństw spada praktycznie na całym świecie (w Europie Zachodniej jest ich obecnie przeciętnie dwa razy mniej niż przed 50 laty). W ubiegłym roku w wielu krajach (w tym m.in. w Polsce i Stanach Zjednoczonych) urodziło się najmniej dzieci od wielu dekad, co z jednej strony można tłumaczyć pandemią, lecz z drugiej stanowi niewątpliwie ukoronowanie pewnych od dawna nasilających się trendów.

Wszystkie niepokojące zjawiska ostatniego półwiecza dokonały się rzecz jasna w kontekście m.in. rewolucji 1968 r., lecz nie miałyby z pewnością tak ogromnego zasięgu, gdyby nie podłoże ekonomiczne przygotowane przez nowe porządki w systemie walutowym. Zakotwiczona wcześniej przy użyciu złota w realnym świecie cywilizacja w pewnym sensie wkroczyła w nową epokę, w której sama dekretuje, co jest dla niej ważne, bez względu na dorobek wcześniejszych pokoleń.

Wobec nieustannie spadającej siły nabywczej papierowych walut społeczeństwa zachodnie, a w ślad za nimi także niemal całego świata, straciły podstawowy bodziec skłaniający do prowadzenia oszczędnego i zorientowanego na przyszłe pokolenie życia. Przy obecnie stosowanych ujemnych stopach procentowych uratowanie zgromadzonego kapitału przed inflacją stało się w zasadzie niemożliwe. Tak niecodzienna sytuacja odciska nieustannie ogromne piętno na naszych codziennych wyborach, gdyż zamiast powstrzymywać konsumpcję, ciągle się jej oddajemy.

Pieniądz oderwany od złota daje złudne poczucie dysponowania niewyczerpanymi zasobami bogactwa, gdyż decydenci nie czują się ograniczeni żadnym fizycznym zasobem. Z tego powodu współcześnie całkiem na poważnie rozważa się nawet tak niedorzeczne pomysły jak nowoczesna teoria monetarna (MMT), która postuluje nadanie państwu pełni władzy nad pieniądzem z całkowitym pominięciem sektora bankowego. Tak bardzo oderwane od rzeczywistości projekty z pewnością za jakiś czas odejdą w cień, gdy okaże się, że zamknięte przez Richarda Nixona „złote okno" trzeba będzie w pewnym zakresie otworzyć na nowo.

Kwestię tę postawiła w zupełnie nowej perspektywie pandemia, która przyczyniła się do wielkiej dysfunkcji obecnego systemu. W samym tylko 2020 r. w Stanach Zjednoczonych całkowita podaż pieniądza wzrosła o wartość, która odpowiada aż 20 proc. wszystkich wykreowanych kiedykolwiek dolarów. Banki centralne na całym świecie skupują dług publiczny w ogromnych ilościach, a decydenci są przekonani, że wystarczy robić dokładnie to samo, co przez ostatnie 50 lat, aby nieustannie pobudzać gospodarkę do przyspieszonego biegu. Przez ten czas świat uległ jednak ogromnym zmianom i te same narzędzia nie wystarczą już do osiągnięcia pożądanych efektów. Na początku lat 70. można było jeszcze żywić przekonanie, że zachowujące wciąż zdrowe korzenie społeczeństwo zdoła dostosować się do wymogów życia w nowych warunkach. Papierowe półwiecze odmieniło jednak świat na tyle, że dziś czymś niewyobrażalnym wydaje się nie tylko spłata wyrosłych w tym czasie długów, lecz także znalezienie sposobu na to, aby konsumpcjonistyczne społeczeństwo skłonne było zmienić swoje nawyki.

„Złote okno" pozostaje zamknięte już od półwiecza i zapewne upłynie jeszcze trochę czasu, zanim ktoś je ponownie otworzy. Osobną kwestią pozostaje również to, czy istnieje polityczna wola, aby tego dokonać. Pamiętna decyzja z 1971 r. przyczyniła się do ogromnych zmian kulturowych, które pchnęły USA zdecydowanie w lewą stronę. Na dodatek Ameryce wyrósł w tym czasie potężny azjatycki rywal. Świat byłby dziś zdecydowanie lepszy, gdyby tamtego pamiętnego wieczoru Nixon powstrzymał się od działania i pozwolił ludziom obejrzeć kolejny odcinek „Bonanzy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 39ee1bda30

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

RPP gromi inflację. Brawo!

No i niech ktoś jeszcze raz ośmieli się powiedzieć, że Rada Polityki Pieniężnej nie walczy – z całą mocą i do tego skutecznie – z inflacją! Niech ktoś jeszcze raz ośmieli się rzucić taką potwarz! W sytuacji, gdy RPP walczy z inflacją po prostu jak lew. No, może nie z przyczynami inflacji, ale ze skutkami na pewno, bez dwóch zdań. No, może nie w całej Polsce, ale na swoim podwórku – jak najbardziej, i to jeszcze jak! W końcu nie jakieś tam bagatelne, kilku- czy kilkunastoprocentowe, lecz sięgające aż znakomitych 40 proc. podwyżki uposażeń członków RPP z początkiem sierpnia 2021 r., a więc tuż po lipcu, gdy inflacja w Polsce osiągnęła jakże symboliczny poziom 5 proc. – nadal się rozpędzając, świadczą o tym dobitnie – tak dobitnie, że lepiej się chyba nie da.

Kto mnie zna, ten dobrze wie, że zawsze się cieszę, gdy ktoś dostaje podwyżkę. Nie inaczej jest, gdy taką podwyżkę dostają politycy i urzędnicy; to przecież moi, zatrudniani przeze mnie i przeze mnie opłacani – jako jednego z milionów polskich podatników – pracownicy. Cieszę się, tym bardziej gdy mam przekonanie, że dobrze wypełniają powierzone im obowiązki, czyli że solidnie na swe podwyżki zapracowali. A jak mógłbym nie mieć takiego przekonania dziś w przypadku RPP, po tak ostrym – bo po aż 40-procentową podwyżką uposażeń członków Rady – uderzeniu w inflację?!

„Wynagrodzenie członka RPP wynosiło 26 476,25 zł, od 1 sierpnia br. wynosi 37 066,75 zł, co oznacza wzrost o 40 proc." – skwitowano to lakonicznie na stronie internetowej NBP. I choć „zmiana wysokości wynagrodzenia wynika z rozporządzenia prezydenta RP zmieniającego rozporządzenie w sprawie szczegółowych zasad wynagradzania osób zajmujących kierownicze stanowiska państwowe, które wprowadza nowe mnożniki kwoty bazowej służące do wyliczenia uposażenia wiceprezesa NBP, a członkom RPP przysługuje wynagrodzenie równe wynagrodzeniu wiceprezesa NBP" – to przecież NBP mógł w swym komunikacie śmiało wskazać, że realizując tę podwyżkę uposażeń członków Rady, NBP i RPP dają oczywisty, ewidentny i w dodatku mocny dowód, że z całą właściwą im przenikliwością dostrzegają narastającą w Polsce inflację, nie bagatelizują jej i – ani trochę (nie, w żadnym razie!) nie godząc się z jej coraz wyższym poziomem – oto właśnie reagują. I to reagują odpowiednio, czyli z dużym wyprzedzeniem, nadmiarowo, tak jak w takim przypadku reagować się powinno – realizując podwyżkę wynagrodzenia członków RPP o 40 proc., a więc aż osiem razy więcej niż poziom lipcowej inflacji, osiem razy mocniej, osiem razy bardziej zdecydowanie! I dzięki temu roczne uposażenie każdego członka RPP wynosi teraz 445 tys. zł, czyli wreszcie w sam raz tyle, ile powinno wynosić w przypadku członka Rady Polityki Pieniężnej w kraju o takiej inflacji jak w Polsce. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Co dalej z covidowym paszportem?

Pokazowego zaszczepienia na COVID pierwszej osoby w Polsce dokonano 27 grudnia ubiegłego roku. Za trzy i pół miesiąca minie od tamtej chwili rok. Nie wiem, kiedy pani Alicja Jakubowska, bohaterka tamtego teatrzyku, przyjęła drugą dawkę. Powiedzmy, że po dwóch tygodniach. W takim razie za cztery miesiące skończy się ważność jej certyfikatu szczepionkowego, bo te dokumenty ważne są przez rok od momentu pełnego zaszczepienia, czyli w większości przypadków drugą dawką lub ewentualnie jedną (w przypadku szczepionki J&J). Co dalej? Nie wiadomo.

Co się stanie, gdy certyfikaty zaczną tracić ważność? Czy polskie państwo je z automatu przedłuży?

To problem, o którym milczy nie tylko polski rząd. A przecież certyfikat jest dokumentem na poziomie unijnym. W różnych krajach od jego posiadania – bądź posiadania aktualnego testu – uzależniono możliwość korzystania z różnych udogodnień, a np. we Francji nie da się bez niego właściwie normalnie funkcjonować.

Co się stanie, gdy certyfikaty zaczną tracić ważność? Czy polskie państwo je z automatu przedłuży? Czy może przedłużenie uzależni od przyjęcia kolejnej dawki, o czym coraz natarczywiej wspominają lekarze z Rady Medycznej (ci sami, którzy mają tu konflikt interesów)? Lecz czy nadal byłaby to dawka darmowa? I czy sytuacja w państwach takich jak Izrael, gdzie zaczyna się już organizować czwartą dawkę, to faktycznie uzasadnia? A jeśli za trzecią dawkę zwykły Polak będzie już musiał zapłacić? Czy to znaczy, że przedłużenie jego certyfikatu będzie de facto płatne?

Covidowe „paszporty" raczej zniesione do tego momentu nie zostaną, bo rozporządzenie, którym je wprowadzono, mówi, że rok po zakończeniu stanu pandemii przez WHO ma być dokonany jedynie „przegląd" funkcjonowania systemu. Mamy więc do czynienia ze środkiem „tymczasowym", który może trwać latami, a jego brak będzie wyrzucał ludzi do drugiej kategorii. Co w takim razie z kończącą się ważnością tych zaświadczeń? To pytanie – wciąż bez odpowiedzi – pokazuje, w jakie bagno zabrnęliśmy. Nikt nie zna odpowiedzi, nikt nie wie, jak to się ma skończyć. Wiadomo tylko, kto na tym wszystkim zarabia. Tu akurat wątpliwości nie ma. ©℗

eprasa.pl 39ee1bda30

Poznań – boom na rynku nieruchomości pierwotnych

Anna Mojsiuk

Mateusz Glema

Jakub Chenafi

Poznań, jedno z sześciu największych miast w Polsce, stanowi obecnie bardzo chłonny rynek mieszkań z rynku pierwotnego. W stolicy Wielkopolski wciąż odnotowujemy trend rosnący, biorąc pod uwagę liczbę oddawanych mieszkań, liczbę rozpoczętych inwestycji oraz rosnących cen lokali mieszkalnych. Jak wskazuje raport NBP, „w analizowanym okresie (I kwartał 2021 r.) w stosunku do poprzedniego kwartału odnotowano 4,5-procentowy wzrost liczby zawartych umów sprzedaży mieszkań na rynku pierwotnym. W marcu 2021 r. odnotowano także 18-procentowy wzrost podaży. W porównaniu z 1 grudnia ub.r. oferta deweloperów zwiększyła się o ok. 1 tys. mieszkań, co świadczy o wzroście optymizmu w sektorze".

Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom potencjalnych nabywców mieszkań w Poznaniu, Grupa Inwest, głównie działająca w Warszawie, poszerzyła swą działalność, biorąc pod uwagę nową lokalizację. Deweloper działa od ponad 25 lat i dotychczas zrealizował ponad 70 budynków mieszkalnych, wielorodzinnych, a w tym niemal 3,5 tys. mieszkań. Aktualnie Grupa Inwest posiada dziewięć inwestycji w realizacji, z tego aż trzy w Poznaniu! Cztery lata temu podjęta została decyzja o poszerzeniu działalności o niezwykle chłonny i dynamiczny rynek poznański. Celem było przeniesienie doświadczenia firmy i wdrożenie wypracowanej jakości. Bezspornie można tutaj mówić o sukcesie, o czym świadczą dwie zakończone inwestycje, które obejmowały łącznie niemal 370 mieszkań – Harmonia + Karpia 27 znajdująca się na poznańskich Naramowicach oraz Nova Łacina Niemena 5 znajdująca się na Ratajach. Na tym jednak nie koniec, Grupa Inwest ogłosiła premierę trzech nowych inwestycji na mapie Poznania!

Kontynuacja projektu Nova Łacina. Budynek drugiego etapu powstaje pod adresem Niemena 6, w sąsiedztwie już zakończonego pierwszego etapu oraz Galerii Posnania i nowej estakady katowickiej, skąd dojazd do ścisłego centrum miasta zajmuje zaledwie kilka minut. Nabywcy znajdą tutaj aktualnie jedną z najlepszych lokalizacji do zamieszkania w Poznaniu, jest to także doskonała lokata kapitału dla tych, którzy poszukują korzystnych inwestycji.

Zwolennicy ekologicznej alternatywy dla jazdy samochodem mają w zasięgu kilku kroków miejski dworzec autobusowy, liczne linie tramwajowe oraz stacje rowerów miejskich wraz z rozbudowaną siecią ścieżek rowerowych. Inwestycja składa się z 236 mieszkań, w tym kawalerek, mieszkań dwu- oraz trzypokojowych.

Naramowice bis. Nowa realizacja znajduje przy ulicy Czarnucha w otoczeniu nowoczesnej, niskiej zabudowy, co sprawia, że charakter okolicy nadaje mu klimat cichy i kameralny. Wygodna komunikacja miejska, bliskie położenie sklepów, usług, placów zabaw i terenów rekreacyjnych sprawiają, że inwestycja Horyzont Naramowice staje się ciekawą i niebanalną propozycją dla wszystkich tych, którzy potrzebują własnego azylu w bliskiej odległości od centrum miasta. Dzielnica prężnie się rozwija. Modernizacja ulicy Naramowickiej, budowa nowej linii tramwajowej oraz liczne przystanki autobusowe zapewniają szybki i bezpieczny dojazd do centrum miasta. Inwestycja składa się z 159 mieszkań. W ofercie można znaleźć zarówno mniejsze mieszkania idealne na start lub pod inwestycję, jak i mieszkania większe, rodzinne, w tym także dwupoziomowe.

Wilda Corner, zlokalizowana na zbiegu ulic Czarnieckiego oraz Roboczej, to kameralny, sześciokondygnacyjny budynek położony w otoczeniu klimatycznych, zabytkowych kamienic oraz nowoczesnej zabudowy. Centralna lokalizacja gwarantuje wysoki komfort życia. Mieszkania zostały zaprojektowane tak, aby każda powierzchnia została jak najlepiej wykorzystana. Inwestycja składa się z 60 mieszkań oraz 10 lokali usługowych. To projekt dedykowany najbardziej wymagającym nabywcom, którzy poszukują poczucia przestrzeni i oryginalności, pozostając zarazem blisko serca miasta.

Grupa Inwest zapowiada dalszą działalność na terenie stolicy Wielkopolski oraz informuje, że zakupiła kolejne grunty w Poznaniu. Więcej informacji na temat premierowych inwestycji znaleźć można na stronach internetowych: www.nova-lacina.pl, www.horyzont-naramowice.pl, www.wilda-corner.pl lub wpisując w wyszukiwarce hasło „Grupa Inwest". Warto się pospieszyć, aktualnie dostępne są liczne promocje na zakup lokali. Zapraszamy również na targi mieszkaniowe w dniach 25–26 września 2021 r. na terenie Międzynarodowych Targów Poznańskich.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 39ee1bda30

TEST „DO RZECZY": HP SPECTRE X360

Potężna moc procesora z certyfikatem Intel Evo, niewielka waga, intrygujące wzornictwo, przydatny tryb tabletu oraz bardzo długi czas pracy na baterii – to największe zalety nowego ultrabooka HP z prestiżowej serii Spectre x360.

Na pochwałę zasługują prosty i elegancki design oraz świetna jakość wykonania. Co prawda, portów jest istotnie za mało – do dyspozycji producent zamontował cztery porty Thunderbolt (USB-C 3.2 gen. 2), jedno USB 3.2 typu A gen. 2, czytnik kart microSD oraz minijack 3,5 mm, ale to liczba wystarczająca dla większości użytkowników. Klasyczny ultrabook w aluminiowej obudowie waży zaledwie 1,3 kg. Nieźle. Do ochrony urządzenia zastosowano klasyczny czytnik linii papilarnych oraz wykorzystujący podczerwień skaner twarzy. Komputer można oczywiście łatwo zmienić w tablet. I odwrotnie. Klawiatura jest wygodna, a gładzik zaskakująco duży.

Plusem w tegorocznej odmianie konwertowalnego ultrabooka HP jest przejście na proporcje ekranu 3:2, dzięki czemu przy pracy biurowej wyświetlacz o przekątnej zaledwie 13,5 cala wydaje się istotnie większy, niż jest w rzeczywistości. Do wyboru są dwie wersje: tańsza z panelem LCD IPS oraz dużo lepsza i sporo droższa z dotykową błyszczącą matrycą OLED o rozdzielczości 3000 x 2000.

Eleganckie maleństwo od HP skrywa spory zapas mocy. Wewnątrz zainstalowano bowiem najpotężniejszy układ niskonapięciowy z rodziny Tiger Lake-U, czyli procesor Intel Core i7-1165G7, zintegrowany z wydajnym układem graficznym Intel XE oraz 16 GB pamięci RAM. I choć nie jest to laptop gamingowy, to w wolnej chwili można nawet odpalić na nim sporo najnowszych tytułów.

W czasach codziennych telekonferencji w ultrabooku tej klasy nie mogło zabraknąć kamery o rozdzielczości 720p przy 30 klatkach na sekundę.

Ogromnym plusem testowanego modelu jest też bateria o pojemności 8210 mAh, która spokojnie wystarcza na cały, ośmiogodzinny–dziewięciogodzinny dzień pracy z dala od gniazdka elektrycznego. HP Spectre x360 obsługuje również system szybkiego ładowania.

Wady? Chociaż głośniczki Bang & Olufsen brzmią bardzo przyzwoicie, to przydałoby się im nieco więcej basu. Ultrabook przy dużym obciążeniu pracą potrafi się też na tyle wyraźnie nagrzewać, że trzymanie go na kolanach staje się mało komfortowe. Gdy zaś się mocno nagrzeje, sporo za głośne stają się również wbudowane wentylatorki. Przy normalnej biurowej pracy ani zbyt wysoka temperatura, ani zbytni hałas jednak nie przeszkadzają.

HP Spectre x360 zasługuje więc na wysoką ocenę i niestety producent o tym wie. Jego koszt zależy m.in. od rodzaju wyświetlacza, pojemności dysku SSD czy koloru (do wyboru są czarny, niebieski i srebrny). Srebrny egzemplarz z ekranem OLED i dyskiem o pojemności 1 TB można kupić za 5999 zł. Droższe wersje przekraczają już znacząco 8 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

INTELIGENTNE OKULARY FACEBOOKA

Amerykański gigant technologiczny zaprezentował okulary typu „smart", pozwalające na robienie zdjęć oraz kręcenie krótkich, 30-sekundowych klipów wideo. Jak przystało na reprezentanta mediów społecznościowych, inteligentne patrzałki ułatwiają również dzielenie się treściami z innymi. Okulary stworzone przez Facebooka we współpracy z kultową marką Ray-Ban umożliwiają również słuchanie muzyki oraz prowadzenie rozmów telefonicznych (w sprzęt wbudowane są nie tylko douszne głośniki, lecz także trzy mikrofony). Cena gadżetu o nazwie Ray-Ban Stories, który początkowo ma być oferowany tylko w USA, Australii, Kanadzie oraz Wielkiej Brytanii, Irlandii i we Włoszech, ma zależeć od wariantu okularów. Trzeba będzie jednak na nie wydać co najmniej 299 dol. (równowartość 1150 zł).

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NOWA INTELIGENTNA ROOMBA

Na polskim rynku zadebiutował nowy iRobot Roomba serii j7. Według producenta nowy model, korzystając z nawigacji PrecisionVision, ma sprawniej identyfikować przeszkody, a dzięki platformie iRobot Genius 3.0 również lepiej dostosowywać się do swojego właściciela.

Robot zapamiętuje określone pomieszczenia oraz meble, dzięki czemu za każdym razem potrafi odkurzać dom bardziej efektywnie. Inteligentny odkurzacz potrafi również automatycznie rozpocząć odkurzanie, kiedy domownicy wyjdą do pracy, oraz zakończyć je, gdy tylko wrócą. Nowy model ma również opcję „cichej jazdy", dzięki czemu jadąc sprzątać do kuchni, może bardzo cicho przejechać np. obok pokoju, w którym akurat pani domu prowadzi telekonferencję.

Sama Roomba j7 kosztuje 3499 zł. Za ten sam model, ale ze stacją do automatycznego opróżniania śmieci, trzeba zapłacić 4499 zł. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 39ee1bda30

Fot. Urszula Nawrot

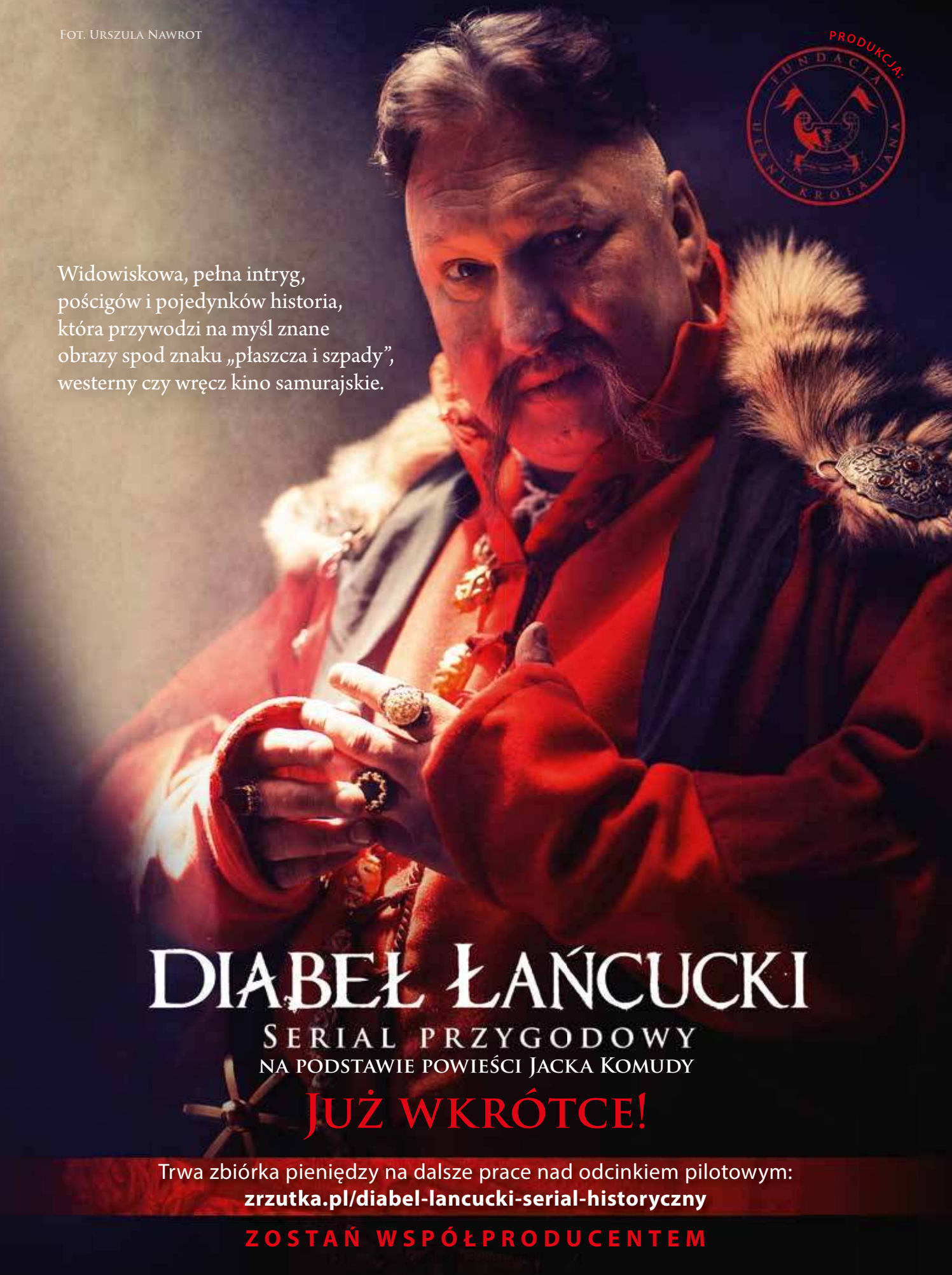

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Teatr na Zamku Królewskim

JACEK KOMUDA

Sztuki Wiliama Szekspira grane były w Polsce już w drugim dziesięcioleciu XVII w., za panowania Zygmunta III Wazy, dosłownie 10 lat po śmierci autora. Jako pierwsza pokazywała je wędrowna trupa aktorska Johna Greena. „Romeo i Julia", „Kupiec wenecki", „Król Lear" i „Hamlet" – to pierwsze przedstawienia wybitnego twórcy, które wystawiono nad Wisłą. Trupa Greena, jak podaje Jerzy Lileyko, przebywała w Polsce pół roku, grając przede wszystkim w nowo rozbudowanym Zamku Królewskim.

Tutaj właśnie pierwszy stały teatr założył w Rzeczypospolitej król Władysław IV, wielki miłośnik teatru włoskiego.

Scena z dawnymi efektami specjalnymi na rycinie z XVII-wiecznego dzieła o teatrze FOT. DOMENA PUBLICZNA

Rozkazał przebudować salę w południowym skrzydle, tworząc pierwszą stałą scenę. Znajdowała się ona nad schodami, koło wieży Grodzkiej, otwierając się na wschód – na widownię zlokalizowaną na piętrze, w dzisiejszym południowo-wschodnim narożniku zamku. Zbudowano ją w 1637 r. i był to jeden z największych cudów techniki w Europie, aczkolwiek pierwszeństwo ma w tym względzie Wenecja, gdzie w tym samym roku otwarto pierwszy taki gmach publiczny – San Cassiano.

Teatr zamkowy projektował Augustyn Locci i Jan Baptista Gisleni, a mechanizmy stworzył Bartłomiej Bolzoni. Jak pisze Jacek Żukowski, „teatralny mecenat Władysława IV wysunął Warszawę nie tylko przed Wiedeń czy Paryż, ale postawił dwór polski w jednym rzędzie z najznakomitszymi scenami Italii". Podziw widzów wzbudzały nie tylko wystawiane tutaj sztuki i komedie, lecz przede wszystkim niezwykłe rozwiązania techniczne. Zapadnie, mechanizmy, iluzje, akustyczne i świetlne efekty, manekiny i całe systemy zmiany scenografii, które zapewne wzbudziłyby podziw nawet dzisiejszego widza. Epoka baroku lubowała się w niezwykłościach i w mistrzowski sposób wykorzystywała różnorodne mechanizmy do tworzenia ruchomych gór i domów, nagłego wprowadzania na scenę potworów i zwierząt, odtwarzania zjawisk przyrody takich jak grad, burza czy deszcz, wreszcie przygotowywania kostiumów z ukrytymi pod nimi metalowymi częściami i trybami. Królowa Ludwika Maria, która przybyła do Polski w 1646 r. z Paryża, była tym zachwycona. „Nic nigdy dotąd nie widziałam równie pięknego i w tej chwili z trudem tylko zdecydowałabym się na oglądanie zwyczajnych przedstawień francuskich lub włoskich. Muzyka tak wyśmienita, urządzenia mechaniczne tak zdumiewające, że naprawdę byłam oczarowana" – pisała do kard. Mazzariniego.

Kto występował na scenie i czyje dzieła tu wystawiano? Przede wszystkim włoskie, gdyż – jak wyżej podano – Władysław IV był wielkim miłośnikiem Italii. Organizatorem przedstawień i autorem był Virgilio Puccitelli; w 1637 r. na scenie występowała śpiewaczka włoska Margherita Cattanea. Kapelmistrzem był Marco Schacchi, a wśród muzyków pojawiają się też polskie nazwiska – np. Adam Jarzębski, Marcin Mielczewski, Bartłomiej Pękiel. Scenografię projektował Agostin Locci, a wykonawcami jego pomysłów byli Christian Melich oraz Giacinto Campana wraz z mistrzem stolarzy – Hansem Hanle. Władysław IV był tak związany z aktorami, że poza pensjami wyznaczył nawet odpowiednią rentę dla wdów po artystach.

Jak podaje Jacek Żukowski, od 1635 do 1648 r. wystawiono przynajmniej 10 oryginalnych, włoskich drammi per musica, oprócz tego zaś kantaty dramatyczne, komedie, balety lub w ogóle widowiska. Najważniejsze, że scena dworska nie była zarezerwowana wyłącznie dla dworu. Król wprowadził zwyczaj, że każda sesja Sejmu uświetniona była przedstawieniem teatralnym; zwykle zapraszano nie tylko posłów i senatorów, lecz także szlachtę, aby w ten sposób urabiać opinię publiczną. Z czasem teatr stał się tak popularny, że owe przedstawienia zaczęto uważać za stały element każdej sesji sejmowej.

Teatr Władysława przetrwał aż do jego śmierci w 1648 r. Za czasów kolejnego króla Jana Kazimierza zaczął podupadać. Jednak tradycja organizowania przedstawień na Zamku Królewskim okazała się bardzo trwała. Kiedy w 1655 r. stolicę zajęli Szwedzi, Karol Gustaw zwołał samowolnie Sejm, aby ogłosić się królem Polski, i aby zachęcić szlachtę do przyjazdu, wznowił występy teatralne na zamku. Niestety, w latach potopu sala została uszkodzona, odnowiona w czasach Michała Korybuta Wiśniowieckiego i Sobieskiego wznowiła działalność, nigdy jednak teatr na zamku nie wrócił do dawnej świetności. ©℗

eprasa.pl 39ee1bda30

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

www.dorzeczy.pl/dodatki

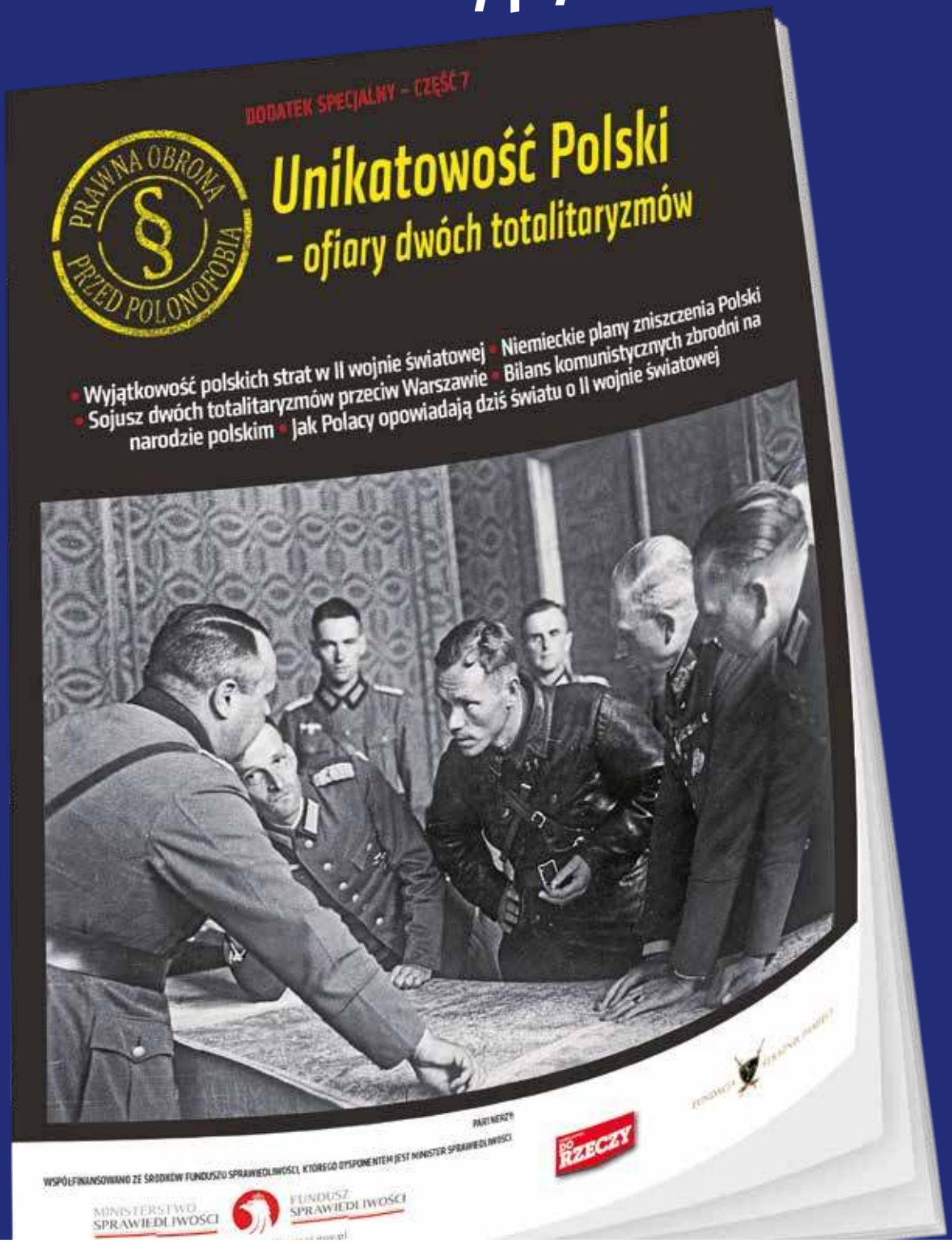

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 39ee1bda30

ŁOSOŚ PIECZONY
Z SOSEM POMIDOROWYM I FETĄ

Rozpoczynamy sezon jesienny, dla wielu czas przeziębień i chorób. Ryby w diecie to bogactwo kwasów omega-3, a mało kto wie, że mają silne działanie przeciwzapalne i antyoksydacyjne, chronią nas dzięki temu przed rozwojem wielu chorób. Jeśli nie jemy dwóch porcji (ok. 150 g) tłustych ryb w tygodniu, to powinniśmy dodatkowo codziennie suplementować kwasy omega-3. Zaproponowane przeze mnie danie to dodatkowo świetne źródło witaminy D, która pomaga w zachowaniu dobrego zdrowia, dostarcza potas, wapń, witaminy z grupy B, witaminę C, błonnik i wiele innych cennych składników. Za to o cennych właściwościach olejków eterycznych pochodzących z czosnku słyszał chyba już każdy i do nich z pewnością nie muszę przekonywać.

Składniki (dla 1 osoby):

- łosoś świeży 150 g
- olej rzepakowy 8 g (1 łyżka)
- pomidory w puszce 100 g – ¼ puszki
- ser feta 40 g
- fasola szparagowa żółta 200 g
- sezam jasny 5 g (1 łyżeczka)
- kasza jęczmienna, pęczak 50 g
- przyprawy: czosnek (1–3 średnie ząbki – w zależności od preferencji), sok z cytryny (1 łyżeczka), natka pietruszki (2–4 łyżki posiekanej), sól, pieprz, oregano, bazylia

Przygotowanie:

Rybę umyć, osuszyć, skropić sokiem z cytryny, natrzeć przeciśniętym przez praskę czosnkiem, solą, pieprzem, suszonym oregano i olejem. Wstawić do lodówki na ok. 1 godz., aby się zamarynowała. Piec w naczyniu żaroodpornym w 180 st. C, przez ok. 25–30 min. Pomidory doprawić solą i bazylią, wylać na rybę, posypać kruszoną fetą i piec jeszcze ok. 10 min. Fasolkę ugotować w lekko osolonej wodzie i posypać na talerzu delikatnie podprażonym sezamem. Rybę na talerzu obficie posypać natką pietruszki. Kaszę ugotować w lekko osolonej wodzie. ©℗

oprac. raw

FOT. MATEUSZ GOŁATOWSKI

Malwina Umiastowska – dietetyk kliniczny, psycholog, regularny gość „Pytania na śniadanie".

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Czytał: Tomasz Knapik

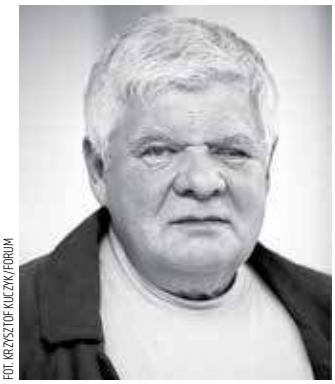

FOT. KRZYSZTOF KULCZYK/FORUM

Zmarł Tomasz Knapik, człowiek o jednym z najbardziej rozpoznawalnych głosów ostatnich lat. Warszawiacy znają go z metra – nie wiem, czy wszyscy identyfikują, bo w metrze słyszymy również niezrównanego Ksawerego Jasieńskiego i parę innych głosów. Pan Knapik podkładał głos do wielu filmów i chyba głównie z tym się kojarzy. Sam o sobie opowiadał anegdotę, która pokazuje, jaką siłą jest głos. Miał zwyczaj głośno i dużo opowiadać, zwłaszcza w towarzystwie. Pewnego razu był u znajomych, wesoły, rozgadany, okna otwarte, bo lato. Nagle z góry słychać głos sąsiadki: „Zamknijcie, k...a, ten telewizor!".

Piękny głos to dar Boży. A jeszcze dodana do tego sztuka mowy – wciąż ma to znaczenie, nawet w czasach, kiedy bardziej liczy się obraz niż dźwięk. Jestem gatunkiem wymierającym: człowiekiem radia. Głos jest dla mnie ważny, zwłaszcza tam, gdzie nie widać twarzy. Andrzej Seweryn, Zbigniew Zamachowski, Marek Kondrat mogą czytać nawet księgę przychodów i rozchodów (telefoniczna to już starodruk) – ich głosy są wartością samą w sobie. Natomiast Adam Ferency swoimi nieznośnymi, monotonnymi modulacjami zepsuł mi całą przyjemność słuchania „Jądra ciemności" Conrada.

Ostatnio Dwójka w cyklu „Głosy z przeszłości" nadawała wspomnienia Tadeusza Bairda. Opowieść była ciekawa, a jednak siłą woli powstrzymywałam się, żeby tego nie wyłączyć. Emfaza, pretensjonalność, sztuczność nie do zniesienia. A pieśni Bairda takie piękne...

Czasem emfaza może mieć jednak dobre strony – któż odmówi wdzięku Jerzemu Waldorffowi? Jego bas rozpoznamy po dwóch zdaniach, jest nie do podrobienia. Gustaw Holoubek podobnie.

Nie wiem, w jakiej mierze sposób mówienia odzwierciedla charakter narratora. Wydaje mi się, że najmilej słucha się głosów, które nie starają się podobać. Po prostu mówi się naturalnie, nie myśląc, jak wypadnie. Wśród moich ulubionych głosów z radiowej Dwójki, radiostacji, która jeszcze dba o poziom mowy, są Magdalena Łoś, Marcin Majchrowski, Tomasz Szachowski, Przemek Psikuta. Głos Piotra Matwiejczuka to kwintesencja spokoju i łagodności.

Podobno człowiek nie znosi własnego głosu, jest to nawet uzasadnione naukowo. Sama jestem tego przykładem. Uważam, że mam okropny głos i odsłuchiwanie wywiadów zawsze jest dla mnie torturą. Pociecha tylko taka, że koledzy dziennikarze uważają podobnie. ©℗

eprasa.pl 39ee1bda30

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Porzućcie marzenia o nowej Norymberdze

Coraz częściej spotykam w Internecie pogróżki (nadzieje?), że gdy TO się wreszcie skończy, gdy wyjdą machinacje i oszustwa władz, to skończymy to wszystko nową Norymbergą. Że za te szkody, ofiary i kłamstwa ktoś zapłaci. Że sprawiedliwości stanie się zadość. Moim zdaniem są to dość naiwne i płonne nadzieje, nawet gdyby były słuszne.

Po pierwsze, nigdy nie będzie wiadomo, czy są słuszne. Obserwować można bowiem dwie równoległe prawdy o COVID. Oficjalną i tę alternatywną. Każda ma swoje argumenty, statystyki i utytułowanych ekspertów. Z tym że tej alternatywnej nie uświadczysz w mediach oficjalnych, chyba że jako uzasadnienie grozy rowerowych covidoterrorystów z Zamościa. Dodajmy do tego również argument statystyczny, czyli właściwie relatywność statystyki, która miała matematycznie, czyli obiektywnie, opisywać zjawiska świata, a okazała się w pandemii narzędziem używanym do udowodnienia tez sprzecznych, pochodzących z obu stron. Do tego dochodzi jeszcze to, że trudno udowodnić, że coś mogło pójść lepiej, a zostało zaniedbane, bo to wymagałoby wejścia do maszyny czasu i rozpoczęcia inaczej. Mamy przykłady innego podejścia, więc można od biedy porównać wyniki, ale te są tak niekorzystne wobec ogólnych strategii, że są eliminowane z oficjalnego dyskursu (np. Szwecja). Dziś nie wiemy, czy inne działania lub wstrzymanie się od nich odniosłyby lepsze skutki czy gorsze. Wiemy na pewno, że i bez COVID zmarło ponad 100 tys. Polaków więcej, niż umiera statystycznie, czyli był to wynik jakichś działań człowieka, nie wirusa.

To marzenie, że będzie jak kiedyś, że zamiast nowej normalności będzie stara sprawiedliwość. Ja zaś myślę, że płynnie przejdziemy do nowych form normalności

W dodatku wśród chętnych do nowej Norymbergi należałoby się zastanowić nad problemem związanym jednak z dość rozproszoną odpowiedzialnością decydentów. Rada Medyczna przy premierze to ciało sytuacyjne, w dodatku nieprotokołujące swoich obrad i rekomendacji. Co prawda, norymberskie dłubki, jak widzę, mają już skróconą listę przyszłych oskarżonych. Jest tam ze dwadzieścia parę nazwisk, więc można obsadzić średniej długości ławkę (ławę?). Moim zdaniem nie będzie też wielu chętnych wśród społeczeństwa do wymierzenia „nowej sprawiedliwości". Społeczeństwo zaciągnęło bowiem wielki dług zawierzenia, lejek kolejnych zgód na ograniczenie wolności, w które weszliśmy, by przeżyć śmiertelnego wirusa. I nawet gdyby fakty krzyczały w twarz (a krzyczą), że to wszystko nie tak, nikt tak łatwo nie przyzna się, że dał się zwieść. Prędzej będzie dla własnego komfortu dalej dawał się zwodzić.

Te marzenia oblekły się jednak w realną próbę realizacji. Reiner Fuellmich miał zebrać ponad tysiąc prawników i ponad 10 tys. medyków i opracować pozew przeciwko WHO, CDC i światowym decydentom. Gdy się czyta założenia tego pozwu, to rzeczywiście widać dość dobrze udokumentowane tezy, które zaprawdę dają prawo nazywać ten – być może przyszły – proces norymberskim. Główne tezy pozwu są oparte bowiem, o zgrozo, na przekroczeniu 10 zasad norymberskiego kodeksu, który powstał po osądzeniu w 1947 r. hitlerowskich lekarzy eksperymentujących na ludziach.

Proces à la Norymberga wymagałby jednego: wygranej którejś ze stron. Bo po wojnie winnych sądzą zwycięzcy. A moim zdaniem sytuacja nie jest taka, że ktoś tę „wojnę" wygra. Po pierwsze, co to za wojna, której istnienia większość nie jest świadoma? Po drugie, by taki proces doszedł do skutku, nie jest wymagane zwycięstwo nad wirusem, ale polityczne pokonanie władz w większości krajów. A ani nie wiadomo, jak to miałoby się stać, ani ja nie widzę takiej determinacji u światowego suwerena.

Sny o covidowym procesie norymberskim to marzenie o tym, że kiedyś TO się wreszcie skończy. Że będzie jak po wojnie – zwycięzcy i kaci. I że zatriumfuje sprawiedliwość. To marzenie, że będzie jak kiedyś, że zamiast nowej normalności będzie stara sprawiedliwość. Ja zaś myślę, że płynnie przejdziemy do nowych form normalności. Jesteśmy w COVID wytrenowani w automatyzmie zamiany wolności na złudną obietnicę bezpieczeństwa. Może temat covidowy zastąpi inny straszak – klimatyczny.

Innego końca koronawirusa nie będzie. ©℗

eprasa.pl 39ee1bda30

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Igraszki z algorytmami

Ostatnio rozmawialiśmy ze znajomymi, jak to podsłuchują nas nasze smartfony. Każdy miał jakiś przykład, od którego trochę zimno się robiło, a nawet ciarki wędrowały po plecach.

Ja na przykład rozmawiałem całkiem niedawno z żoną, że w ramach odświeżenia pokoju naszego syna zamontujemy mu drzwi przesuwne. Ofiarnie zgłosiłem się do wykonania zadania, czyli ogarnięcia tematu i zamówienia drzwi. Ale jeszcze się nie zabrałem do dzieła (wiadomo, jacy są mężowie, nieprawdaż?), jeszcze nic nie wpisałem do żadnej wyszukiwarki, a już na moich facebookach i instagramach zaczęły masowo wyskakiwać reklamy zachęcające do kupna drzwi przesuwnych. Montaż miał być gratisowy.

Innym razem, nie wiedzieć czemu, zastanawialiśmy się, kto jest prezydentem Katowic. Pogadaliśmy o tym chwilę, a ponieważ nikt nie wiedział, kto tam rządzi, sięgnęliśmy po wsparcie Google. I ledwie wpisałem sylabę „pre", a już usłużny Google podsunął mi całą frazę. I był to oczywiście „prezydent Katowic". Nie prezydent RP, nie prezydent USA, nie prezydent Warszawy, w której się znajdowaliśmy, lecz prezydent Katowic. Z wrażenia zapomnieliśmy sprawdzić, kto tym prezydentem jest, więc do dzisiaj niestety nie wiem.

Każdy miał jakąś podobną historyjkę w zanadrzu, świadczącą o inwigilacji. Może nie przez ludzi, ale sztuczną inteligencję, która nie jest jeszcze bardzo inteligentna, ale potrafi się przyssać i nie puszczać.

Można ją jednak skierować na błędne tory, a przy okazji mieć trochę zabawy. Otóż w wiadomą wyszukiwarkę wpisałem kilka terminów rolniczych. Typu „hektar", „żniwa", „zboże", „gospodarstwo". Na efekty nie trzeba było długo czekać. We wszelkich mediach społecznościowych zacząłem być bombardowany reklamami dla farmerów. Szczególnie mocno przyczepiła się do mnie reklama pewnej firmy handlującej ziarnem pszenicy. Z ciekawości wszedłem na dyskusję pod tą reklamą i okazało się, że zdania użytkowników są podzielone, a nawet przewagę mają ci, którzy dowodzą, iż wydajność z hektara wcale nie powala. Dyskusja mnie wciągnęła, a dzięki niej po raz kolejny przekonałem się, że wirtualny świat składa się nie tylko z pornografii i kłótni o politykę, lecz także faktycznie jest dokładnym odwzorowaniem tego rzeczywistego. Rolnictwo ma w nim swoje poletko.

I to całkiem spore. Bo potem zaczęły mi wyskakiwać reklamy inteligentnych drzwiczek do kurnika, dzięki którym kury mogły wychodzić na spacer wtedy, kiedy miały ochotę. Fajne były też reklamy zmyślnych pułapek na myszy do zainstalowania w stodołach oraz silosach na zboże. Filmik, na którym kolejne myszy wpadają do przezroczystej pułapki i tłoczą się w niej niemiłosiernie, rozpaczliwie próbując się wydostać – to było naprawdę poruszające. I wieloznaczne. ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Tropiciele Kaczafiego

Małgośka – mówią mi – fatalne te twoje felietony, obrażasz gejów, muzułmanów. Poczytaj, jak piszą mistrzowie, i ucz się!

Zmarkotniałam, że ze mną tak źle i że los mój smętny jak kariera czwartoligowego składu Start Krasnystaw z mego rodzinnego miasta. No ale taka Anna Kamieńska też się w Krasnymstawie urodziła i całkiem zręcznie piórem machała. Więc i ja zaczerniam papier w nadziei, że „nie wszystek umrę", bo przecież Internety mnie przechowają, i to nawet po klimatycznym końcu świata, który – jak wiadomo – już wkrótce, tylko nie wiadomo, o której godzinie.

Uczyć się jednak trzeba, więc biorę na warsztat felietonistów mainstreamowej maści i zanurzam się w ich strumień świadomości, chwaląc sobie, że mam pod ręką maseczkę i płyn do dezynfekcji, bo dzięki temu na mnie nie przejdzie. Wszyscy oni pracują zawzięcie nad aktualizowaniem różnych poleceń salonu – i tego w Brukseli, i tego na Czerskiej, więc Kaczafi wyziera z każdego tekstu. Ich twórczość określić można jednym słowem: tropienie, bo cały czas skupieni są na błędach prawicy i rządu.

Przypomina mi to, jak Francuzi zabrali mnie na wycieczkę, abym w ramach poznawania Prowansji popatrzyła, jak świnie szukają trufli. To jest bardzo prowansalski obrazek, zupełnie jak pola lawendy i śnieżny szczyt Mont Ventoux. Ale nudne to było: świnia nawet łba nie podnosiła, bo tak zajęta była tropieniem i ryciem. I nic nie poradzę, że niektórzy autorzy takie wspomnienia we mnie ewokują.

„Brunatny smród będzie się nad Polską unosił jeszcze długo po obaleniu kaczystowskich rządów" – pisze w najnowszym felietonie Wojciech Kuczok. I już teraz sami rozumiecie, skąd mnie po głowie takie obrazki chodzą (z całym szacunkiem dla pracowitych świń). Ale weźmy mniej toksycznych felietonistów z gazet o mniejszej sile rażenia. Taki Wróbel z „DGP" – przyznam, że dość mnie frapuje, bo zastanawia mnie, jak ten człowiek sam nie usypia nad tym, co pisze. Mnie się zdaje, że to wręcz niehumanitarne pisać tak nudnie dla ludzi.

I wreszcie „Plus Minus", gdzie, owszem, mistrz Mazurek grasuje, choć przecież on też jak Małysz – nie zawsze dwa równe skoki oddaje. Ale to jednak champions league i tylko dla niego sięgam po gazetę, serdecznie współczując Katarynie. Bo jeśli ja też sąsiadowi z lewej, Igorowi, tak za tło robię jak ona Mazurkowi, to sromota na ród Wołczyków na pokolenie w tył i w przód. Zresztą w „Do Rzeczy" też nie błyszczała. Tak, wiem, okropna jestem, ale przynajmniej nie cierpię na Kaczafi's obssesion. To taki wirus z polskiego Wuhan, pod Warszawką. ©℗

eprasa.pl 39ee1bda30

ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Po beatyfikacji – apel

Posłuchajmy, co mówił ksiądz prymas Stefan Wyszyński, obejmując swą warszawską prokatedrę 6 lutego 1949 r.: „Jeśliby ktoś miał wątpliwości, czy naród polski jest jednością, to ja czuję, że mam prawo dziś wam odpowiedzieć. [...] Polska jest jednością. [...] Jej jednością jest moc nadprzyrodzona łaski Bożej! Jej nadzieją niezłomną jest pragnienie katolickiej Polski, Chrystusowej Polski! Katolickiej w każdym sercu polskim, w każdej kołysce, katolickiej w rodzinie, katolickiej w szkole, katolickiej w przedszkolu, katolickiej w wojsku, w więzieniu nawet, katolickiej przy urodzeniu i przy zgodnie". Dalej – przemówienie z 26 września 1968 r., z okazji 150-lecia metropolii warszawskiej: „Niech się nikt nie zgorszy – bo byłoby to zgorszenie faryzejskie! – z zestawienia: »P o l a k – k a t o l i k«! Nie jest to hasło, to jest płód życiowy wyrosły z warunków bytowania Kościoła w udręczonym narodzie. To rzeczywistość! Nie można było inaczej ratować narodu przed wynarodowieniem, rusyfikacją, germanizacją, sprawosławieniem czy sprotestantyzowaniem, jak tylko za cenę powiązania tych dwóch żywotnych sił w j e d n ą całość". I wreszcie kazanie świętokrzyskie z 18 stycznia 1976 r.: „Polska jest krajem Polaków, to znaczy jest krajem narodowym".

Tych zdań nie wydrukowałaby dziś, w wolnej Polsce, żadna gazeta, żadne medium elektroniczne tzw. głównego nurtu, niechcące uchodzić za skrajne. Obawiam się, że odcięłaby się od tych słów nawet niemała część członków episkopatu Polski. Dziś katolickiemu biskupowi „nie wypada" stwierdzić publicznie, że pragnąłby zapanowania swojej religii, swojego obrządku w obrębie całego narodu, we wszystkich istotnych przejawach jego życia. Samo pojęcie narodu, już od dawna obciążone liberalną anatemą, traktowane jest jako wyjątkowo żrący odpad na śmietniku historii. Katolicyzm uznawany jest w dyskusji publicznej jako zjawisko historyczne, przygodne, przypadkowe, przejściowe – na drodze do połączenia różnych wersji religii (może niekoniecznie nawet tylko chrześcijańskiej). To w wersji „katolicyzmu otwartego". Dla wielkiej części mediów i wspieranej przez nich opozycji, która chce „ociosać katoli z przywilejów", katolicyzm i zwłaszcza jego związki z historią Polski to jeden zbrodniczy koszmar, za który trzeba pokutować, a potem (splunąwszy trzy razy przez plecy) ze wzgardą zapomnieć.

Piszę te słowa dwa dni przed uroczystościami beatyfikacyjnymi prymasa. Nie wiem zatem, do jakiej „kremówkowej" wersji zostanie zredukowana postać tego proroka i obrońcy katolickiej Polski. Przywołuję jego słowa, by nie zapominać tego, czego prymas chciał nas, jako Polaków i jako chrześcijan, uczyć. I żebyśmy się nad sobą, nie nad prymasem, zastanowili.

Pewien eksjezuita, jak to ładnie Rosjanie nazywają – „manach-rasstriga", jeszcze przed beatyfikacją starał się w najbardziej opiniotwórczych mediach salonu egzorcyzmować groźnego ducha prymasa: „To Wyszyński radiomaryjny, promujący emocjonalny, niepogłębiony przekaz wiary, zredukowany do ludowej, katolickiej bańki. To Wyszyński, który z niepokojem patrzył na konsekwencje II Soboru Watykańskiego. To Wyszyński, który patrzył na środowiska intelektualistów katolickich jako przeszkodę w realizacji jego projektu ewangelizacyjnego". Do tego „autorytarny nacjonalista" – stawiają kropkę nad i organizujące te egzorcyzmy dziennikarki.

Widocznie ten Duch jest ciągle groźny, przynajmniej dla tych, którzy chcieliby wreszcie „ten kraj" wyemancypować z niedoli katolicyzmu i polskości. Dlatego właśnie powinniśmy, bez lukrowania, przywoływać jego słowa: niech rozdrapują blizny, które w „wyemancypowanych" umysłach postpolskiej półinteligencji może jeszcze pozostają.

O tym, że naród jest wspólnotą naturalną, mówiło Stefanowi Wyszyńskiemu doświadczenie pokoleń Polaków przekazane w rodzinnym domu, a dalej jego osobiste życiowe doświadczenie: urodzonego w niewoli, świadka roku 1920, uczestnika ostatniego wielkiego powstania roku 1944. W tym doświadczeniu, trzeba to zaraz dodać, nie było żadnego miejsca na kompleks winy katolika. Katolicyzm i doświadczenie historyczne narodu, w którym uczestniczył Stefan Wyszyński na swej życiowej drodze, nie były wartościami antagonistycznymi. Przeciwnie – w perspektywie tych doświadczeń, ich generalnej wymowy katolik nie miał żadnego powodu, by wstydzić się być Polakiem, Polak – być katolikiem. Z tego podwójnego przekonania wynikały decydujące dla całej myśli prymasa o narodzie konsekwencje. Próbował ująć tę zależność najzwięźlej na spotkaniu z młodzieżą polską w Londynie 7 stycznia 1972 r.: „Więź z ojczyzną jest tajemnicą, którą możemy określić jako prawo natury, najbardziej podstawowe i najświętsze ze wszystkich przyrodzonych praw. Prawo, które muszą uszanować wszyscy!".

Nie dajmy zamazać tych słów. Weźmy je do siebie. ©℗

eprasa.pl 39ee1bda30

TALIBAN

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski korespondencja z USA

Zgłosiłem się do lokalnego oddziału FBI. Po nagrodę pieniężną. Wskazałem im miejsce pobytu przestępcy poszukiwanego międzynarodowym listem gończym. Podałem kilka wiarygodnych źródeł. Do tego wskazałem filmy, a nawet transmisje na żywo. Nagroda: 10 mln dol. – tak podają na oficjalnej stronie MOST WANTED publikowanej przez Departament Stanu, można łatwo sprawdzić. Skorzystałem z podanego tam kontaktu. Mam nadzieję, że nikt inny nie wpadł na ten prosty pomysł, bo wtedy podzielą nagrodę na kawałki.

Tym przestępcą jest międzynarodowy terrorysta Sirajuddin Haqqani, a jego list gończy wisi od 2 sierpnia 2010 r. Teraz jest ministrem spraw wewnętrznych w rządzie talibów, przebywa w Kabulu w pałacu prezydenckim i okolicznych budynkach rządowych. Nie ukrywa twarzy, udziela wypowiedzi do kamer. Łatwo go rozwalić lub nawet złapać żywcem. To nie to, co wieloletnie polowanie na bin Ladena.

Swoją listę poszukiwanych publikuje też ONZ. Rozważam drugie zgłoszenie. Oni z kolei puścili list gończy za terrorystą o nazwisku Mullah Hassan Akhud. Tego też nietrudno odnaleźć i rozwalić, bo w rządzie talibów został premierem. Czyli, droga społeczności międzynarodowa, drogie (i kosztowne) agendy i agencje, DO AKCJI! Jedna odpowiednio duża bomba lub dron i mamy z głowy kilka postaci z listy poszukiwanych, bo w rządzie talibów gęsto od takich ptaszków. Wystarczy rozwalić pałac prezydencki, gdy oni tam mają akurat konferencję prasową na żywo.

***

Różni naiwniacy uważają, że ta stara gwardia talibów, która właśnie wróciła do władzy, ustatkowała się i będzie bardziej cywilizowana. Ha, ha, ha. A na jakiej podstawie te tezy i wnioski? Dlaczego mieliby zmienić metody, skoro ich stara metoda zwyciężyła i to wielokrotnie? Pokonali największe imperia świata nie dlatego, że się stopniowo cywilizowali, ale dlatego, że są koranicznie niezmienni.

Koran odczytują literalnie, a świat ma być zorganizowany w całości dokładnie tak, jak tego Koran wymaga. Prawo szariatu ma dotyczyć nie tylko religii i nie tylko muzułmanów, lecz także wszystkich ludzi świata bez wyjątku oraz wszystkich aspektów życia, w tym gospodarki, polityki, kultury – każdego bez żadnych wyjątków aspektu życia i… śmierci. Bo śmiercią talibowie zajmują się zawodowo.

Właśnie teraz, w tej chwili, dokładnie w tej, gdy ja to piszę lub gdy Państwo to czytają, talibowie biczują ludzi na śmierć, kamienują na śmierć oraz podrzynają ludziom gardła za pomocą tego samego noża, którym zarzynają swoje kozy. To, że publikują filmiki z podrzynania ludzkich gardeł z użyciem nowoczesnych komórek, nie oznacza, że się ucywilizowali. To, że potrafią wywiesić filmik na YouTube, nie oznacza, że się ucywilizowali. To, że już 20 lat temu potrafili trafić odrzutowcami w wieżowce na Manhattanie, nie oznacza, że kiedykolwiek byli ucywilizowani.

Talibowie do rządu powołali samych radykałów i ten radykalizm rośnie, bo zwycięstwa dodają skrzydeł.

***

Stara gwardia talibów ma już swoje lata, ale ma też młodych następców i oni są bardziej radykalni od własnych ojców. Ci ojcowie to przecież zwycięzcy bohaterowie. Czterech z nich przesiedziało dychę jako więźniowie w bazie Guantanamo, a potem wrócili walczyć, bo ich Obama wypuścił – wymienił na jakiegoś swojego dezertera (B. Bergdahl). W oczach talibów oznacza to, że Ameryka jest warta zniszczenia i łatwa do pokonania – skoro oddaje czterech naszych bohaterów za jakąś jedną swoją nic niewartą szmatę, którą powinna ukatrupić. Tych czterech to żywe ikony i znów walczą z USA.

Młoda gwardia talibanu to 20-latkowie. 11 września 2001 r. znają z opowieści i filmów. Podziwiają i też tak chcą! Za udział w obecnych walkach dostają w prezencie młode dziewczynki do dowolnego wykorzystania. Niewolnice należne im jako ziemska nagroda dla bojowników islamu. A po śmierci za islam jest jeszcze koraniczna obietnica gromady dziewic w niebie – też do dowolnego wykorzystania. Być kobietą u talibów to nieszczęście – jeżeli cię nie zgwałcą na ziemi, to zrobią to, gdy trafisz do nieba. Nie uciekniesz – dopadną nawet po śmierci.

***

Po tym, jak Biden porzucił swoich na pastwę wroga, na terenie Afganistanu ukrywa się cała masa ludzi. Amerykanów oraz tych Afgańczyków, którzy mieli nieszczęście dla USA pracować. Siedzą pochowani w skrytkach, w piwnicach, w norach i jaskiniach. Wiemy to od tych, którym udaje się przebić na Zachód z pomocą prywatnych firm prowadzonych przez amerykańskich weteranów.

Pamiętają Państwo „Pamiętniki Anny Frank", która przez dwa lata ukrywała się przed Niemcami na strychu? Ile takich dziewczynek jest teraz w Afganistanie? I dokąd trafią, gdy je ktoś wyda lub znajdzie? Czy po którejś zostanie „Pamiętnik"?

***

A czemu Biden to zrobił?

Komu oddał Afganistan i bazę wojskową Bagram? Trump też chciał wycofać wojsko z Afganistanu, ale wybudowaną przez Amerykanów bazę wojskową Bagram chciał zostawić we władaniu USA na podobnej zasadzie jak baza Guantanamo na komunistycznej Kubie.

Czemu więc Biden wszystko porzucił? I komu oddał Afganistan? Rodzina Bidenów posiada 10 proc. udziałów w chińskiej firmie produkującej baterie litowe. Najważniejszym minerałem eksportowym Afganistanu jest lit. Wartość złóż oszacowano na 1–3 tryliony dolarów. Biden porzucił Afganistan, a Chińczycy dogadują się właśnie z talibami w sprawie przejęcia strategicznej bazy Bagram oraz wydobycia litu. Bardzo klarowny interes: ty nam dajesz Afganistan, a my tobie wypłacamy dziesięcinę z firmy produkującej baterie. (Cena akcji tej firmy wzrosła o 300 proc. od czasu, gdy Joe Biden został obrany prezydentem). ©℗

eprasa.pl 39ee1bda30

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

ALINA PETROWA-WASILEWICZ
„URATOWAĆ TYSIĄC ŚWIATÓW"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~711 ZŁ~~

311,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 400 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 39ee1bda30

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

VI EDYCJA NAGRODY

JUŻ W GRUDNIU

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENASI:

Enea

PGNiG

eprasa.pl 39ee1bda30